CO SIĘ NAPRAWDĘ STAŁO W USA

RAPORT SPECJALNY „DO RZECZY" – PISZĄ SEMKA I PRZYBYLSKI

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 2/407 11–17 STYCZNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o buncie przeciw dyktaturze lockdownu

JOANNA BOJAŃCZYK ŻEGNA PIERRE'A CARDINA

Szczera rozmowa z prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

FAŁSZERZE POLSKIEJ HISTORII

Jak działają specjaliści od zrzucania na Polaków win za zbrodnie popełnione przez Niemców

Koncert Kolęd w Telewizji Republika

REPUBLIKA

Za nami koncert kolęd z udziałem Joszko Brody i jego rodziny.

Telewizja Republika z okazji Świąt Bożego Narodzenia przygotowała dla widzów wyjątkowy koncert kolęd, w którym najpiękniejsze utwory zaprezentowała rodzina Joszko Brody.

W trakcie koncertu mogliśmy usłyszeć znane i lubiane kolędy, takie jak: Wśród Nocnej Ciszy, Przybieżeli do Betlejem, Anioł Pasterzom Mówił. Dodatkowo widzowie usłyszeli życzenia świąteczne złożone przez redaktora Tomasza Sakiewicza oraz red. naczelną TV Republika Dorotę Kanię.

Koncert można obejrzeć na naszym kanale YouTube, a skrót jest dostępny na portalu www.telewizjarepublika.pl

Dziękujemy, że spędziliście z nami ten niezapomniany wieczór!

SPONSORZY

ORLEN

PGNiG

PharmaNET
Związek Pracodawców Aptecznych

eprasa.pl bbf3cf9c28

PAWEŁ LISICKI

POLEXIT debata DO RZECZY ZA I PRZECIW

W RZECZY SAMEJ

Paradoksy eurorealistów

Żaden inny mój komentarz nie wywołał tylu odpowiedzi jak ten poświęcony kwestii polexitu, a więc ewentualnemu wyjściu Polski z Unii Europejskiej. Nic dziwnego. Najczęstszą reakcją była wściekłość – typowa postawa dla dużej części opozycji i udających dziennikarzy pacynek, które występują w roli komentatorów. Zabawne, ale tym razem biedacy całkiem się pogubili. Nie są w stanie pojąć, że po prawej stronie sceny politycznej istnieje niezależny, autonomiczny punkt widzenia. Że pojawia się głos domagający się radykalnej zmiany relacji z Brukselą. Ponieważ wszystko mierzą swoją miarą – dziennikarze są tylko narzędziami tej lub innej grupy wpływów – lewicowi propagandyści zachodzili w głowę, kto za tym stoi, i budowali misterne (w swoim mniemaniu) konstrukcje, usiłując dowieść, że to PiS w ten sposób, za pośrednictwem „Do Rzeczy", rozpoczyna wymarsz z Unii. Niestety nie. PiS niczego nie rozpoczyna, a dowodem na to jest próba obrony, moim zdaniem z góry skazana na niepowodzenie, rzekomego sukcesu premiera Mateusza Morawieckiego w Brukseli. Prędzej czy później politycy rządzący przekonają się, jakie są skutki zgody na mechanizm pieniądze za praworządność.

Gniew, złość, agresja – to właśnie była odpowiedź wielu internautów na pomysły debaty o polexicie. Gorzej, że podobnie reagowali w większości politycy antyrządowi. Najlepszy to dowód, że prawdziwej opozycji – krytycznej do rządu, ale jednocześnie niepodległościowej i broniącej suwerenności – Polsce nie udało się dorobić. Zamiast tego były okrzyki, pohukiwania, wyrazy sprzeciwu i mniej lub bardziej absurdalne pomysły – pod tym względem wszystkich przebił lider PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz, który w czasie, kiedy trwały jeszcze negocjacje z Brukselą, ogłosił, że przynależność Polski do Unii należy wpisać do konstytucji. Ach, cisnęły mi się wtedy różne słowa na usta (niektóre całkiem nieparlamentarne), ale wulgarność pozostawiam innym. Niech więc będzie, że tygrys wydał z siebie ciche miauknięcie i z podkulonym ogonkiem popędził lizać mleczko z miseczki.

Najbardziej istotne głosy w debacie na temat relacji z Unią padają z prawej strony. Ci, którzy upomnieli mnie (a także Rafała A. Ziemkiewicza oraz innych zwolenników rozważenia opcji polexitu), rozumują w sposób iście paradoksalny. Otóż w większości z krytyką instytucji unijnych się zgadzają. Tak, mówią o tyranii większości, o unijnej ideologii, wskazują na rosnące zagrożenie dla obrony polskiej suwerenności, widzą presję na naszą tożsamość i… jednocześnie wzywają do dalszej debaty. Dostrzegają, że unijni politycy (tak komisarze, jak i większość europosłów) łamią traktaty, że dopuszczają się samowoli i przekraczają swoje kompetencje. A potem, jakby nigdy nic, mówią, że zamiast debatować o polexicie, należy szukać dla polskiego stanowiska zrozumienia w Unii, budować sojusze, szukać partnerów. Jestem pod wrażeniem. Wspaniale. Też bym chciał takich znaleźć. I dlatego pytam tych eurorealistów (za takich bowiem chcą uchodzić), gdzie znajdują się ich potencjalni sojusznicy.

Proszę bardzo, niech wskażą mi te polityczne siły, na których opierają swoje nadzieje. Niech pokażą mi, która znacząca partia w dużym państwie Unii (poza Węgrami, proszę) reprezentuje podejście do suwerenności bliskie polskiej prawicy. Gdzie dostrzegają takich partnerów we Francji na przykład? Rozumiem, że nie w Marine Le Pen, która poza tym, że wydaje się im zbyt prorosyjska (cokolwiek by to znaczyło), ma mikroskopijne szanse wygrać wybory nad Sekwaną. Albo, bliżej, w Niemczech? Jaka tamtejsza siła polityczna może być partnerem dla polskich obrońców suwerenności? AfD? Nie sądzę. Ale przecież nie CDU, SPD czy Zieloni. No więc kto?

Obawiam się, że chętnych nie ma. Ostatnimi byli być może brytyjscy torysi, ale ci właśnie Unię opuścili. Polskim realistycznym przeciwnikom wyjścia z Unii pozostają zatem zaklęcia. Wciąż muszą udawać, że istnieje trzecia droga między podporządkowaniem się walcowi tęczowej ideologii i opuszczeniem Unii. Wciąż nie potrafią przyjąć do wiadomości, że to, z czym mamy do czynienia w Europie, nie jest już demokracją, ale lewicowo-liberalną oligarchią. Kto nie chce na poważnie myśleć o wyjściu z Unii, ten musi prędzej czy później podporządkować się lewicowemu dyktatowi. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

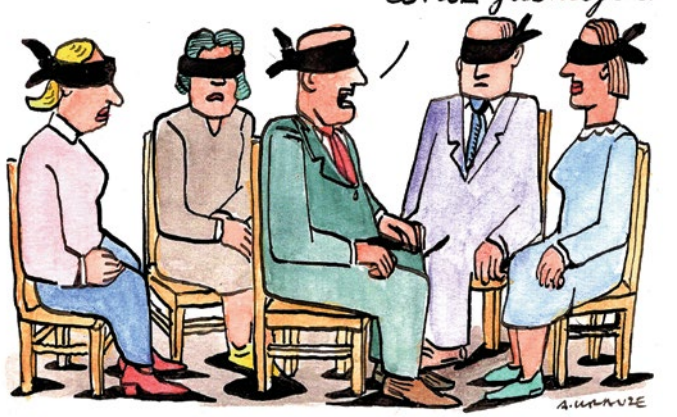

eprasa.pl bbf3cf9c28

TEMAT TYGODNIA

14 LESZEK ŻEBROWSKI
ANTYPOLSKI TERROR PROPAGANDOWY
Holokaust w krzywym zwierciadle

18 ROZMOWA Z DR. TOMASZEM DOMAŃSKIM
TYLKO NIEMCY ODPOWIADAJĄ ZA HOLOKAUST

KRAJ

22 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
CZEKAJĄC NA KONTRREWOLUCJĘ
Pandemia zmienia zasady gry

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWY ROK – NOWY PIS?

28 KAMILA BARANOWSKA
POLITYCZNA PRZYSZŁOŚĆ HOŁOWNI

30 ROZMOWA Z ADAMEM NIEDZIELSKIM
Z PANDEMII WYJDZIEMY POOBIJANI

32 OLIVIER BAULT
DZIECIĘCY LOCKDOWN

34 ŁUKASZ WARZECHA
KONFEDERACJA TURYSTYCZNA

36 TOMASZ ROWIŃSKI
PĘKAJĄCA JEDNOŚĆ REWOLUCYJNA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WIELKIE UCZUCIA W KOZACKIEJ STANICY

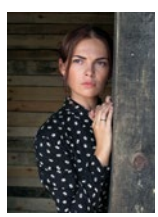

KULTURA

40 JERZY MIZIOŁEK
CZAS GRABIEŻY
Jak Niemcy rabowali dzieła sztuki

42 PIOTR GOCIEK
GWIAZDA NA TRUDNE CZASY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

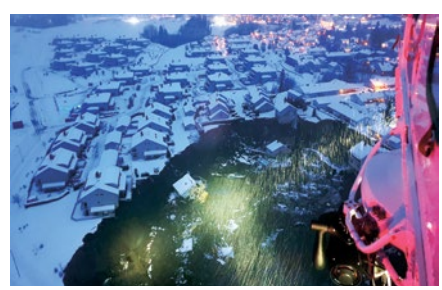

50 ANDRZEJ SOLECKI
ŚMIERCIONOŚNE PUŁAPKI
Co naprawdę stało się w Norwegii?

HISTORIA

52 JACEK KOMUDA
SZALENI ZAGOŃCZYCY II RZECZYPOSPOLITEJ
Życiorysy złamane przez wojnę

ŚWIAT

56 PIOTR SEMKA
EFEKT SZAMANA
Bunt „okradzionych z wyborów"

59 JACEK PRZYBYLSKI
SĄDNY DZIEŃ DLA KONSERWATYSTÓW

ZMIANA WŁADZY raport DO RZECZY W USA

62 ROZMOWA Z FIŃSKĄ PARLAMENTARZYSTKĄ PÄIVI RÄSÄNEN
ŚLEDZTWO WS. BIBLII

66 WITOLD REPETOWICZ
BÓL I WIARA ORMIAN

EKONOMIA

68 ŁUKASZ ZBORALSKI
KLUCZ DO KARIERY
Szczera rozmowa z prezesem Orlenu

72 JAKUB WOZINSKI
SYLWESTROWE PRZEJĘCIE

STYL

76 JOANNA BOJAŃCZYK
SPLENDOR I ZMIERZCH
Pierre Cardin (1922–2020)

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (55), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl bbf3cf9c28

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną do redakcji kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Młokosi kontra dziadersi", Łukasz Warzecha, „DRz" 52/2020

Droga Redakcjo,
Łukasz Warzecha w artykule „Młokosi kontra dziadersi" („Do Rzeczy" nr 52/2020) przypomniał, w jaki sposób Gombrowicz w swej powieści „Ferdydurke" bezlitośnie wykpił pojęcie „nowoczesności" właściwe dla części ówczesnych elit, cytując rozmowę małżeństwa Młodziaków, którzy namawiają swoją córkę do posiadania nieślubnego dziecka.

Warto w tym kontekście zacytować jeszcze jedno zdanie z tej samej powieści: „Pensjonarka spała właściwie nie prywatnie, lecz publicznie, nie miała nocnego życia prywatnego, a twarda publiczność dziewczyny łączyła ją z Europą, z Ameryką, z Hitlerem, Mussolinim i Stalinem, z obozami pracy, z chorągwią, z hotelem, dworcem kolejowym [...]".

Gombrowicz, pisząc swą powieść w latach 30., bezbłędnie zdiagnozował ówczesne aspiracje części elit do „europejskości", łączonej wówczas z demoralizacją i ekshibicjonizmem, ale także z nazwiskami przywódców państw totalitarnych i ich „osiągnięciami", takimi jak obozy pracy.

Widać zatem, że postęp i nowoczesność przed prawie 90 laty miały oblicze w części podobne do dzisiejszego, a po części takie, jakiego ówcześni piewcy nowoczesności wkrótce zaczęli się wstydzić. Można przypuszczać, że podobnie będzie z wieloma współczesnymi ideami traktowanymi jako nieodzowny element postępu. Szkoda tylko, że wśród współczesnych pisarzy brakuje szyderców w rodzaju Gombrowicza, którzy odważyliby się wykazać absurd „postępowych" pomysłów i zawczasu schłostać je biczem satyry.

Z poważaniem
Antoni Buchała, Libiąż

„Nie trzeba być fajnym, by zasłużyć na życie", rozmowa z Kają Godek, „DRz" 52/2020

Szanowni Państwo,
[...] Dziękuję serdecznie za przepiękny i wzruszający wywiad z p. Kają Godek. Sama jestem obecnie w kolejnej ciąży i lekarze podejrzewali wady genetyczne u naszego dziecka. Nie jestem w stanie nawet opisać, jak boleśnie dotykają mnie protestujące kobiety, żądające aborcji na życzenie. Nie mogę zrozumieć, jak o tak bolesnych sprawach można „dyskutować" na ulicy.

Pani Godek, opisując swoją historię, doskonale wyraziła również moje emocje. Bardzo ją podziwiam, że potrafiła swoje trudne doświadczenie życiowe przekuć na działalność społeczną.

Pozdrawiam serdecznie
Joanna [nazwisko do wiadomości redakcji]

Nasze trudne czasy

Drodzy,
przedłużam prenumeratę na rok 2021. Uważam „Do Rzeczy" za najbardziej sensowny tygodnik na rynku. [...]

Życzę wytrwałości w pracy, męstwa, dobrych piór. [...]

Jerzy [nazwisko do wiadomości redakcji]

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **NAC**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Ilona Weiss, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czasem trzeba być bez skazy

Prezydent nie ma kompetencji do wskazania takiego kandydata, ale mam taką swoją propozycję. Ktoś może uznać, że trochę nietypową czy zadziwiającą. Całkiem dobrym i wartym rozważenia kandydatem na Rzecznika Praw Obywatelskich mógłby być Jan Maria Rokita" – te słowa Andrzeja Dudy zaskoczyły wszystkich. Prezydent osłabił nieco to wrażenie, zaznaczając, że nie wie, jakie jest zdanie Rokity na ten temat, ale dodał, że to człowiek, który zna politykę i jej realia.

Rokita wycofał się z polityki w 2007 r. faktycznie wypchnięty z Platformy Obywatelskiej. Donald Tusk, ówczesny szef PO, uważał go za konkurenta i wykorzystał polityczne flirty żony Nelli Rokity z PiS do pożegnania się z kimś, kogo w kampanii w 2005 r. lansowano na „premiera z Krakowa". Gdy PO wróciła do władzy w 2007 r., premierem został już sam Tusk, a Rokicie podziękowano.

Kuluarowe plotki w MSZ głosiły, że PiS proponował mu funkcję ambasadora w jednej z europejskich stolic, ale odmówił. „Newsweek" donosił, że Rokita wraz z żoną Nelli działa społecznie w stowarzyszeniu Siemacha, pomagającym dzieciom z trudnych rodzin. Młodsze pokolenie nie kojarzy już go jako czynnego polityka. Niektórzy tylko rozpoznają w nim komentatora polskiej polityki w mediach i publicystę tygodnika „Sieci".

Reakcje na pomysł prezydenta są w PiS raczej chłodne. Politycy PiS-owcy przypominają, że ich kandydatem wciąż jest prof. Piotr Wawrzyk. Pewne zainteresowanie jego kandydaturą wyraża Solidarna Polska. Jednak już opozycja spod znaku PO i Lewicy patrzy na Rokitę chłodno. Pytanie, czy poparłoby go PSL.

Nie chcę oceniać politycznych szans Rokity. Żyję jednak zbyt długo, by nie pamiętać dywagacji na temat jego roli w aferze inwigilacji prawicy w 1993 r. Rokita sprawował wówczas funkcję ministra-szefa urzędu Rady Ministrów i był najbliższym współpracownikiem premier Hanny Suchockiej. Lech Kaczyński, który był wówczas szefem NIK, zapamiętał z posiedzeń rządu Suchockiej tyrady Rokity, w których określał Porozumienie Centrum, ówczesną partię Jarosława Kaczyńskiego, jako partię antypaństwową. Ile wiedział o akcji szpiegowania partii?

Minęło od tego czasu prawie 28 lat. Czy można uznać, że dostatecznie dużo czasu, by pominąć tamte podejrzenia?

Nie mam takiego wrażenia. Rzecznikiem Praw Obywatelskich musi być ktoś poza wszelkim podejrzeniem. A afera z inwigilacją prawicy była jedną z najbardziej haniebnych afer III RP. Ludzie wywodzący się z opozycji cztery lata po upadku komunizmu zaakceptowali akcję byłego esbeka inwigilacji kolegów z dawnej opozycji.

Dlatego na hasło: „Rokita na RPO" nie reaguję entuzjazmem. Są stanowiska wymagające ludzi bez skazy. ©℗

FOT. GEORG HOCHMUTH/APA/AFP/EAST NEWS

WIELKI TRIUMF KAMILA STOCHA

Kamil Stoch w imponującym stylu odniósł zwycięstwo w ostatnich zawodach w austriackim Bischofshofen. Dzięki tej wygranej polski skoczek już trzeci raz w swojej karierze wygrał klasyfikację generalną Turnieju Czterech Skoczni.

W klasyfikacji całego cyklu TCS Kamil Stoch wyprzedził niemieckiego skoczka Karla Geigera. Trzecie miejsce na podium zajął Dawid Kubacki. Czwartą lokatę zdobył Norweg Halvor Egner Granerud, a za nim znalazł się kolejny polski skoczek: Piotr Żyła. Szóste miejsce zajął Andrzej Stękała ex aequo z japońskim zawodnikiem Ryoyu Kobayashim. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

UOKiK: Agora nie może przejąć nadawcy Zetki

Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów nie zgodził się na przejęcie przez Agorę kontroli nad Eurozetem, nadawcą Radia Zet.

„W wyniku koncentracji powstałaby silna grupa radiowa, mogąca ograniczać konkurencję na rynku reklamy radiowej oraz rozpowszechniania programów radiowych. Transakcja mogła prowadzić do powstania duopolu i marginalizacji pozostałych grup i stacji radiowych – dwie wiodące grupy radiowe (Eurozet i RMF FM) posiadałyby łącznie ok. 70-procentowy udział w rynku" – tłumaczy urząd w komunikacie.

Agora – stojąca na czele grupy kapitałowej, do której należą m.in. takie stacje jak TOK FM, Radio Złote Przeboje, Radio Pogoda, Rock Radio – w lutym 2019 r. kupiła 40 proc. udziałów w Eurozecie. Zapłaciła za nie ponad 130 mln zł.

W październiku 2019 r. złożyła zaś wniosek do prezesa UOKiK ws. przejęcia pozostałych 60 proc. Eurozet zajmuje się m.in. produkcją i emisją programów radiowych (do grupy należą m.in.: Radio Zet, Meloradio, Antyradio, Radio Plus, Chillizet). „Działalność obu grup kapitałowych pokrywa się przede wszystkim w zakresie nadawania programów radiowych, sprzedaży czasu reklamowego oraz pośrednictwa w sprzedaży czasu reklamowego w radiu" – zauważył UOKiK. ©℗ ***(jap)***

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość, że 18 grudnia 2020 r. odszedł

ŚP.

Tadeusz Zwierzyński

Wiceprezes Zarządu PERN S.A.,

były Prezes Zarządu Polskie LNG sp. z o.o. – odpowiedzialny za budowę terminala skroplonego gazu ziemnego im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu.

Odszedł Człowiek nietuzinkowy, pełen pasji, oddany pracy, wszechstronny menedżer, strateg, doskonały organizator.

Był nade wszystko Człowiekiem szlachetnym i dobrym, naszym mentorem, szefem i przyjacielem.

Żegnamy Go.
Na zawsze pozostanie w naszych sercach i pamięci.

Rodzinie i bliskim

składamy wyrazy współczucia.
Przyjaciele

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 21 grudnia 2020 roku zmarł w Warszawie

ŚP.

Wojciech Jan Borowik

urodzony 24 czerwca 1956 roku w Warszawie.

W latach 1976–1981 członek warszawskiego KIK, współpracownik KOR, następnie KSS KOR, SKS, ROPCiO i KPN.
W okresie PRL działacz NZS i NSZZ „Solidarność".
Dziennikarz, drukarz, składacz, introligator, współorganizator druku i kolportażu wydawnictw bezdebitowych.
W latach 1977–1989 współpracownik niezależnej oficyny NOWA oraz czasopism drugiego obiegu: „Zwrot", „Robotnik", „Vacat", „Czas Przyszły".
W 1980 roku założyciel i wydawca niezależnego wydawnictwa „Odnowa".

13 grudnia 1981 roku internowany w ośrodku odosobnienia na Białołęce, zwolniony w lipcu 1982 roku na podstawie amnestii.

W latach 1989–90 redaktor naczelny i dziennikarz „Robotnika".
W 1990 roku współzałożyciel Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna.
Od 1991 do 1992 roku wiceprzewodniczący Ruchu Demokratyczno-Społecznego.
W 1992 roku współzałożyciel i do 1997 roku wiceprzewodniczący Unii Pracy.
W latach 1992–1997 poseł na Sejm RP.
Od 2008 roku prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa.
Członek Rady Programowej Polskiego Radia.
Od marca 2018 roku Zastępca Przewodniczącego Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Wolności i Solidarności
oraz innymi odznaczeniami.

Był zawsze oddany Rzeczypospolitej i sprawom drugiego człowieka.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl bbf3cf9c28

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Womenizacja

Po tym, jak feminazistki zaczęły słowo „historia" przerabiać na „herstoria", wydawało się, że głupiej już nie można. Można! I to nie byle gdzie – w Kongresie USA, i nie byle kto – świeżo wybrany deputowany demokratów. Poproszony, jako pastor, o odmówienie przed obradami zwyczajowej modlitwy zakończył ją bardzo niezwyczajowo: „amen i awomen". Narzucające się podejrzenie, że chciał sobie zakpić z feministycznej mody, niestety nie znajduje potwierdzenia.

Lingwistyczny świr feminazizmu może i nie zaskakuje – masakrowanie języka to stary marksistowski sznyt, nie przypadkiem Stalin wśród swych licznych tytułów miał „wielkiego językoznawcę". Rewolucja Joe Bidena i Kamali Harris idzie dalej – jak widać, atakowane są już nie tylko słowa, które (specyfika angielszczyzny) zbudowane zostały z dwuznaczną cząstką „man", określającą zarówno „człowieka", jak i „mężczyznę", lecz także takie, w których irytująca wyznawczynie Nowej Wiary cząstka znalazła się w ogóle przypadkiem. „Amen" to słowo hebrajskie, oznaczające „niech się stanie". Nie przeszkadza to szaleńcom, podobnie jak fakt, że „his" w słowie „historia" nie może oznaczać „jego", bo to nie tylko bez sensu, ale i całe słowo pochodzi ze starożytnej greki.

Osobnym rozdziałem jest kalkowanie nonsensów amerykańskich przez tutejsze nawiedzone, z mechanicznym przenoszeniem ich do polszczyzny, w której w ogóle „mężczyzna" i „człowiek" to dwa różne słowa, a rodzaj gramatyczny rzeczownika z zasady nie jest tożsamy z płcią czy rodzajem tzw. desygnatu – wszystkie kluczowe dla znienawidzonego „patriarchatu" słowa, takie jak „mężczyzna", „tata", „patriota" czy właśnie „patriarcha", są u nas przecież rodzaju żeńskiego.

Nie wątpię, że „ałumen!" stanie się bojowym zawołaniem wdzierających się do kościołów „Julek". Ale czy na tym skończy się kreatywność? Czy w restauracjach pojawi się womenu, w aptekach leki herstaminowe, a w podręcznikach psychologii womentalność? Za tym ostatnim nawet obstaję – jako synonim słowa „szajba". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Dziadersi z „Wyborczej"

Żaneta Gotowalska z „Gazety Wyborczej" podsumowała rok 2020 jako „rozpoczęcie pożegnania dziadersów". Teraz „miejsce pokolenia KOD zajęła nowa generacja" i już wreszcie „nie ma czegoś takiego jak »nie wypada«, jeśli chodzi o hasła na demonstracjach. Dzięki temu najwięcej dobra niosło słowo »wyp..rdalać«, a »policja« i »Kościół« były synonimami zła".

W oryginale oczywiście nie ma żadnych kropek, bo w „Wyborczej" nowej generacji też już „nie ma czegoś takiego jak »nie wypada«". Wydaje się przy tym, że pani Gotowalska ma trochę racji. Pokolenie, które się zastanawiało, jak godzić prawa i obowiązki, interes narodowy i uniwersalizm, walkę i szacunek, które demokrację kojarzyło z debatą publiczną – nie ma już tu wiele do powiedzenia. Szczególnie ci dziadersi do kwadratu, którzy (jak – mea culpa – ja sam) z Dominiką Wielowieyską gorszyli się na zaczepianie w pociągu redaktora Michnika przez posła Tarczyńskiego. Teraz zamiast wydziwiania na temat tego, co wypada, a co nie, dla generacji pani Gotowalskiej lepsze są proste plakatowe formuły: „nie trzeba było kobiet wkur..ać". Albo – jak może wolałby powiedzieć poseł Tarczyński – „nie trzeba było wk.. wiać Polaków"!

Wygląda na to, że właśnie tak będą wyglądać przyszłe polityczne spory, że czas przestać przejmować się „demokracją", „pluralizmem" i całym tym dziaderstwem, na czele z „prawami człowieka" i „praworządnością". W tej rupieciarni pewnie od czasu do czasu znajdzie się jakaś użyteczna pałka, ale to nie ona pięścią, ale pięść nią będzie machać.

Gdy przypominam sobie reakcję Konstantego Geberta na wrześniowy wywiad z Urbanem, mam wrażenie, że część dziadersów z „Wyborczej" zaczyna rozumieć, w jakie bagno wdepnęła. A może jednak się cieszą, że odnieśli sukces życiowy? Nie ulega bowiem wątpliwości, że wyrosła im taka generacja następców, jaką sobie długo i wytrwale chowali. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W gorzko-słodkim sosie neapolitańskim

Neapol jest pięknym, uroczym, ale chaotycznym i niebezpiecznym miastem. To stolica włoskiego bezprawia, królestwo camorry i młodocianych gangów. Ale to tam wymyślono „kawę w zawieszeniu" (cafe sospeso): kupując kawę w barze, płaci się za swoją i drugą dla kogoś, kogo na nią nie stać.

Italię właśnie obiegła, przeraziła i zachwyciła historia ukazująca dwie jakże różne twarze tego miasta. 52-letni masarz Gianni Lanciano, utrzymujący żonę i dwóch synów, sześć lat temu stracił pracę i para się zajęciami dorywczymi. Ostatnio na swoim skuterze rozwoził pizzę. Późnym wieczorem, gdy ulice z powodu lockdownu były puste, napadło go sześciu młodzieńców. Grożąc pistoletem i nożem, pobili go i ukradli mu skuter.

Napad telefonem z okna swego mieszkania sfilmował anonimowy świadek. Nie wezwał policji, ale wrzucił filmik do sieci, który obiegł całą Italię, a nawet trafił do głównego wydania dzienników włoskich stacji telewizyjnych, na strony internetowe gazet i agencji informacyjnych. Neapolitańczycy skrzyknęli się w Internecie i błyskawicznie, dzięki drobnym datkom, 5–10 euro, plus 2,5 tys. od piłkarza Lazio Mohameda Faresa (24 lata, Francuz pochodzący z Algierii), zebrali 11 tys. euro na nowy skuter dla Gianniego Lanciano. Policji dzięki filmikowi udało się złapać sprawców (17 i 18 lat) i odzyskać skradziony skuter.

Masarz wytropiony przez włoskie telewizje w wywiadzie mówił, że z jednej strony jest wściekły na sprawców, ale z drugiej im współczuje („Przecież to są młodzi chłopcy, którzy pobłądzili"). Potem zaapelował do neapolitańskiej młodzieży: „Nie wstydźcie się prostej, skromnej pracy jak moja. Lepiej rozwozić pizzę, niż być bandytą". Pytany, czego by sobie życzył najbardziej, powiedział, że chciałby mieć stałą pracę w swoim zawodzie, w którym przepracował 27 lat. W związku z tym właściciel sieci sklepów mięsnych w Neapolu i okolicach Luciano Bifulco poprzez włoskie media przekazał Gianniemu: „Czekamy na ciebie z otwartymi ramionami". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Szczepionkowa prowokacja

Ostatnie tygodnie zdominowały dwa tematy: wpychanie się do szczepienia przed kolejką i wchodzenie do Kongresu bez zaproszenia. Zacznijmy od polskiego podwórka. „Jako społeczeństwo powinniśmy chronić swoje elity. Dlatego zaszczepienie Krystyny Jandy, Wiktora Zborowskiego, a nawet młodszej ode mnie Marii Seweryn mnie nie oburza. Problemem są ci, którzy szczepić się nie chcą" – skomentował Krzysztof Adam Kowalczyk z „Rzeczpospolitej".

Gdy już ustaliliśmy społeczną hierarchię, wejdźmy w temat nieco głębiej. „A może ktoś wmanewrował popularne osoby do wzięcia udziału w akcji zachęcającej do szczepienia, żeby zdyskredytować popularnych przedstawicieli kultury o wyrazistych poglądach, którzy po prostu chcieli dać przykład? I skończyło się na glanowaniu ich z każdej strony" – ujawnił swoją teorię kolega redakcyjny Kowalczyka, Jacek Nizinkiewicz. W kierunku ogólnopolskiej konspiracji poszedł również inny dziennikarz. „Artyści najwyraźniej padli ofiarą paskudnej prowokacji. Powinni być oczywiście ostrożniejsi i nie korzystać skwapliwie z propozycji. Tyle" – stwierdził Tomasz Lis.

W tym gronie nie mogło zabraknąć Przemysława Szubartowicza. „Myślicie, że pisowcy specjalnie dali okazję antypisowskim celebrytom, żeby się zaszczepili przed wszystkimi i żeby teraz naród darł z nich łacha? Paranoja, prawda? A jednak w państwie PiS taki numer mógłby przejść. Tak czy owak: ludzie znowu podzieleni i napuszczeni na siebie" – dodał, ale równie dobrze mógł skończyć tweet na słowie „paranoja".

Na koniec polityka zagraniczna. „Wszędzie jest jakiś Trump, więc każdy z nas musi bronić Kapitolu" – napisał Donald Tusk. „PiS się będzie żegnał z władzą podobnie. Oby skutek był podobny" – dodał Sławomir Nitras. „Sceny z USA powinny być dla nas przestrogą. PiS przegra wybory, do Sejmu wpadnie Pan Rydzyk ze swoimi kumpelami i kumplami. Musimy być na to gotowi!" – wieszczył Tomasz Trela. „Kto będzie polskim Mikem Pencem w decydującym momencie? [pisownia oryginalna – przyp. red.]" – pytał Dariusz Joński. „Wy się martwcie, żebyście swojego Bidena znaleźli" – zbiorczo odpowiedziała politykom Kataryna. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. PAWEŁ GROMADA

MYŚLĄ O SOBIE ALBO WCALE

Miniony tydzień upłynął pod hasłem skandalu, jakim była celebrycka akcja szczepień na COVID-19. Znani i lubiani doszli bowiem do wniosku, że nie będą czekać na swoją kolej, tylko zaszczepią się jako pierwsi, razem z lekarzami i personelem medycznym. Kto im zabroni? Przecież nie rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, który sam zaprosił ich bez kolejki! Kiedy celebryci połapali się, że prawda wyszła na jaw, a opinia publiczna jest zażenowana i zbulwersowana ich wyczynem, ruszyła lawina tłumaczeń i rozmaitych wersji zdarzeń, które kolejno były weryfikowane przez rzeczywistość. Najpierw, że to akcja promocyjna szczepień. Tylko dlaczego, jak się okazało, nikt o niej nie słyszał, a Krystyna Janda wraz z córką i byłym mężem, Olgierd Łukaszewicz, Wiktor Zborowski, panowie Miszczak i Walter z TVN zostali zarejestrowani jako personel niemedyczny szpitala? Potem była wersja, że szczepionki były otwarte i mogły się zmarnować, więc szybki telefon do TVN i teatru Jandy uratował drogocenny towar. Niestety, ta wersja też się nie utrzymała, bo studenci i medycy z WUM zaczęli pisać na Facebooku, że byli w tym czasie w szpitalu – ba, byli nawet na liście kolejkowej i chętnie stawiliby się z marszu na szczepienie, ale jakoś nikt do nich nie zadzwonił. Za to zadzwonił ktoś do pani Jandy. Przypomniał nam się przy tej okazji jeden z licznych wywiadów Krystyny Jandy, w którym narzeka na polskie społeczeństwo. – Myślą wyłącznie o sobie. Albo nie myślą – mówiła dwa lata temu. Lepiej byśmy tego nie ujęli!

SKUTKI UBOCZNE

Bardzo ładne tłumaczenie faktu zaszczepienia się w grupie 0, czyli razem z medykami, zaprezentowała niejaka Mariola Bojarska-Ferenc, trenerka fitness i stała bywalczyni telewizji śniadaniowych. Tak, okazało się, że ona też zaszczepiła się poza kolejnością. Wraz z mężem. – To był zupełny przypadek – tłumaczyła w „Fakcie". – Po prostu wyczytaliśmy na stronie WUM informację, że jest taka możliwość, że jest dodatkowa pula dawek. I szybko zgłosiliśmy się z mężem do centrum przy WUM. Nikt mi tego nie załatwił – zarzekała się. Dodała też, że od kiedy usłyszała, że w Polsce jest szczepionka na COVID-19, non stop siedziała w Internecie i szukała informacji na ten temat. I tak oto, przypadkiem, znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie, czyli w przychodni WUM, gdzie akurat szczepiono celebrytów. – Nie jestem jakąś nastolatką, co się wepchała przed kolejkę, tylko mam już 60 lat. Dokładnie za dwa tygodnie skończę, więc i tak niebawem bym się zaszczepiła – dodała. Celebrytki, które obwieszczają wszem wobec, że są seniorkami, i spowiadają się publicznie z tego, jak dużo mają lat! Takich skutków ubocznych to się nie spodziewaliśmy!

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

BEZ MĄDRYCH RAD

Tymczasem Edzia Górniak wyznała, że w minionym roku przeżyła bolesną zdradę, ale teraz wie już, jak radzić sobie z takimi traumami. – Pytaliście mnie w ogóle, jak wyjść z takiej traumy. Nie mam mądrych rad w tej kwestii, jeśli chodzi o takie nadużycie zaufania, to jest to bardzo trudny proces. Ale ja sobie robię takie ćwiczenia i wam też polecam. Polega to na tym, że niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji się znajdujemy, to za wszelką cenę staram się dostrzegać dobrą stronę każdego wydarzenia. Bo każda sytuacja na świecie ma dwie strony. Każda. Nawet skrajne – tłumaczy Edyta. Szukając pozytywów w wypowiedzi Edzi, musimy docenić jej noworoczne wyznanie, że „nie ma mądrych rad w tej kwestii". Dodalibyśmy jedynie, że nie tylko w tej kwestii.

PAŃSTWO CELEBRYCI NA WYWCZASIE

Barbara Kurdej-Szatan pochwaliła się ostatnio pobytem na Zanzibarze, gdzie wraz z rodziną powitała Nowy Rok. Chętnie zamieszczała w Internecie zdjęcia z egzotycznego urlopu, co trochę zdenerwowało część jej fanów, którzy zarzucili jej hipokryzję. „Po powrocie z rajskich wakacji prosimy o powstrzymanie się od publicznego lamentu, jaka to bieda dotknęła artystów w związku z pandemią i że nie mają za co żyć. Mamy już dosyć hipokryzji »artystów«. Miłych wakacji nr 47473728092" – napisała jej jedna z internautek. Kurdej-Szatan mocno się zdenerwowała. I tłumaczyła, że wypowiedziała się nie w swojej sprawie, a „na temat swoich kolegów z branży". A nam przypomniało się oburzenie jej małżonka, który raptem dwa miesiące temu domagał się od rządu... rekompensaty „za niegrane spektakle i koncerty". – Za wszystkie bilety, wszystkie straty związane z waszymi decyzjami – wyliczał w apelu do premiera. Cieszymy się ogromnie, że państwu celebrytom udało się polecieć na cudne wakacje bez rekompensaty rządu. I bez wstydu. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się macie w nowym roku 2021? Świeckowaliście sylwestrę hucznie w gronie frendów czy w domach, jak pan premier przykazał? xD

W ogóle to musimy Wam powiedzieć, iż bardzo nie podobały nam się życzenia mówiące, iż „dobrze, że ten 2020" się skończył, to był taki zły rok. Nie możemy w tak jednoznaczny sposób się wypowiadać, ponieważ może to naruszać czyjąć moralność albo nawet amoralność, kiedy osoba nie ma sprecyzowanego pomysłu, co może być dobre, a co złe.

Powinniśmy za to oczekiwać, iżby 2021 r. był możliwie neutralny, co oznaczałoby zarówno okiełznanie koronawirusoosoby i powrót do sanitarnego status quo (+ może zachowanie nawyku mycia rąk po wizycie w toalecie), a jednocześnie zostawiałoby interpretacyjną furtkę dla każdego i nie było jednoznacznie ocenne, a więc nie wartościowałoby nowego roku. W każdym razie życzymy Wam, iżby było Wam przyjemniej niż w 2020.

To był przykry pokaz panoszenia się Polaków w poważnym, europejskim turnieju. Mówimy tu of kors o Turnieju Czterech Skoczni, w którym wygrał Kamil Stoch, a w pierwszej szóstce ostatecznie znalazło się czterech reprezentantów tego kraju.

Przykro było patrzeć na skoczków niemieckich i norweskich, którzy postawieni wobec takiego brutalnego pokazu siły nie potrafili się odnaleźć, iż w ich kulturach dominują inne narracje niż patriarchalno-maskulinistyczne prężenie muskułów.

Dobrze przynajmniej, iż na trybunach nie było kibiców. Strach bowiem pomyśleć, co by to było, gdyby wąsate janusze mogły na żywo dopingować swoich ulubieńców i wygwizdywać Geigera z Granerudem. Takiego pokazu naturalistycznego patriotyzmu byśmy chyba nie wytrzymali, a Europa tym bardziej.

Tak w ogóle to jesteśmy przerażeni, iż premier zapowiedział, że niebawem czeka nas „nowy polski ład". A wiadomo, iż jeśli rząd zapowiada ład, to czeka nas bu... coś zgoła przeciwnego.

Jak się też zapewne domyślacie, nie podoba nam się nazwa. „Polski ład", a więc – tłumacząc to naszym młodszym czytelnikom – porządek. W dodatku porządek polski, w którym, jak rozumiemy, nie ma miejsca dla różnych mniejszości. Stąd też prosta droga do domniemania, że porządek w tym kraju może być tylko dla Polaków. Przynajmniej nam tak to wygląda.

My natomiast tęsknimy za jakimś uniwersalnym ładem, który pozwoliłby zorganizować relacje społeczne w tym kraju zgodnie z wartościami europejskimi, które także chcielibyśmy nie tylko podzielać, lecz także realizować.

Cóż, ten rok zaczął się od zwycięstwa Stocha i ogłoszenia „nowego polskiego ładu", nie jest jednak, kurde, dobrze. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Na narty

Krzysiek, to jest wszystko za mało, żeby się jakoś przypomnieć. I to biuro zagraniczne, i to weto do ustawy o działach, co je chcę złożyć.
Do czego?

Widzisz, nawet ty nie wiesz. Nikt nie wie. Jak ja się mam tym w ogóle pochwalić? Znów mnie ktoś zapyta, kiedy się rządowi w czymś postawiłem, a ja mu powiem: „Złożyłem weto do ustawy o działach". Przecież nikt normalny nie wie, o co tu biega. Jakiś jeszcze pomysł mi daj.
No nie wiem... Będziemy walczyć o spotkanie z Bidenem, ale...

Tak, już widzę, jak się zgadza. Najpierw mi mówisz, żeby się nie spieszyć z gratulacjami, żeby zamieszek nie potępiać, a potem on mnie akurat przyjmie. Chyba w przedpokoju.
Słuchaj, a może coś z nartami?

Zwariowałeś? Już i tak wszyscy sobie kpią, że jak się gdzieś pojawiam, to żeby na nartach pojeździć.
Nie, ale w kontekście epidemii. Pojeździsz na jakimś stoku, który się zbuntuje i otworzy. Zobacz, ile korzyści naraz: sprzeciw wobec rządu, poparcie dla górali, poparcie dla przedsiębiorców i jeszcze ładne obrazki, jak szusujesz.

To jest myśl! Idę narty pakować.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Sądziłem, że takich prowokacji po upadku komuny nie doczekam. Bolszewizm w czystej postaci"

MARIUSZ SZCZYGIEŁ, *pisarz, na Instagramie o tym, że uważa zaszczepienie się Krystyny Jandy przed medykami za prowokację rządu Zjednoczonej Prawicy*

eprasa.pl bbf3cf9c28

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Śpieszymy donieść o powstaniu specjalnego zespołu ds. trampoliny. Zespół powstał w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Wiemy, nowa struktura organizowana przez Krzyśka Szczerskiego ma być niby takim odpowiednikiem BBN w sprawach polityki zagranicznej, ale wiewiórki zdradziły nam prawdziwy cel.

Chodzi o to, żeby już teraz szykować prezydenta Andrzeja Sebastiana na długi marsz. Za pięć lat nie będzie już mógł ponownie zostać prezydentem, a emerytura w wieku lat 53 to nie jest dobry pomysł. Grupa Szczerskiego ma przez najbliższe lata pracować nad wybrukowaniem Andrzejowi Sebastianowi drogi do jakiegoś poważnego stanowiska międzynarodowego. Czyli biuro będzie trampoliną do dalszej kariery dla PAD-a. Lepsze jutro budujemy dziś.

Żeby nie było – pomysł konsultowano z Nowogrodzką i wie o nim oraz go akceptuje prezes wszystkich prezesów, szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. Wiewiórki przebąkują nawet, że to bardzo dobre rozwiązanie dla przyszłości PiS – żeby Andrzej Sebastian nie objawił się przypadkiem za pięć lat jako dodatkowy niespodziewany kandydat do sukcesji po SWP Kaczyńskim.

Niektórzy ekscytują się też tym, że w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana rozpoczęła się likwidacja grupy zachodniopomorskiej, której ostatni przedstawiciel, Paweł Mucha, został wyeksmitowany do Narodowego Banku Polskiego. Szczecin w odróżnieniu od Krakowa i Warszawy nigdy nie był stolicą Polski, więc nie powinien mieć żadnej grupy, a już tym bardziej u prezydenta. Prawda jest bardziej skomplikowana.

Otóż Paweł Mucha teraz zarabiać będzie w NBP – i to dużo więcej niż w pałacu – ale nadal pozostanie nie tylko doradcą społecznym prezydenta Andrzeja Sebastiana. W dalszym ciągu ma chodzić po mediach jako głos pałacu. Zatem roboty będzie miał tyle samo, ale na o wiele korzystniejszych warunkach.

Nie oznacza to jednak, że Szczecin jest do niczego niepotrzebny. Właśnie tamtejsza prokuratura wszczęła ponownie śledztwo w sprawie inwigilacji dziennikarzy za czasów złego Donalda z Sopotu i Brukseli. Śledztwo wcześniej prowadzone było w Krakowie i – o dziwo – umorzone. Szykujemy popcorn.

Grupa krakowska dokonała natomiast przetasowania przez dokooptowanie na wiceszefa kancelarii Piotra Ćwika, byłego wojewody małopolskiego. Ćwik to człowiek Bełaty Szydło. Wcześniej na szefa specjalnego zespołu ds. rolnictwa powołany został Jan Krzysztof Ardanowski. Wiewiórki mówią, że prezydent Andrzej Sebastian zamierza utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi frakcjami w PiS. Przecież obiecał, że będzie łączył, nie dzielił.

Bardzo nam się podoba chryja o pozakolejkowe szczepienia rozmaitych pupili słusznie minionego reżimu ze świata celebrytów. Ileż ciekawych wniosków z niej płynie! Zatem: pandemii oczywiście nie ma, rząd PiS jest zły, nie pozwala Polakom chodzić do kina i teatru oraz łamie konstytucję, a także prawa człowieka i Giertycha, ale jeśli jest okazja się zaszczepić, to hyc, pupilki galopują jak cyrkowe koniki! Brawo! Bis!

No i drugi wniosek – podstępność reżimu nie ma granic! Zamiast najpierw zaszczepić swoich, szczepią Jandy i Materny! Cóż za przebiegłe dranie! A przecież Eine Totalopposition marzy o tym, by cierpieć z rąk siepaczy! Cóż, będzie się musiała zadowolić cierpieniami w postaci lekkiej gorączki po ukłuciu.

Najzabawniejsze jest oczywiście to, że gwiazdozbiór szczepiony poza kolejką w WUM został zapisany na listach jako „personel niemedyczny". Kierunek dobry, ale potrzebna drobna poprawka. Od dawna czytamy wypowiedzi celebrytów z Eine Totalopposition na tematy polityczne i nie mamy wątpliwości, że należało ich zapisać raczej jako pacjentów.

Ponieważ jesteśmy przekorni, w jednej sprawie chcieliśmy WUM pochwalić. Otóż w zalewie wpisów studentów i wykładowców o tym, jak to jest tam źle, bo mobbing, chamstwo i inne atrakcje, rozbawił nas zarzut, że w dodatku kto nie chodzi na zajęcia, ten ma przechlapane. A wydawać by się mogło, że studiowanie polega na chodzeniu na zajęcia. Cóż, byliśmy w mylnym błędzie.

Tymczasem w PiS trwają manewry wokół podziału Mazowsza. Trzymamy kciuki, bo chcielibyśmy dożyć końca kariery marszałka Adama Struzika, znanego mecenasa dzieci chodzących do szkoły oraz poety. Manewry są ciekawe. Jest pomysł, by utrudnić Peło zwycięstwo w przyszłej osobnej Warszawie. Na przykład żeby dołączyć do stolicy te podwarszawskie powiaty, które zazwyczaj głosują na PiS. Osobiście wątpimy, czy Ząbki przegłosują Miasteczko Wilanów, ale na pewno będzie ciekawie.

Punktem spornym pozostaje kwestia, gdzie będzie stolica ziemi mazowieckiej. Płock czy Radom? Z jednej strony miasto królów, książąt i Orlenu. Z drugiej – miasto Suskiego i Łucznika. Szans nie mają Siedlce. Za karę. Miasto co prawda najbardziej PiS-owskie, ale osobiste ambicje miejscowych działaczy sprawiły, że urząd prezydenta tego miasta wypadł z rąk PiS. Siedziba sejmiku trafi do Płocka, a Urząd Wojewódzki do Radomia. Albo na odwrót.

Tymczasem naukowcy donoszą, że Ziemia obraca się obecnie szybciej niż 50 lat temu. Nie mamy wątpliwości, że winnym w tej sprawie jest Jarosław Kaczyński. Wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, polskie wydało go plemię.

Piszemy te słowa, nie wiedząc jeszcze – z powodu opieszałości naukowców – czy to, że Ziemia obraca się szybciej, jest dobre czy złe. Zakładamy, że złe, stąd powyższa notka. Gdyby naukowcy powiedzieli, że dobre, to oczywiście zmienimy zdanie i całą zasługę przypiszemy Komisji Europejskiej. „Wstrzymała Słońce, ruszyła Ziemię, wszyscy dziękujmy frau Leyen z Niemiec". ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

Przeplatając przeszłość z przyszłością – kilka słów o poznańskiej Wildzie

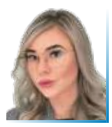

Anna Mojsiuk

Poznań to rogale świętomarcińskie, koziołki, gwara i nietuzinkowe nazwy dzielnic. Na przykład Wilda, blisko centrum i z wyjątkową historią. Zanim stała się częścią Poznania, była małą wsią Wierzbice. To było 600 lat temu, gdy Poznań był miastem aspirującym, by stać się stolicą Polski. Wierzbice wraz z pobliską wsią Minikowo zostały wtedy oddane poznańskiemu biskupowi Władysławowi Odonicowi, który w 1488 r. sprzedał je Mikołajowi Wildze. Wtedy zaczęto nazywać Wierzbice folwarkiem wildzinym, wildzkim lub po prostu Wildą – od nazwiska tego niemieckiego agenta handlowego z Norymbergi. Ponoć był bardzo bogaty, bardzo przedsiębiorczy i bardzo ten wiejski folwark rozwinął. Na miejsce chat krytych słomą stawiał murowane domy i kamienice. A gdy umarł, jego syn sprzedał wieś miastu. Dla Poznania Wilda ze swoimi młynami stała się miejskim spichlerzem. Zanim legendarne w Polsce stały się poznańskie pyry, miasto kojarzone było z pszenicą i końmi. Jedno i drugie – dzięki Wildzie.

A potem był potop szwedzki, pożary, zniszczenia i ucieczka miejscowej ludności. Do wyludnionej Wildy miasto ściąga osadników z Bambergu, których poznaniacy nazywają Bambrami. To oni podnoszą Wildę z ruin i od tego momentu teren ten nabierał coraz bardziej charakteru miejskiego. Powstają ulice, kamienice, warsztaty, fabryki, które potrzebują rąk do pracy, robotników i inżynierów, gosposie domowe i nauczycieli. Ściągają tu Polacy i Niemcy. Wilda staje się popularnym miejscem do zamieszkania. Z roku na rok rośnie więc liczba mieszkańców.

Na początku XX w. zakłady Hipolita Cegielskiego wykupują w Wildzie tereny od niemieckich fabrykantów i rozpoczynają tu produkcję lokomotyw, wagonów kolejowych i maszyn rolniczych. To właśnie przez tę fabryczną bramę wychodzą strajkujący robotnicy 28 czerwca 1956 r., by pod komitetem partii zaprotestować przeciwko komunistycznemu reżimowi. To pierwszy wielki robotniczy protest w PRL i pierwszy tak krwawo stłumiony, o czym można przeczytać na pamiątkowych tablicach przy bramie Cegielskiego.

Jak dziś żyje się na Wildzie?

Trudno uwierzyć, że była to kiedyś podpoznańska wioska.

Do centrum z rynku Wildeckiego jedzie się stąd tramwajem pięć minut. Tyle samo do dworca. Przyszłość przeplata się tu z przeszłością, XIX-wieczne kamienice z nowoczesnymi osiedlami, a ciemne podwórka z zielonymi placami zabaw dla dzieci.

Idealnym przykładem ponadczasowości tej dzielnicy jest nowa inwestycja dewelopera GRUPA INWEST, znajdująca się przy zbiegu ulic Czarnieckiego oraz Roboczej. To projekt dedykowany najbardziej wymagającym klientom, którzy poszukują poczucia przestrzeni i oryginalności, pozostając zarazem blisko serca miasta. Wilda Corner składa się z 60 mieszkań oraz 10 lokali usługowych. Różnorodność oferty pozwala każdemu znaleźć swoją przestrzeń. W ofercie można znaleźć zarówno mniejsze mieszkania idealne na start lub pod inwestycję, jak i mieszkania większe, rodzinne, w tym także dwupoziomowe. Zostały one zaprojektowane funkcjonalnie, tak aby każda powierzchnia została jak najlepiej wykorzystana.

Tu się mieszka, tu się pracuje, tu można odpocząć. Świetną odskocznią na Wildzie jest park Jana Pawła II położony przy Łęgach Dębińskich, który jest jednym z najpiękniejszych miejsc na mapie Poznania. Jest odwiedzany przez całe rodziny, właścicieli psów, można też wypić tu kawę. Zakupy na Wildzie można zrobić na lokalnym ryneczku, gdzie dostaniemy swojskie produkty i nie tylko. Zjeść można w klimatycznych restauracjach przy ulicach Świętego Czesława czy Różanej, choć tak naprawdę cała dzielnica jest nimi przepełniona.

To naprawdę fajne miejsce! Warto się przekonać.

Grupa Inwest®
HM Inwest S.A.

MATERIAŁ PARTNERA HM INWEST

eprasa.pl bbf3cf9c28

Leszek Żebrowski

Nowa szkoła pisania o Holokauście nie wzięła się znikąd. Ma głęboką tradycję znieważania Polaków kłamstwami. Nie byliśmy na to przygotowani dawniej, nie jesteśmy do dziś

Antypolski terror propagandowy

Przed ponadćwierćwieczem Stanisław Krajewski – prominentny przedstawiciel społeczności żydowskiej w Polsce (prawnuk jednego z czołowych działaczy Komunistycznej Partii Polski) – wymyślił rzecz następującą: oto dyskusja na temat „polskiego antysemityzmu" przechodzi przez kolejne rundy. I opublikował na ten temat artykuł pt. „Postawy i zachowania wobec Żydów w czasie wojny. Publiczna dyskusja rozpoczęła się" (Stanisław Krajewski, Attitudes and Behavior Toward Jews During the War. A Public Debate Begins, „The American Jewish Committee's Report from POLAND", maj 1994).

Pierwszą rundą miał być osławiony artykuł Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto" („Tygodnik Powszechny" z 1987 r.), m.in. o rzekomej karuzeli na pl. Krasińskich w Warszawie, na której Polacy bawili się podczas likwidacji getta.

Redakcja bardzo selektywnie dobrała listy do redakcji, negując w ten sposób najważniejsze głosy krytyczne. Wprawdzie od dawna wiemy, że niemiecka karuzela wówczas nie była czynna (z różnych przyczyn, przede wszystkim z racji bezpośredniej bliskości z murem getta), jednak kłamliwa propaganda odżywa co roku.

Za drugą rundę owej dyskusji S. Krajewski uznał ciąg publikacji „Gazety Wyborczej" (w 1993 r.) o rzekomym

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

mordowaniu Żydów przez Narodowe Siły Zbrojne. I choć gazeta swej tezy nie udowodniła, to przez nagłaśnianie i rozpowszechnianie odpowiedni podkład został zrobiony, a owe publikacje służą tzw. światowej opinii publicznej jako ostateczny dowód postawy tej organizacji.

I wreszcie runda trzecia – to wyjątkowe paszkwile „Gazety Wyborczej" z 1994 r. (Michał Cichy i Adam Michnik) o rzekomych „czarnych kartach" powstania warszawskiego, podczas którego „AK i NSZ wytłukły mnóstwo niedobitków z getta". Owe paszkwile faktycznie zasługują na bardzo szczególną uwagę, doszło bowiem do niesłychanej skali fałszowania źródeł historycznych (dokumentów i nawet wielkonakładowych, ogólnodostępnych publikacji), co wówczas wydawało się rzeczą całkowicie kompromitującą dla autorów i „Gazety". Ale według Krajewskiego „w wyniku tej publicznej debaty nie ma Polaka, który mógłby uważać się za ignoranta w sprawach postaw antysemickich w czasie II wojny światowej. I ten ważny fakt jest wkładem do dzisiejszej wolnej Polski". Było to jakby wstępne legalizowanie pewnego sposobu pisania o najnowszej historii Polski.

NIEKOŃCZĄCY SIĘ FAŁSZ

W istocie fałszowanie stosunków polsko-żydowskich (głównie podczas drugiej wojny światowej, ale nie tylko) jest to niekończąca się opowieść, którą trudno podzielić na rundy. Zaczęło się od zajadłej kampanii antypolskiej na gruncie amerykańskim (w czasie pierwszej wojny światowej i podczas odzyskiwania przez Polskę niepodległości), w której wykorzystywano zdjęcia kozackich pogromów, organizowanych przez carat rosyjski z pierwszych lat XX w. i dopuszczano się fałszerstw oficjalnych dokumentów (!). Przez cały okres istnienia II RP mieliśmy do czynienia z tym samym zjawiskiem.

Zalew takiej propagandy nasilił się wkrótce po drugiej wojnie światowej. Od lat 60. ubiegłego wieku rozpoczęło się jej „zagęszczanie" w światowej prasie, jak również w literaturze. Przykładem może być bestseller amerykański Leona Urisa „Miła 18" z 1961 r. Gazety i periodyki nie tylko w USA i Europie Zachodniej, lecz także w Ameryce Południowej, Azji czy Australii zaczęły posługiwać się terminem „polskie obozy koncentracyjne" i „polskie obozy zagłady". Opinia polska niewiele mogła zrobić. Środowiska emigracyjne informowały o tym prawie wyłącznie w prasie polskojęzycznej, co miało znikome znaczenie. Listy do gazet i periodyków anglojęzycznych były ignorowane. Do Polski Ludowej zaś to i tak nie docierało (ścisła cenzura!), a komunistyczne władze całkowicie tę propagandę ignorowały. A było tego coraz więcej, doszły również filmy, w których kłamliwe wtręty na temat Polaków wobec Żydów stały się dosłownie kanonem takiej sztuki.

W 1974 r. ukazało się ogromne, dwutomowe opracowanie Reubena Ainszteina, które było zapowiedzią przełomu i dalszej eskalacji: „Jewish Resistance in Nazi-Occupied Eastern Europe. With a historical survey of the Jews as fighter and soldier in the Diaspora" (London 1974). Wszystkie granice przyzwoitości i rzetelności już pękały.

Ainsztein pisał wprost: „Polscy faszyści podczas powstania [warszawskiego – przyp. L.Ż.] prawdopodobnie zabili więcej Żydów niż Niemców: tylko w jednym wypadku zamordowali 30 Żydów, którzy wyszli z kryjówek na ul. Długiej 25, aby przystąpić ochotniczo do powstania. Wielu z polskich nazistów to byli polscy oficerowie i jako takim dano im dowództwo nad oddziałami Armii Krajowej, gdzie robili wszystko, aby zintensyfikować antyżydowską nienawiść [...]". A trzeba przypomnieć, że ten autor już wcześniej, bo w 1958 r., wszczął dyskusję w Wielkiej Brytanii na temat antysemityzmu Armii Krajowej.

Do pseudodyskusji włączyli się również emigranci marcowi 1968 r. W londyńskim wydawnictwie Kontra (znanym przede wszystkim z edycji książek Józefa Mackiewicza) w 1988 r. ukazało się dzieło dr. Icchaka (Henryka) Rubina: „Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939–1945". Według tego autora dosłownie wszystkiemu winni byli Polacy. To nie „nowa szkoła" pisania o Holokauście rozpoczęła taką narrację o okupacji w Polsce. To już było solidnie przygotowane.

„Jeżeli w Polsce partyzantka żydowska była bardzo nikła do drugiej połowy 1942 r., to stało się to wyłącznie z powodu wrogiego stosunku do niej Delegatury Rządu RP na wygnaniu, Dowództwa Armii Krajowej i prawie całej ludności polskiej, zwłaszcza wiejskiej, która po prostu urządzała obławy na Żydów i oddawała ich w ręce Niemców. [...]

Getta i obozy były otoczone przez obcy, niechętny, a najczęściej wrogi świat, gdzie chmary »szmalcowników«, donosicieli i dzieci, polskich dzieci, czyhały na każdego Żyda, który wydostał się zza murów. [...] Stosunek Polski Podziemnej i całej prawie ludności polskiej do Żydów powodował, że getto i obóz pracy lub obóz koncentracyjny były jedynymi miejscami na świecie, które dawały Żydom nikłą nadzieję i szansę na przetrwanie [...]".

eprasa.pl bbf3cf9c28

Nic nowego? No właśnie, ale kto to wszystko rejestruje i analizuje na bieżąco... Po tzw. wyzwoleniu nic się według takich autorów nie zmieniło, ponieważ „po całej Polsce rozlała się fala masowych mordów i pogromów antyżydowskich. Tylko w 1945 r. zamordowano 353 Żydów, a w ciągu niespełna trzech lat, do połowy 1947 r., zamordowano tysiąc Żydów. [...] A przecież w drugiej połowie 1947 r. i w 1948 r. mordowano dalej Żydów w Polsce. Dla porównania należy wskazać, że w ciągu pięciu lat i trzech miesięcy, od 30 stycznia 1933 r. do 25 kwietnia 1938 r., w Trzeciej Rzeszy zamordowano łącznie z zamęczonymi w obozach koncentracyjnych 200–225 Żydów [...], czyli pięć razy mniej niż w wyzwolonej od Niemców Polsce w ciągu niespełna trzech lat. A mordercami w Polsce nie były SA i SS, lecz AK i specjalnie utworzone dla działalności terrorystyczno-dywersyjnej, dyrygowane z Londynu antysowieckie i antyżydowskie organizacje »NIE« i »WiN« pod wodzą generałów L. Okulickiego i E. Fieldorfa, pułkowników J. Rzepeckiego, Franciszka Niepokólczyckiego, Janusza Bokszczanina i innych elitarnych oficerów przedwojennego Wojska Polskiego [...]".

BEZ ODPOWIEDZI

Również materiały anglojęzyczne w świecie (wydawane pod patronatem Yad Vashem) nie pozostawiają nam złudzeń. Oto w pracy Petera Silvermana, Davida Smuschkowitza i Petera Smuszkowicza: „From Victims to Victors" (wydanej w Kanadzie w 1992 r.) autorzy napisali o Armii Krajowej:

„Jeżeli Niemcom powiodłoby się na froncie rosyjskim, mieli rozkazy przyłączyć się do nich i ogłosić wolną Polskę. Jeżeli wygrywaliby alianci, przyłączyliby się zamiast tego do nich. [...] AK była skrajnie antysemicka. W wielu częściach Polski brali oni udział w masowych egzekucjach Żydów. W innych miejscach zabijali Żydów dla ich kosztowności. Kiedy wreszcie stało się jasne, że Niemcy przegrali wojnę, wiele oddziałów AK poszło do lasów, gdzie udało im się zamordować tysiące bezbronnych Żydów". Polska konspiracja miała tylko jeden cel: zagładę Żydów.

Tak wyglądają „materiały pomocnicze" do nauki o Holokauście w szkołach zachodnich. Oczywiście są jeszcze gorsze. Są również publikacje z zakresu „humoris causa". Bo jakże traktować książkę niejakiego Romana Grunspana: „The Uprising of the Death Box of Warsaw: A Documentary Book about Jewish and Christian Lives under Nazi Rule in the Warsaw Ghetto and in the Non-Jewish Region of Warsaw" (New York 1978)? Grunspan twierdził, że był w trzyosobowym zespole o nazwie „Parasol", który w Warszawie w al. Szucha dokonał... zamachu na gen. Franza Kustcherę, szefa SS i policji na Dystrykt Warszawski. To nie wszystko, w książce została opublikowana fotografia (bardzo kiepski i prymitywny fotomontaż) – jakaś ręka trzyma pistolet maszynowy i pod tym podpis: „Z prawej widać karzącą rękę autora z pistoletem, z którego zastrzelił nazistowskiego szaleńca".

Na takim tle, jeśli ktoś w ogóle śledził podobne publikacje, „radosna twórczość" Jana Tomasza Grossa na temat Jedwabnego: „Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka" (Sejny 2000) nie powinna była stanowić zaskoczenia. Ale niestety tak było.

Opina polska, w tym naukowa, była kompletnie nieprzygotowana. Cmokanie autorytetów i poparcie ośrodków medialnych (z „Gazetą Wyborczą" na czele) dawały Grossowi ogromną przewagę. Adam Michnik w niemieckim wydaniu „Sąsiadów" uznał, że „swą książką Gross wpisuje się w długi szereg najświetniejszych polskich intelektualistów, począwszy od Mickiewicza i Słowackiego, a kończąc na Gombrowiczu i Miłoszu [...]". Z czasem okazało się, że on archiwów nie zna, a te, z którymi się zapoznał, traktował wybitnie wybiórczo – uwzględniał tylko to, co mu pasowało do z góry przyjętej tezy. Wszelkich krytyków gasił bezpośrednio, gdyż w publicznych wypowiedziach podkreślał, że „Sąsiedzi" „są publikacją naukową, napisaną w oparciu o dostępną dokumentację przedmiotu i skrupulatne badania. [...] łatwo stwierdzić, że jest ona opatrzona przypisami i odnośnikami" (portal Gazeta.pl, 17 maja 2001 r.). Jednak rzetelność publikacji nie polega na tym, że jest ona opatrzona przypisami i odnośnikami, ponieważ w takim razie za naukowe musielibyśmy uznać edycje „dzieł" Lenina i Stalina, Gomułki i Bieruta, Mao Tse-tunga, Fidela Castro i Wojciecha Jaruzelskiego! Podejście naukowe polega na wszechstronnym zbadaniu wszystkich dostępnych źródeł i ich starannej weryfikacji. A tego autor tej książki nie zrobił, co więcej – mimo ujawniania dodatkowych coraz bardziej licznych okoliczności, przeczących tezom autora, nie odstąpił od nich w nowych wydaniach (krajowym oraz obcojęzycznych).

Wyliczanie błędów i zakłamań, opuszczeń i kaleczenia źródeł, których dopuszczają się Gross, Grabowski i inni z „nowej szkoły historii Holokaustu", zajęłoby opasłe tomy

Już wcześniej Gross rozpoznawał sytuację „niewinnym" kłamstwem. W wydanej w 1998 r. broszurze „Upiorna dekada: trzy eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków, Niemców i komunistów 1939–1948" (Kraków 1998) sfałszował cytat z „Dziennika" Zygmunta Klukowskiego, który pisząc o sprawach lokalnych (Szczebrzeszyn), użył pojęcia „nasi" żandarmi. „Nasi", czyli miejscowi. U Grossa zaś zniknął cudzysłów, czyli niemieccy żandarmi stali się faktycznie „nasi", czyli polscy.

W wydanej rok później broszurze „Studium zniewolenia: wybory październikowe 22 X 1939" (Kraków 1999) utrwalił pojęcie „wybory" wobec farsy organizowanej przez Sowietów na temat przyszłości ziem ich zaboru po 1939 r. Żadnych wyborów, nawet pozorowanych, nie było, ale tak wyglądało przecieranie drogi. I fala ruszyła, jak tsunami.

PROMOWANIE PSEUDONAUKI

Po 1989 r. zaistniały całkiem nowe możliwości. Powstały nowe instytucje, specjalizujące się w tych zagadnieniach, np. Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN (2007), a już istniejące (Żydowski Instytut Historyczny) zostały znacznie rozbudowane. Ich produkcje w języku polskim szybko były tłumaczone na język angielski i szły w świat jako „polskie głosy" w sprawie Holokaustu. Promowane tam dzieła naukowe coraz mniej miały wspólnego z nauką. Jedna z doktorantek z tego kręgu pochwaliła się tezą swej pracy doktorskiej, która brzmiała: „Antykomunizm jest ukrytą

eprasa.pl bbf3cf9c28

formą antysemityzmu". Inna badaczka – Barbara Engelking – uznała „Sny jako źródło do badań nad Zagładą"...

Szczególną postacią w tym gronie jest Jan Grabowski, onegdaj specjalista od historii Indian kanadyjskich, dziś już „światowej sławy" badacz Holokaustu, który sam się określa jako „niezależny badacz". Łapany na gorącym uczynku, czyli nieznajomości źródeł, ich wypaczaniu, dobieraniu wyłącznie tego, co może mu służyć za poparcie jego wniosków, a odrzucaniu wszystkiego, co mogłoby temu przeczyć, nic sobie z tego nie robi. Bo faktycznie – co mu może grozić?

W jednej ze swych publikacji przywołał rzekome pisemko konspiracyjne NSZ, wydawane w... 50-tysięcznym nakładzie. Po bliższym sprawdzeniu okazuje się, że chodzi o biuletyn prasowy innej organizacji, wychodzący, zanim powstały NSZ, w nakładzie zaledwie 50 sztuk (co jest jak najbardziej zrozumiałe). A inkryminowany tekst antysemicki tam zamieszczony to... przedrukowany cytat z listu do redakcji innego pisemka, innej orientacji.

Jego ostatecznym argumentem wobec krytyków jest zarzut antysemityzmu. Niestety, zarzut na ogół skuteczny. Kto bowiem chce egzystować z taką łatą? Między innymi dzięki temu Grabowski może brnąć w swej publicystyce, bo trudno nazwać to nauką, jeśli autor skrzętnie pomija wszystko, co mu nie pasuje.

Autorów publikacji z ostatnich lat, tworzonych w tym środowisku, można określić jako dorobek „towarzystwa wzajemnej adoracji". A do tego towarzystwa oczywiście nie można dopuszczać osób, które cokolwiek kwestionują, choćby miały stuprocentową rację.

Wyliczanie licznych błędów i zakłamań, opuszczeń i kaleczenia źródeł, których dopuszczają się Gross, Grabowski i inni z „nowej szkoły historii Holokaustu", zajęłoby opasłe tomy. I co z tego? Najważniejsze są wyciągane wnioski. A jakie one są? No właśnie. Czy obecna polityka historyczna państwa polskiego jest w stanie się z tym wszystkim uporać? Czy potrafi z tym wyjść na rynek anglojęzyczny – naukowy, publicystyczny, jak również polityczny? Tak, polityczny, trudno bowiem uznać za przypadkowe słowa np. prezydenta USA Baracka Obamy o „polskim obozie śmierci". To staje się już bardzo brzydką tradycją w świecie, a dla nas szczególnie krzywdzącą, i zjawisko to narasta od lat.

Trzeba obecnie wyjść z założenia, że na tym poziomie nie ma i nie będzie żadnej dyskusji na temat stosunków polsko-żydowskich, zagłady Żydów, roli Polaków itp. Jeśli nic się nie zmieni (a nic na takie zmiany nie wskazuje), to mamy do czynienia z jednostronnym terrorem propagandowym, nieudolnie ubieranym w szaty naukowe.

Konieczne są jak najszybsze krytyczne publikacje wszechstronnych źródeł – okupacyjnych dokumentów Polskiego Państwa Podziemnego, konspiracyjnej prasy, relacji żydowskich, obszernych fragmentów wspomnień i pamiętników z tego zakresu. Muszą one ukazać się nie tylko po polsku, lecz także przede wszystkim po angielsku. Jak to się stało, że przez trzy dekady (!) taki wysiłek nie został podjęty? Dzisiaj – dysponując takim zasobem, ogólnodostępnym (rozsyłanym do światowych bibliotek) i przystępnym – bylibyśmy w zupełnie innym miejscu „dyskusji".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WIELKIE SEKRETY ARCYDZIEŁ SZTUKI

Wyrusz w porywającą podróż tropem geniuszu artystów

- Kto stworzył kryształową Czaszkę Zagłady?
- Klątwa terakotowej armii.
- Co wywołało wizje Hieronima Boscha?
- Czego obawia się postać z obrazu Krzyk?

...i wiele innych tajemnic arcydzieł sztuki!

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

PREMIERA 20 STYCZNIA

PATRONATY MEDIALNE:

ŚWIAT REZYDENCJI WNĘTRZ & OGRODÓW

HISTORIA.ORG.PL

HIST MAG ORG

eprasa.pl bbf3cf9c28

Z dr. Tomaszem Domańskim, historykiem z Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Strażnicy „zabawiający się" z bezbronną ofiarą w getcie łódzkim
FOT. GALERIE BILDERWELT/GETTY IMAGES

Tylko Niemcy odpowiadają za Holokaust

MACIEJ PIECZYŃSKI: Skąd popularność na świecie takich badaczy jak prof. Jan Grabowski, prof. Barbara Engelking czy Jan Tomasz Gross? Dlaczego udało im się niemal zmonopolizować narrację o Holokauście, a dokładniej: narzucić opinii publicznej tezę o „polskim współsprawstwie"?

DR TOMASZ DOMAŃSKI: Nie są to jedyni badacze zajmujący się tą tematyką. Jednak ich popularność jest faktem. Powodów jest wiele. Być może chodzi o to, że tacy naukowcy jak prof. Grabowski czy prof. Gross sporą część życia spędzili w Polsce, ale jednocześnie od wielu lat funkcjonują z powodzeniem w zagranicznych ośrodkach naukowych w Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych czy Kanadzie. I ich wypowiedzi oraz publikacje przyjmowane są bezkrytycznie. Demonizuje się też takie instytucje jak IPN poprzez polityczne zaetykietowanie i podważa ustalenia historyków tutaj pracujących. Pamiętajmy też, że pojawienie się publikacji Grossa, Grabowskiego jest pewną formą reakcji badawczej na pisarstwo o relacjach polsko-żydowskich z okresu PRL. Ich obraz był daleko niepełny. O sprawach trudnych mówiono, ale mniej chętnie. Ci badacze zapełnili tę lukę. Są oni autorami nośnych, kontrowersyjnych tez, które zyskały rozgłos medialny. Chociażby prof. Engelking nazwała polskich chłopów „wolontariuszami Holokaustu", a „przeciętny" czytelnik nie docieka źródeł, nie weryfikuje. Wierzy naukowcom pracującym w szanowanych ośrodkach naukowych. Trzeba też oddać wymienionym badaczom, że mają lekkie pióra, co pozwala docierać do szerszego grona czytelników. Dzięki temu łatwiej jest im wpływać na polską i zachodnią opinię publiczną niż historykom, którzy od blasku fleszy wolą żmudne, dokładne, rzetelne, oparte na źródłach badania, a przy tym ważą każde słowo.

Na czym polega metoda naukowa tego środowiska w stosunku do Polaków?

Przede wszystkim jest to środowisko, bo przecież nie chodzi tylko o dwoje wymienionych profesorów, którzy badają problematykę Zagłady i dziejów Żydów. W centrum ich zainteresowania pozostają głównie przedstawiciele tej konkret-

eprasa.pl bbf3cf9c28

nej narodowości, a to przekłada się na opis relacji polsko-żydowskich. Jest on przedstawiany i interpretowany z perspektywy żydowskiej, z wyraźną afirmacją dla źródeł i przekazów żydowskich. Nie ma tutaj koniecznej w badaniach naukowych równowagi. Wielokrotnie w swoich recenzjach książki „Dalej jest noc" wskazywałem przykłady błędnych, nierzetelnych opisów, które najczęściej dotyczyły kontekstu polsko-żydowskiego, a ściślej – stosunku Polaków do Żydów lub pomijania, marginalizowania, przycinania tych źródeł lub ich fragmentów, które mogły świadczyć o niewłaściwej postawie niektórych Żydów wobec swoich współziomków. Dotyczyło to omawiania działalności Judenratów i Jüdischer Ordnungsdienst (Żydowska Służba Porządkowa). Symptomatyczne i niezwykle ważne, że ci badacze wielokrotnie podkreślają niemiecką „nieobecność" podczas okupacji, tak jakby wojenne relacje polsko-żydowskie zawisły w próżni. Niektórzy naukowcy z tego środowiska kreśląc obraz codzienności polskiej prowincji pod okupacją, co jest dla nich jednym z ważniejszych pól badawczych, w kontekście polsko-żydowskim, wbrew faktom tworzą narrację, jakoby na tym terenie krzyżowały się wpływy niemieckie, wpływy Kościoła katolickiego oraz podziemia zbrojnego. Ciężko mówić o krzyżowaniu się, kiedy dominowały siła i terror niemiecki.

Czy Grabowski i Engelking w swoich badaniach traktują Polaków w jakiś szczególny sposób? Czy między wierszami ich tekstów znajduje pan ślad nienaukowej niechęci, a może wręcz polonofobii?

Nie wiem, czy jest to sposób szczególny, na pewno specyficzny, który z całą pewnością wypadałoby zdefiniować. Znakomicie podejście tego środowiska do ludności polskiej widać na przykładzie pomocy świadczonej Żydom. Ogół polskiej społeczności wiejskiej, nie wyłączając niekiedy Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, poza nielicznymi wyjątkami, przedstawiany jest w niezwykle negatywnym świetle, jako zbiorowość upatrująca przede wszystkim własnych korzyści, wykorzystująca nadarzającą się okazję do łatwego wzbogacenia się kosztem Żydów. Relacje pomocowe między dwoma narodami, nawet wbrew świadectwom samych Ocalałych, zredukowano do obietnic, pieniędzy, biżuterii, złota, dolarów i innych towarów. Istotną rolę odgrywa tworzenie nowych pojęć w rodzaju „biorca" zamiast „płatny/opłacany pomocnik". Nawet błędy literowe w brzmieniu żydowskich nazwisk powstałe w procesach sierpniowych niektórzy naukowcy z tego środowiska interpretują jako brak szacunku należnego ofiarom Holokaustu: „Żydowskie ofiary nie są dość istotne, by zachować poprawność, dbać o szczegóły".

Dwukrotnie, bardzo krytycznie, zrecenzował pan książkę „Dalej jest noc" pod redakcją Grabowskiego i Engelking. Jakich największych błędów dopuścili się autorzy?

Przypomnę, że oprócz Engelking i Grabowskiego książka ma jeszcze siedmioro autorów – każdy odpowiedzialny jest za konkretny rozdział, poświęcony wybranym regionom. Podstawowa moja uwaga dotyczyła nierzetelności przeprowadzonych analiz historycznych, źródłowych. W wielu miejscach wskazywałem na pomijanie przez autorów istotnych części dokumentów, które mogłyby wpłynąć na opis wydarzeń, przedstawionych w książce. Po drugie, publikacja ta jest całkowicie oderwana od kontekstu historycznego drugiej wojny światowej. W ogóle pomija wpływ, jaki na relacje polsko-żydowskie musiał mieć niezwykle brutalny charakter okupacji niemieckiej. Po trzecie, wbrew temu, co twierdzą autorzy, tematem książki są nie tylko i nie tyle losy Żydów, lecz także losy Żydów w kontekście polskim. Szczególnie że praca koncentruje się głównie na okresie 1942–1945, kiedy to Niemcy dokonują Holokaustu na ziemiach polskich, a Żydzi, uciekający przed ludobójstwem, próbowali się ratować wśród polskiej ludności. Właśnie dlatego należało bardziej zaznaczyć, jak tragiczny wymiar miała niemiecka okupacja na tych terenach. Ponadto w książce została postawiona teza, jakoby w latach 1942–1945 szanse przeżycia Żydów zależały od postaw Polaków. Jest to teza błędna. Pod niemiecką okupacją o szansach przeżycia Żydów decydowali wyłącznie Niemcy – to oni bowiem byli panami sytuacji. Zwróciłem również uwagę na niewłaściwy sposób opisywania formacji zbrojnych. Polnische Polizei (tzw. policja granatowa) przedstawiona została niemal jak formacja działająca niezależnie od Niemców, a tymczasem była ona całkowicie podporządkowana policji niemieckiej GG, stanowiąc de facto jej część. Redaktorzy i współautorzy książki, w której o działaniach PP mowa jest niemal na każdej stronie, nie zająknęli się nawet jednym słowem, aby przedstawić genezę powstania Polnische Polizei oraz jej umiejscowienia w niemieckim systemie okupacyjnym. W recenzji pt. „Korekta obrazu" wyraźnie zaznaczyłem, że nie mam zamiaru bronić sytuacji, w której policja granatowa, złożona rzeczywiście w większości z Polaków, dopuszczała się mordów na Żydach. Chcę tylko zwrócić uwagę na fakt, że formacja ta stanowiła element tej samej machiny państwowej, która represjonowała, eksploatowała i wyzyskiwała ludność polską, wykonując przy tym rozkazy Berlina!

Według Jana Grabowskiego wielu przedwojennych polskich policjantów podejmowało służbę w granatowej policji z własnej inicjatywy, bez przymusu ze strony Niemców.

Jeśli tak twierdzi, to jest to zupełnie błędna konstatacja. W początkowym okresie wojny Niemcy rekrutowali policjantów do nowej służby przymusowo, pod groźbą „surowych kar", ale spośród funkcjonariuszy przedwojennej Policji Państwowej. Praktycznie więc ludziom tym nie pozostawiono wyboru. Nie dysponujemy dokładnymi danymi statystycznymi, jak duży był akces dobrowolny do PP. Wiadomo, że ochotniczy zaciąg występował w późniejszych latach okupacji, w miarę kruszenia się kadr PP, i dotyczył, jak to wynika z dokumentów, osób, które w policji nie służyły. Mało się o tym mówi, ale służba w PP była dość ryzykowna. Wielu policjantów PP zginęło w trakcie wojny. Najczęściej z rąk pospolitych przestępców, Niemców lub podziemia. Z moich badań szczegółowych dla Kreis Kielce wynika, że ponad 20 proc. funkcjonariuszy PP zgłosiło się dobrowolnie. Dobrowolny akces do formacji, której działania służyły utrzymaniu niemieckiej okupacji, świadczy fatalnie o moralności tych ludzi.

Czyli gdyby nie było Niemców, nie byłoby również policji granatowej i dokonywanych przez nią zbrodni?

Otóż to. Sam pan widzi, że kontekst funkcjonowania policji granatowej jest niezwykle istotny. Nawet jeśli wziąć pod uwagę, że wielu przedwojennych polskich policjantów zmuszonych okolicznościami podjęło służbę u okupanta, to przecież przedwojenna Policja Państwowa nie zajmowała się represjami wobec Żydów, ale ochroną porządku publicznego, broniąc tym samym interesów również mniejszości żydowskiej. To niemiecka agresja, a następnie okupacja, zmieniły wektory działań i poczynań Polaków, którzy nagle znaleźli się pod rozkazami nowej władzy.

eprasa.pl bbf3cf9c28

W swoich recenzjach zwrócił pan również uwagę na niewłaściwość terminu „administracja polsko-niemiecka". „O jakim państwie obok państwa niemieckiego można mówić w kontekście administracji okupacyjnej III Rzeszy? Czyżby autorzy uznawali, że pod tą administracją funkcjonowało państwo polskie w jakiejkolwiek jawnej formie?" – pyta pan retorycznie. Grabowski broni się, twierdząc, że to manipulacja, a on nie miał na myśli, iż istniało jakieś kolaboracyjne państwo.

Zacytował pan jedno zdanie z jego odpowiedzi. Na kolejnych stronach prof. Grabowski stwierdza, że wśród polskich urzędników, zajmujących niższe szczeble w administracji okupacyjnej, panowała względna swoboda i możliwość wyboru. A to, jego zdaniem, oznacza, że mogli, ale nie musieli, włączać się w działania antyżydowskie. Jeśli się angażowali, to z własnej, nieprzymuszonej woli. To oczywista nieprawda. Urzędnicy narodowości polskiej byli zmuszani do brania udziału w morderczej polityce niemieckiej. Nie było żadnej autonomii, żadnej możliwości podejmowania samodzielnej decyzji w kwestii żydowskiej ani w jakiejkolwiek innej. Oczywiście urzędnik czysto teoretycznie mógł odmówić wykonania polecenia niemieckiego zwierzchnika, ale musiał liczyć się z tragicznymi konsekwencjami takiej decyzji. Poza tym przypominam panu, że ta sama, złożona częściowo z Polaków, okupacyjna administracja nie zajmowała się jedynie represjami antyżydowskimi, lecz także realizacją niemieckiej polityki wyzysku skierowanej przeciw ludności polskiej…

Czyli działalnością antypolską?

Zgadza się. Zakładam, że prof. Grabowski nie nazwałby „polonofobami" urzędników sporządzających listy imienne Polaków wysyłanych na roboty przymusowe, obliczających wysokość kontyngentów rolnych czy członków miejscowej społeczności polskiej, którzy zasiadali w tzw. komisjach kontyngentowych, i własną głową gwarantowali wykonanie niemieckich zarządzeń. Wiele o atmosferze strachu mówi urzędowa korespondencja szczebla gminnego, a więc tam, gdzie najczęściej niemieccy urzędnicy narodowości polskiej pracowali w GG.

Pisze pan w recenzji: „Kto odpowiadał za eskalację przemocy wobec Żydów? Czyżby wbrew faktom autor próbował wpisać zagładę dokonaną przez Niemców w okresie drugiej wojny światowej na okupowanych ziemiach polskich w obraz sporów pomiędzy obiema społecznościami żyjącymi w wolnym kraju przed 1939 r.?". Grabowski ripostuje: „Stwierdziłem po prostu, że społeczność żydowska wchodziła w wojnę silnie osłabiona gospodarczo, a stosunki między Polakami i Żydami uległy daleko idącej erozji".

Promocja książki „Dalej jest noc" w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, kwiecień 2018 r. FOT. TOMASZ GZELL/PAP

To bardzo ciekawy i znamienny cytat z odpowiedzi prof. Grabowskiego, odnoszący się do „powiatu węgrowskiego". W swojej drugiej recenzji, pt. „Korekta ciąg dalszy", starałem się zestawić fragmenty książki „Dalej jest noc" z moimi uwagami z pierwszej części oraz odpowiedziami na nie ze strony autorów. Tym samym mogłem po raz kolejny pokazać, że prof. Grabowski oraz inni autorzy nie mają racji, zarzucając mi, że czegoś nie doczytałem, coś przekręciłem itp. To oczywisty przykład braku rzeczowych kontrargumentów. Profesor Grabowski nie napisał jedynie o tym, że „relacje polsko-żydowskie uległy pewnej erozji". Z taką tezą trudno byłoby się nie zgodzić – napięcia pomiędzy tymi dwoma narodami przed wojną były faktem. Profesor Grabowski w sposób całkowicie nieuprawniony połączył, na badanym przez siebie obszarze, w jeden ciąg interpretacyjny wojenną przemoc wobec Żydów z przypadkami przedwojennych postaw antyżydowskich. To dwie odrębne kwestie.

Z kolei prof. Libionka sporo miejsca w swoim rozdziale książki poświęcił niemieckiej służbie budowlanej Baudiest i jej udziałowi w Holokauście. Na 200 stronach jego tekstu nie znalazłem ani jednego zdania na temat okoliczności powstania tej formacji. Czytelnik dowiaduje się jedynie, że była to organizacja, w której służyli Polacy. Zabrakło chociaż wzmianki, a może i szerszego wywodu, o tym, że do służby tej, na zasadzie poboru rocznikowego, Niemcy zmuszali młodych mężczyzn. To nie młodzi Polacy decydowali, że będą brać udział w tej czy innej akcji, tylko Niemcy. Oczywiście mogły się zdarzać jednostkowe nadużycia. Na setki, tysiące osób, które przewinęły się przez Baudiest, trudno oczekiwać, by wszyscy byli aniołami. Bardzo możliwe, że znaleźli się w tym gronie tacy, którzy szczególnie gorliwą służbą chcieli przypodobać się Niemcom. Natomiast trzeba pamiętać, że za uchylanie się od poboru groziły represje, ale o tym już prof. Libionka nie wspomina. Opisując np. wysiedlanie Żydów z Działoszyc, prof. Libionka konstruuje opis daleki od realiów historycznych, a więc, że akcji wysiedleńczej dokonały siły zorganizowane przez Niemców i oni sprawują pełną kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Czytając niektóre fragmenty rozdziału „powiat miechowski", można by mieć co do tego wątpliwości. W innych miejscach prof. Libionka pomija źródła mówiące o polskiej pomocy Żydom. Symptomatyczna jest odpowiedź prof. Libionki na potrzebę szerszego opisu okoliczności powstania niemieckich formacji złożonych z Polaków: „Przecież można sobie sprawdzić w Wikipedii".

Wikipedia nie powinna być raczej wiarygodnym źródłem dla poważnego naukowca.

Przyznam, że byłem nie tylko zszokowany, lecz także zasmucony poziomem odpowiedzi. Przecież powszechnie wiadomo, że Wikipedia jest wątpliwym źródłem informacji. W każdym razie nie powinna stanowić odsyłacza w debatach i polemikach naukowych.

Grabowski twierdzi, że pańskie recenzje nie mają nic wspólnego z intelektualną polemiką, są

eprasa.pl bbf3cf9c28

natomiast częścią „nacjonalistycznej ofensywy", prowadzonej przez „komando kilku pracowników IPN" za pomocą „zarzutów politycznych".

Cóż mogę powiedzieć… Sposób formułowania argumentów i styl prowadzenia polemiki to część naszej osobowości. Wiele świadczy o człowieku to, na jakim poziomie podejmuje dyskusję, jakich używa zwrotów czy definiuje rzeczywistość go otaczającą. W przypadku polemik prof. Grabowskiego trudno mówić o merytoryce. Jest to poziom ataków personalnych i inwektyw. W tej wypowiedzi oraz odpowiedzi na recenzję „Korekta obrazu" prof. Grabowski formułuje różne epitety pod moim adresem, próbuje podważyć mój dorobek naukowy (podobnie uczynili też współautorzy „Dalej jest noc"). Na pocieszenie mogę powiedzieć, że nie jestem jedyną osobą, z którą prof. Grabowski w ten sposób toczy dyskusje. Ja natomiast staram się odnosić swoje zarzuty nie do konkretnego autora czy jego miejsca pracy, lecz do tekstu jego autorstwa. To subtelna, ale zasadnicza różnica, której – jak widać – nie dostrzegają moi szanowni polemiści. Zwracam jedynie uwagę na to, w jaki sposób autor przeanalizował źródła, jakie wyciągnął wnioski, w jak przekonujący sposób je przedstawił i argumentował. Tylko tyle i aż tyle.

„Prawicowy tygodnik »Do Rzeczy« w wydaniu z 24 maja zaatakował (Jana Grabowskiego), publikując haniebny artykuł Leszka Żebrowskiego na temat jego książki »Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów«" – przekonuje „La Repubblica". Czy tytuł nowej książki Grabowskiego mówi nam znów coś o intencjach autora?

Nie ma powodów i ja tego nie czynię, aby ukrywać fakty, które miały miejsce, czyli udział funkcjonariuszy policji granatowej w zbrodniach na Żydach i Polakach. Profesor Grabowski wyliczył pewną liczbę zabójstw dokonanych przez policjantów granatowych na Żydach, opisał też przypadki szerszych działań tej formacji policyjnej wobec Żydów. W „Korekcie obrazu" wskazałem wiele „niedociągnięć" warsztatowych w tekście prof. Grabowskiego, więc należałoby te wydarzenia, o których pisze w książce „Na posterunku", także zweryfikować. Natomiast w samej treści książki pojawia się niezwykle kontrowersyjna teza. A mianowicie, że granatowi i kryminalni policjanci wymordowali na okupowanych terenach polskich kilkaset tysięcy Żydów. Jest to teza powtórzona za Emmanuelem Ringelblumem. Brak jednak wiarygodnych wyliczeń uzasadniających takie postawienie sprawy. Policja granatowa funkcjonowała jedynie w Generalnym Gubernatorstwie. W jej szeregach służyło ok. kilkunastu tysięcy funkcjonariuszy. Jeśli wymordowali oni, zgodnie z tezą Grabowskiego, kilkaset tysięcy Żydów, to by oznaczało, że każdy z policjantów musiałby własnoręcznie zabić kilkadziesiąt osób. Chciałbym wiedzieć, na podstawie jakich źródeł prof. Grabowski doszedł do takich wniosków…

Casus podobny do słynnej liczby 200 tys. Żydów rzekomo wymordowanych przez Polaków?

Tak. W tym przypadku punktem wyjścia był rzekomo artykuł Szymona Datnera. Tyle że okazało się, że Datner w ogóle takiej liczby nie podaje. Jeśli są poszlaki, by sądzić, że z rąk Polaków zginęło tylu a tylu Żydów, to trzeba te dane sprawdzić, zweryfikować, a nie podawać niesprawdzoną, niepotwierdzoną jednoznacznie w dokumentach liczbę.

Jakiś czas temu Grabowski na łamach „Haaretz" stwierdził, że Niemcy, zbyt mocno akcentując własną winę za Holokaust, nie pozwalają jednocześnie innym „sprawcom" tego ludobójstwa adekwatnie się pokajać. „Podyktowana najlepszymi intencjami determinacja niemieckich polityków i naukowców, z jaką starają się oni przypisać Niemcom wyłączną odpowiedzialność za ludobójstwo popełnione przez nazistów, pomaga innym jego sprawcom w wybielaniu własnych win" – argumentuje Grabowski. Jak pan to skomentuje?

Holokaust został zaplanowany, przemyślany i przeprowadzony przez państwo niemieckie, jego organy, jego administrację. Do realizacji tej zbrodni, na obrzeżach, zmuszano obywateli polskich wszystkich narodowości, to fakt historyczny. Zmuszano pod groźbą surowych kar – o tym trzeba pamiętać. Ale jedynym państwem, jakie za to ludobójstwo odpowiada, są Niemcy.

Grabowski w pracy na temat roli Polaków w mordowaniu Żydów ostro krytykuje PRL-owski wymiar sprawiedliwości za niskie wyroki na polskich sprawcach, a jednocześnie opieszałość niemieckich sądów w stosunku do niemieckich zbrodniarzy nazywa „zrozumiałą". Skąd ta postawa historyka? Dlaczego tak chętnie przenosi ciężar odpowiedzialności z Niemców na Polaków?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Należałoby raczej zapytać o to prof. Grabowskiego. W ogóle studium komparatystyczne porównujące sprawność i wolę sądów powojennych w ściganiu i karaniu

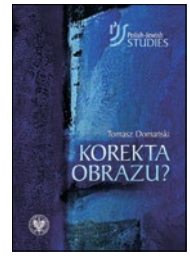

TOMASZ DOMAŃSKI
„KOREKTA OBRAZU?"
IPN 2019

własnych obywateli za przestępstwa popełnione w czasach okupacji byłoby niewątpliwie ciekawe. Wniosłoby wiele w naszą wiedzę o gotowości rozliczenia się poszczególnych narodów z ciemnych kart historii. Natomiast w „Korekty ciąg dalszy" zaobserwowałem ciekawą rzecz. Być może jest to zupełny przypadek, nieuprawniający do snucia szerszych refleksji, ale w każdym razie ustaliłem, że Grabowski w swojej części „Dalej jest noc" użył terminu „morderca/mordercy" Żyda/Żydów w stosunku do Niemców zaledwie dwukrotnie, w stosunku do Ukraińców – ani razu, natomiast aż 19-krotnie w stosunku do Polaków.

Dlaczego wciąż tak popularna jest teza o rzekomym polskim współsprawstwie w Holokauście? Dlaczego nie możemy się przebić na Zachodzie z bardziej wyważoną narracją?

Nie wiem, skąd popularność tego typu opracowań, ale jest niewątpliwie kilka czynników, które na to wpływają. Wspominałem już o lekkim piórze autorów, o ich pracy w zagranicznych ośrodkach. Warto też zwrócić uwagę na coś, co chyba przechodzi zupełnie niezauważenie. Autorzy, o których mówimy, wyraźnie podkreślają, że ich prace są pisane z perspektywy ofiar („żydowska strona medalu"). Pomijają kontekst i tło wydarzeń. Innymi słowy – przedstawiają tylko pewien wycinek opisywanej rzeczywistości. Tymczasem w przestrzeni medialnej są one prezentowane, a przede wszystkim odbierane jako dzieła komplementarne, całościowe, o niezwykle szerokiej podstawie źródłowej i wielokierunkowej analizie. Tak czy inaczej, życzyłbym sobie, żeby kolejne publikacje na temat relacji polsko-żydowskich w czasach drugiej wojny światowej były przygotowywane z zachowaniem rzetelnego warsztatu naukowego, krytyki dokumentów źródłowych. Dzieła naukowe muszą być solidnie udokumentowane, żeby inspirować badaczy do dalszych poszukiwań historycznej prawdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, filozofem społecznym, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Czekając na kontrrewolucję

RYSZARD GROMADZKI: Wielu polityków, naukowców, liderów opinii twierdzi, że pandemia koronawirusa stanowi punkt zwrotny w historii. Jej skutkiem ma być radykalne przewartościowanie polityczne, gospodarcze i społeczne o globalnym charakterze. Czy prognozowany „wielki reset" stanowi zagrożenie dla demokracji w kształcie, który znamy?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Nie podzielam zdania, że ta pandemia spowoduje „wielki reset". Ona tylko zaostrzyła tendencje, które istniały już przedtem. Oligarchizacja demokracji, demokracja kontrolowana, niektórzy nazywali te procesy postdemokracją – te zjawiska były widoczne już wcześniej. Z jednej strony pandemia ujawniła ukryte przed oczami szerszej publiczności konflikty i podziały. Z drugiej strony spowodowała, że ci, którzy tymi społeczeństwami zawiadują, powołując się na dobro ogólne i bezpieczeństwo, uzyskali większy stopień władzy, wykorzystując to, co najlepiej widać na przykładzie Unii Europejskiej, do wzmocnienia władzy centralnej nad społeczeństwami, które do tej pory żyły w przekonaniu, że są bardzo indywidualistyczne, oparte na wolności jednostki. To w jakimś sensie było prawdą, ale tylko półprawdą.

Pandemia zweryfikowała mit o „wolnych społeczeństwach Zachodu"? W ostatnich miesiącach obserwujemy zjawisko powszechnej konformizacji społecznej, ulegania „strategii strachu" wykorzystywanej przez rządy do walki z pandemią...

Ta wolność była wolnością wyborów jednostek, a nie strategicznych wyborów, określających losy zbiorowości.

Wolnością konsumentów...

No właśnie. Wolnością konsumentów, wolnością czasu wolnego, wolnością zajmowania się swoim życiem prywatnym. Wolnością hedonistyczną. Ta pandemia pokazała jak niezbędne dla funkcjonowania tych społeczeństw są przemysł rozrywki czy sport. Jak bardzo to kanalizuje emocje. Jak trudno jest współczesnym ludziom znieść życie pozbawione tego wszystkiego.

Widziałem reportaż w telewizji niemieckiej, który dotyczył nielegalnych dyskotek i klubów. To przypomina czasy prohibicji. Takie imprezy są zakazane, więc odbywają się „w podziemiu". W relacjach ich organizatorów i uczestników uderzyły mnie stwierdzenia, że te imprezy są niezbędne dla pewnego typu człowieka, tego ponowoczesnego. Pracując w korpo-

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

racji czy gdziekolwiek indziej w ciągu dnia, wieczorem musi iść do klubu, dyskoteki czy jakiegoś przybytku rozkoszy, który w gruncie rzeczy nadaje sens jego życiu. To, co jest najtrudniejsze w pandemii do zniesienia – taki wniosek płynął z reportażu – to osamotnienie tych ludzi.

Osamotnienie „człowieka ponowoczesnego" to skutek oderwania się przez niego od wartości uniwersalnych?

Tak, ale też od wspólnoty, rodziny, od religii. Gdybyśmy sięgnęli do kultury popularnej, to zauważmy, jak często amerykańskie sitcomy pokazują taką formę życia. Pandemia unaoczniła pewną ambiwalentność. Z jednej strony pokazała pozorność tego indywidualizmu, jego słabości. Z drugiej strony dała narzędzia tym, którzy sprawują władzę do ograniczeń, które wydawały się niemożliwe do przeprowadzenia. Cała sfera życia integralnego dla ponowoczesnych ludzi nagle uległa zawieszeniu, została podana w wątpliwość.

W „nowej normalności" rysującej się po pandemii tego rodzaju doznania, które teraz uległy ograniczeniu albo wręcz zostały wyeliminowane, przestaną być niezbędne? Ów ponowoczesny konsument dostanie do dyspozycji inny pakiet, który przynajmniej w części będzie rekompensował utratę tych hedonistycznych atrap szczęścia? Czy częścią „nowej normalności" będą też coraz bardziej omnipotentne rządy żerujące na swobodach obywatelskich?

To procesy komplementarne. Jeżeli mówimy o centralizacji władzy, jej wzmacnianiu, to wiemy, że istnieje coś, co określa się mianem klasy globalnej, której przedstawiciele myślą i działają podobnie. Mamy koncentrację bogactwa i wpływów politycznych. Tradycyjne partie polityczne, które kiedyś były silnie zakorzenione w pewnych grupach społecznych już nie istnieją. Do polityki przenoszone są powszechnie elementy reklamy i marketingu. Kampanie polityczne stają się jeszcze jedną kampanią reklamową, wybór polityczny – jej produktem.

W dzisiejszej polityce coraz mniej jest prawdziwej partycypacji, współdecydowania, „deliberacji". Pandemia przyspiesza te procesy, zmienia zasady gry. Jeszcze do niedawna jednym z podstawowych zadań Komisji Europejskiej było pilnowanie, żeby w krajach Unii nie dochodziło do naruszania zasad konkurencji przez zasilanie przedsiębiorstw publicznymi pieniędzmi. Nagle okazuje się, że można wspierać przedsiębiorstwa miliardami czy dokonywać pewnych operacji, które do tej pory nie były możliwe ze względu na reguły antymonopolistyczne. Rządy państw zostały wyposażone w nadzwyczajne środki. Niektórzy mówią o dyktaturze sanitarnej itd.

Sanitarnej czy technologicznej? A może konglomeracie obydwu tych zjawisk?

Pewnie tak. Mówi się, że kiedy wybucha wojna, to pierwszą ofiarą jest prawda. Teraz priorytetem jest walka z pandemią, efektem jest kontrola medialna nad przekazem, moim zdaniem znacznie ściślejsza niż wcześniej. Skonstatujmy: ten rodzaj rozrywkowego indywidualizmu, który zarysowaliśmy w naszej rozmowie, jest komplementarny do dokonującej się centralizacji władzy. Chodzi właśnie o to, żeby ludzie za bardzo nie interesowali się sprawami poważnymi.

Bo taką bezkształtną masą łatwiej zarządzać?

Tak. Zatomizowaną zbiorowością, która zajmuje się tymi wszystkimi rozrywkami dostarczanymi przez tzw. przemysł kreatywny i rozrywkowy, od sportu, poprzez gastronomię i różne inne rzeczy, co umożliwia zarządzanie emocjami. Jest pytanie, czy cała nadzieja związana ze szczepionkami, pokonaniem epidemii, powrotem do normalności nie jest złudna. Bo będzie to inna normalność, zaczniemy znów jeździć na urlop, na narty, spotykać się w restauracjach, single będą umawiać się na randki, ale jednocześnie uprawnienia władzy będą nieporównanie większe niż wcześniej. Wydaje mi się, że tendencje postdemokratyczne czy postpolityczne, o których mówiliśmy, zostaną po tej pandemii, jeśli z niej wyjdziemy, pogłębione, a Unia coraz bardziej będzie przypominać zcentralizowane imperium.

Charakterystycznym rysem tej pandemii jest ogromne wzmocnienie roli struktur ponadnarodowych, np. Światowej Organizacji Zdrowia. Tendencja do globalnego centralnego zarządzania walką z wirusem. Czy ten trend oznacza ograniczenie roli rządów narodowych na rzecz innych ośrodków władzy?

Od wielu lat w naukach politycznych i społecznych funkcjonuje teoria o „global governence", globalnym zarządzaniu…

Brzmi prawie jak „rząd światowy"…

Chodzi o pewien termin, który opisuje ten sam fenomen skupiania się władzy globalnej. Nie ma „rządu światowego", ale – twierdzono – jest „globalne zarządzanie". To zarządzanie dokonuje się przez instytucje międzynarodowe, przez szczyty światowych liderów, jak G7 czy G20, różnego rodzaju organizacje i wydarzenia, np. Światowe Forum Ekonomiczne w Davos, ale też spotkania wielkich światowych firm, które mają globalne interesy. Powstała nawet teoria o kulturze światowej na poczet związku z procesami cywilizacyjnymi, których częścią jest pewien wspólny styl bycia, myślenia o świecie itd. Niektórzy budują na tej podstawie pogląd, że w gruncie rzeczy mamy do czynienia ze światowym zarządzaniem, z czym kojarzona jest słynna Grupa Bilderberg.

Teraz mówimy o kryzysie związanym z pandemią, ale przecież w ostatnich kilkunastu latach mieliśmy do czynienia z dwoma innymi wielkimi kryzysami:

eprasa.pl bbf3cf9c28

finansowym lat 2008–2009 oraz imigracyjnym roku 2015. Przed 2008 r. ekonomiści przekonywali, że ekonomia jest tak rozwiniętą nauką, że kryzys tej skali się po prostu nie zdarzy. Wszyscy ci wybitni ludzie z renomowanych uniwersytetów zarządzający gospodarką byli zdumieni, że ten kryzys się wydarzył. To miało ogromne konsekwencje. Już wtedy doszło do bardzo poważnego osłabienia niektórych państw w Europie.

Kryzys finansowy roku 2008 pierwszy raz istotnie zachwiał wiarą w globalizację. Kilka lat później mieliśmy kryzys imigracyjny, który także bardzo mocno dotknął Europę. Pojawiło się wówczas zjawisko, które można traktować jako kontrtendencję do globalizacji.

Uosobieniem tej tendencji było zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA, a patrząc na rzecz z polskiej perspektywy, przejęcie władzy przez prawicę...

Do głosu doszli, jak określa to druga strona, „populiści", którzy zakwestionowali potrzebę dalszej globalizacji, integracji, otwarcia, wymieszania społeczeństw. Pamiętajmy, że globalizacja ma nie tylko wymiar gospodarczy czy polityczny, lecz także kulturowy. Chodzi o stworzenie „otwartego społeczeństwa", wielokulturowego, wieloreligijnego, w którym każdy może wybierać sposób życia, który w istocie powinien być tym samym sposobem życia. Dyskoteki, kluby, narty tak, ale już broń Boże bez większego przywiązania do wartości, nazywanych tradycyjnymi, bez myślenia o wspólnocie narodowej. Ten model jest realizowany w ramach „global governance" przez różne organizacje międzynarodowe składające się z jednakowo sformatowanych ludzi.

W pierwszej fazie pandemii został on jednak zakwestionowany. Pamiętamy ostrą krytykę Komisji Europejskiej za jej brak reakcji na zagrożenie epidemiczne. Każde państwo starało się wtedy działać na własną rękę.

Rzeczywiście pierwszą reakcją rządów wówczas było chronić siebie, swoje państwa. Krytyka globalizacyjnej utopii, której emblematyczną postacią jest George Soros. Potem nastąpiła faza, którą możemy określić formułą „imperium kontratakuje". Wykorzystuje się wówczas słabość poszczególnych państw. Typowym przykładem jest tu Fundusz Odbudowy po Pandemii, który ma zastąpić żądanie euroobligacji wysuwane przez kraje południa Europy, czyli zadłużanie się poszczególnych państw na koszt strefy euro. Realizowany jest proces, w którym mówi się ludziom: uwspólnotowimy nasze problemy, bo tylko wspólnie możemy je rozwiązać. Teraz Unia występuje jako dobroczyńca, na przykład w sprawie zakupu szczepionki na COVID-19 dla wszystkich państw. Mniej mówi się o tym, że na przykład Niemcy dokupiły sobie dodatkową partię szczepionki. Jednym słowem – obserwujemy przy okazji walki z pandemią próby opanowania „kontrrewolucji" w postaci owej „Wandei populizmu", a z drugiej strony umocnienie władzy centralnej.

Polska jest wciąż taką „wyspą kontrrewolucji", z którą walczą eurobiurokraci i różnej maści globaliści?

Zdecydowanie tak. Polska i Węgry. Nie przypadkiem kryzys został użyty do tego, żeby powiązać unijne fundusze z tzw. praworządnością. Z możliwością, żeby oba oporne kraje za pomocą tego mechanizmu w przyszłości poddać kontroli.

Czy przewartościowania, które prawdopodobnie nastąpią w świecie po pandemii, nie dezaktualizują aspiracyjnej strategii „Polska – wielki projekt"? Czy wobec możliwości wyczerpania się korzystnej koniunktury historycznej pozostaje nam tylko obrona kurczącej się suwerenności?

Słyszę ten argument w trakcie poważnych rozmów z przedstawicielami innych opcji politycznych – z tymi z nich, którym wciąż zależy, żeby Polska była suwerenna, żeby się wzmacniała, bo tylko z nimi można poważnie rozmawiać – że nas na aspiracyjne strategie nie stać, że nie możemy grać powyżej swoich możliwości, musimy znać swoje miejsce w szeregu.

Przekleństwo niemożności....

Tak. Mówią to ludzie, których wizja silnej Polski w Europie narodów nawet by pociągała, ale wnioskują, że to za dużo, że musimy trzymać się tego, co jest. Musimy się trzymać Unii takiej, jaka ona jest, i modlić się, żeby trwała. To przekonanie łączy się z oceną, że koniunktura międzynarodowa nie do końca jest przyjazna dla Polski suwerennej politycznie i autonomicznej, ale że nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się niekorzystnym dla nas tendencjom. Ten sceptycyzm ma jakieś uzasadnienie. Muszę się przyznać, że gdy patrzy się na część polskiego społeczeństwa, choćby na te obrzydliwe „strajki kobiet", które w istocie nie są ani strajkami, ani kobiet... bo to tylko wyraz bardzo radykalnych postaw z dna społecznego, to można zwątpić w możliwość pozytywnych działań dla Polski. Gdy obserwuje się obrady Sejmu i widzi poziom znacznej części polskiej klasy politycznej i wie się, jak łatwo można zrobić karierę polityczną tanim happeningiem czy wulgarnym wyzwiskiem... Gdy obserwuje się wielu naszych przedstawicieli w Brukseli niebędących w stanie przeciwstawić się tym, którzy Unią zarządzają. Gdy się widzi nasze rozdarcie wewnętrzne, gdy się śledzi nasze media społecznościowe, gdy się słyszy, co mówi i jak myśli nasze młode pokolenie, jaką ma wiedzę, gdy się widzi, jak wygląda nasze szkolnictwo, nasze szkolnictwo wyższe, jak się zachowują rektorzy uczelni, nasze tzw. elity...

Obserwując to wszystko, można dojść do bardzo pesymistycznych wniosków, że wynik tego starcia jest już rozstrzygnięty. Tym bardziej gdy dodamy do tego konflikty wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy. Są one po części uzasadnione, bo dotyczą spraw bardzo poważnych, naszej strategii, jak daleko powinniśmy iść w kluczowych kwestiach na kompromis. Ale mają też charakter animozji osobistych, wynikają z interesów bardzo partykularnych, z małostkowości.

Nie można także nie doceniać rozgrywania nas przez siły zewnętrzne i niestety skuteczne próby wpajania Polakom pogardy do własnego państwa i braku szacunku dla kogokolwiek, kto na mocy demokratycznego mandatu tym państwem zarządza, trudno nie popaść w przygnębienie – zwłaszcza jeśli porównujemy się z tymi państwami, które sięgają coraz śmielej po władzę w Europie, chcąc z niej uczynić, powiedzmy to wprost, swoje imperium o charakterze wieloetnicznym, ale z bardzo mocnym rdzeniem narodowym. Bez spoistego państwa i światłego społeczeństwa trudno będzie nam podjąć walkę o inną Europę i nasze w niej miejsce jako wolnego narodu. A przecież nie możemy jej nie podjąć. To obowiązek wszystkich zajmujących się polityką, uczestniczących w życiu publicznym, obowiązek wobec historii, wobec naszych przodków i naszych wnuków.

Nie zapominajmy również o naszych atutach: na tle rozkładających się w wielu krajach europejskich wspólnot narodowych, ich politycznej, religijnej i kulturowej zapaści, ciągle jeszcze jesteśmy wyjątkowi – wciąż jesteśmy narodem, wciąż jesteśmy chrześcijanami. Widząc to, można nabrać otuchy. Przyszłość pokaże, która tendencja okaże się silniejsza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Klaster Fotoniki i Światłowodów – 100-procentowo Polski Produkt,

czyli jak technologie fotoniczne łączą ludzi i firmy w Polsce

Polskie Centrum Fotoniki i Światłowodów zostało uhonorowane przyznawaną przez naszą redakcję statuetką 100% Polski Produkt. Docenionym produktem został Klaster Fotoniki i Światłowodów, który zrzesza polskie podmioty działające w obszarze fotoniki. Na nasze pytania dotyczące rozwoju fotoniki oraz współpracy w ramach Klastra odpowiada Łukasz Węglarz, prezes zarządu Polskiego Centrum Fotoniki i Światłowodów, koordynatora Klastra Fotoniki i Światłowodów

Panie prezesie, gratulujemy wyróżnienia. Proszę nam wyjaśnić, czym zajmuje się Polskie Centrum Fotoniki i Światłowodów.

Dziękuję serdecznie! To pierwsze wyróżnienie za działalność Klastra, które niezwykle nas cieszy. Fotonika to nowoczesna i bardzo przyszłościowa dziedzina zajmująca się technologiami związanymi ze światłem. Polskie Centrum Fotoniki i Światłowodów (PCFS) jest organizacją non profit. Prowadzimy badania naukowe i prace rozwojowe, gromadzimy specjalistyczną aparaturę badawczą, którą m.in. udostępniamy naukowcom i przedsiębiorcom. Koordynujemy też działalność Klastra, który został założony przez nasze Centrum (PCFS), firmy InPhoTech, Elmat (dziś Fibrain) i CoMin oraz Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – uczelnię, na której powstały pierwsze polskie światłowody. Świadomość biznesowa założycieli doprowadziła do tego, że teraz wspólnie rozwijamy polską fotonikę. Podstawą działalności Klastra jest umiejętność znalezienia płaszczyzn do współpracy między podmiotami, które w niektórych obszarach mogą ze sobą konkurować, ale w wielu innych się uzupełniają z pożytkiem dla Klastra i polskiej fotoniki.

Czyli to rozwój technologii fotonicznych miał wpływ na powstanie Klastra Fotoniki i Światłowodów?

W Polsce od lat prowadzone są zaawansowane badania, które przekładają się na znaczny kapitał naukowy, co w przypadku obszaru nowych technologii w naszym kraju przecież jest rzadkością. Klaster powstał z potrzeby wykorzystania polskiego potencjału fotonicznego. Patrzymy szeroko. Fotonika to dziedzina interdyscyplinarna, łącząca w sobie elementy: optyki, informatyki, fizyki czy chemii. Każda z tych dziedzin ma swoje osiągnięcia naukowe, ale i kadrę, tę naukową oraz dedykowaną przemysłowi. W fotonice brakuje wyspecjalizowanej kadry gotowej zaspokoić oczekiwania płynące z przemysłu. Nasz cel długofalowy to silny sektor fotoniczny wdrażający polskie technologie z odpowiednim zapleczem technicznym i naukowym oraz specjalistyczną kadrą fachowców. Dlatego w ramach Klastra prowadzimy m.in. działania edukacyjne skierowane do uczniów i studentów.

Kogo zrzesza Klaster Fotoniki I Światłowodów i jakie podejmuje działania? Zdradzi nam pan, co macie w planach na 2021 r.?

Dotychczas podejmowane działania wynikały najczęściej z dobrych relacji i współpracy poszczególnych podmiotów zrzeszonych w Klastrze. W mijającym roku poszerzyliśmy kadrę pracowniczą i przygotowaliśmy strategię na 2021 r. Planujemy przede wszystkim zaprosić do Klastra nowe podmioty: start-upy, firmy technologiczne, jednostki naukowe, firmy otoczenia biznesu oraz duże przedsiębiorstwa, które mogą być odbiorcami technologii fotonicznych. Chcemy poznać ich potrzeby i oczekiwania i tak dobierać wspólne projekty, aby przynosiły efekty poszczególnym firmom oraz rozwijały Klaster. Proponujemy wsparcie m.in. w pozyskiwaniu kadr, specjalistycznych szkoleniach, promowaniu osiągnięć w mediach czy uczestnictwie w interesujących wydarzeniach. Jeśli to będzie możliwe, to chcemy zorganizować stacjonarne spotkanie wszystkich klastrowiczów, podczas którego przedstawimy główne aktywności oraz lepiej się poznamy. Niestety z powodu pandemii było to niemożliwe w 2020 r.

eprasa.pl bbf3cf9c28

Nowy rok – nowy PiS?

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

Zjednoczona Prawica trwa już wyłącznie dlatego, że spaja ją opozycja

Prezydent Duda postanowił z nowym rokiem dokonać zmian w swojej kancelarii: mianowany został nowy szef gabinetu prezydenta, Paweł Szrot, dotychczasowy zaś, Krzysztof Szczerski, oraz zastępca szefa prezydenckiej kancelarii Paweł Mucha zostali skierowani do innych zadań – pierwszy stworzy pod egidą prezydenta Biuro Polityki Międzynarodowej, drugi ma pozostać przy głowie państwa w randze „doradcy społecznego", nie określono na razie, z jakimi konkretnie zadaniami.

Jak ma wyglądać i czemu służyć Biuro Polityki Międzynarodowej, na razie nie sprecyzowano – poza tym będzie ono niejako poprawioną wersją Biura Bezpieczeństwa Narodowego, wyspecjalizowaną w polityce zagranicznej i – jak zapowiedziano – „wyposażoną w silniejszą siatkę ekspertów i zdolność mocniejszego wpływania na dyplomację, zwłaszcza w kontekście Trójmorza i polityki sąsiedzkiej, które są szczególnie bliskie prezydentowi".

W POSZUKIWANIU NARZĘDZI

W zalewie informacji o tym, kto komu dzisiaj w politycznym światku i jak naubliżał, które wypełniają większość polskich mediów, oraz emocji wywołanych szczepieniem „spod lady" znajomych rektora Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, wiadomość o zmianach u prezydenta przeszła prawie niezauważona. A przecież widać, że prezydent próbuje stworzyć sobie jakieś nowe polityczne narzędzie. W sumie ze szkodą dla porządku państwa, w którym i tak już polityka zagraniczna prowadzona jest przez zbyt wiele ośrodków (w samym rządzie mamy rozdzielenie polityki zagranicznej od polityki europejskiej – a nie od rzeczy będzie wspomnieć, że jak w dawnej, magnackiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów swoją zupełnie osobną politykę zagraniczną i europejską prowadzi też opozycja), ale być może z pożytkiem dla jego własnej politycznej pozycji.

Również bez większego zainteresowania przyjęto doniesienia „Rzeczpospolitej", że prezydent zamierza zawe-

eprasa.pl bbf3cf9c28

tować ustawę o „działach administracji publicznej". To, wbrew pozorom, sprawa znacznie grubsza. Ustawa o „działach" (czyli ustalenie kompetencji poszczególnych resortów i urzędów) to jest bowiem w istocie swoista „konstytucja" drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy, efekt wielu mozolnych, przeważnie skrytych pod dywanem, frakcyjnych walk, podkopów i prześcigania się w zabieganiu o poparcie Komendanta. Zawetowanie jej (a szansa na uzyskanie przez Zjednoczoną Prawicę dwóch trzecich głosów niezbędnych do obalenia takiego weta jest żadna) to kopnięcie w stół i rozpoczęcie całego mozolnego procesu „układania się" u władzy na nowo, tym razem z uwzględnieniem nowego, niebranego wcześniej pod uwagę, gracza: prezydenta właśnie.

Brak zainteresowania sensacyjnym przeciekiem w „Rzeczpospolitej" może wynikać po prostu z niewiary komentatorów, że jest to cokolwiek więcej niż dziennikarska kaczka – w istocie, media coraz częściej pozwalają sobie na publikowanie takich jednodniowych sensacji zupełnie bez żadnych realnych przesłanek, tylko dla „kliknięć" i cytowań. Znaczenie ma jednak też chyba powszechna niewiara, że Andrzej Duda byłby do tak zdecydowanego ruchu zdolny. Po pewnym wzmożeniu, związanym z początkiem kadencji, nadziei na odgrywanie przez niego większej roli w polskiej polityce nie ma. Polityczny i dziennikarski światek są dziś przekonane, że Andrzej Duda nie wyjdzie nigdy z roli figuranta, przecinającego wstęgi, wygłaszającego ładne przemówienia i niezainteresowanego niczym więcej.

Może tak, może nie. Pamiętajmy, że przez wiele lat dokładnie to samo sądzono o Donaldzie Tusku – jeszcze w 2007 r. Jarosław Kaczyński zupełne go lekceważył (co ściągnęło nań klęskę w feralnej debacie), za jedynego prawdziwego przeciwnika mając Aleksandra Kwaśniewskiego. Co istotne, kto pamięta Tuska z czasów, gdy cieszył się, że niewymagające wielkiej pracy stanowisko wicemarszałka Senatu „rozwiązuje mu problemy socjalne", ten musi przyznać, że były wtedy powody uważać go za polityka kompletnie wypranego z ambicji i talentu.

Czy w Andrzeju Dudzie też może się nagle obudzić poważny polityczny gracz? Na przykład w momencie, gdy na ostrzu noża stanie sprawa następstwa po Naczelniku? Jeśli pogłoski o zawetowaniu ustawy o działach okażą się prawdą, to trzeba będzie zacząć się z taką możliwością liczyć.

JEDYNY CEMENT

Wewnętrzna konstrukcja obozu rządzącego – formalnie zwanego Zjednoczoną Prawicą (choć dla przeciętnego Polaka wszystko to po prostu PiS) – w ubiegłym roku popękała bowiem na dobre i tak naprawdę trwa wyłącznie dzięki opozycji. Nawet nie chodzi o to, czego stwierdzenie stało się już kompletnym banałem: jej skrajną nieudolność, brak wizji, przywództwa, pomysłów i beznadziejny poziom intelektualny, uniemożliwiające zobaczenie w niej alternatywy dla obecnych rządów. Obóz władzy cementuje przede wszystkim dzika nienawiść do „PiS-owców", której intensyfikowaniem liberalna lewica i jej media usiłują wszystkie swe braki zastąpić. Nawet jeśli pojawią się jakieś pomysły z dziedziny realnej polityki (np. wykorzystać kryzys w obozie władzy do stworzenia nowej większości sejmowej przez przyciągnięcie do opozycji Porozumienia Gowina, ale przez zastąpienie Solidarnej Polski w koalicji rządzącej przez PSL), to wobec wszechpotężnego ujadania o „reżimie, gwałcącym wolność" i moralnego rozgęgania autorytetów nie mają one żadnych szans na realizację.

Nie można uprawiać polityki, jeśli się ciągle publicznie snuje rojenia o zemście, a twarzą opozycji w liberalno-lewicowych mediach jest taki np. Roman Giertych, odgrażający się, że każdego sędziego i urzędnika mianowanego przez PiS i nawet pracowników państwowych mediów skaże za „bezprawne podszywanie się pod funkcjonariusza publicznego". Tym bardziej że w parze z tą buńczuczną retoryką idzie coraz bezczelniejsza fizyczna agresja lewackich bojówek na osoby kojarzone z obozem władzy, atakowanie z błogosławieństwem lewicowo-liberalnych „autorytetów" ich prywatnych domów, członków rodzin etc.

Trzeba być skończonym idiotą, by nie rozumieć, że całą tą agresją „totalna opozycja" cementuje PiS, redukując do minimum swoje szanse na odegranie jeszcze kiedyś innej roli niż miotanie bezsilnych obelg. Nawet jeśli ten i ów polityk czy sympatyk rządów PiS zachwiał się w ubiegłym roku w wierze w nieomylność Naczelnika, ba, uległ nawet tej „myślozbrodni" (o co szczególnie łatwo było po „piątce dla zwierząt"), że prezes zwariował i prowadzi wszystkich na zderzenie ze ścianą, nawet jeśli do szewskiej pasji doprowadziły go złośliwości i świństwa wyrządzone przez przeciwników z wrogiej frakcji – to fala nienawiści pod koniec roku skutecznie przypomniała mu, że są granice, których przekroczyć nie można, i te granice wytycza wszystko, co może zagrozić utratą władzy. Jarosław Kaczyński powinien panią Lempart i jej zadymiary spod znaku ośmiu gwiazdek obsypać kwiatami za umocnienie swojego przywództwa.

Ponadto o feralnej „piątce" zapomnieć trudno. Prezes bowiem pokazał, że dla dogodzenia swej idée fixe gotów jest nie tylko zaszkodzić państwu i gospodarce, lecz także poświęcić oddanych mu ludzi. To był szok, którego PiS już nie zapomni.

Problem w tym, że do roli nowego lidera jest na razie zbyt wielu kandydatów. Na prawym skraju, w „najżelaźniejszym" elektoracie buduje swoją pozycję Ziobro, wypchnąwszy przegranego Macierewicza. Rywalizuje o eurosceptyków z Konfederacją – być może jego ambicją jest tylko stworzenie silnej radykalnej „partii dziesięciu procent", a być może zawalczenie potem, w oparciu o nią, o więcej. Mateusz Morawiecki, jego główny protagonista, zdaje się tymczasem być w defensywie – pandemiczne restrykcje i zwłaszcza nieudolność w zarządzaniu nimi (czego clou stanowiła sylwestrowa „godzina policyjna" wprowadzona w formie „apelu" z grożeniem karami administracyjnymi) mocno go osłabiły. To bardzo wzmocniło od zawsze niechętny Morawieckiemu, traktowanemu jako „kaprys" Komendanta, aparat partyjny – do tego stopnia, że zaczęło się mówić o wymianie premiera na Mariusza Błaszczaka. Prezydent dotąd w tej grze nie uczestniczył, wydaje się, że jest psychicznie niezdolny zwrócić się przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu, nawet po tym, jak ten sponiewierał go przy sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Zawsze jednak może się to zmienić. Wysłanej na lukratywne zesłanie do Parlamentu Europejskiego byłej premier Szydło, wciąż zachowującej popularność, też nie należy lekceważyć.

Chociaż przyspieszone wybory czy inne ważne polityczne zdarzenia raczej nam w tym roku nie grożą, to komentatorzy nie będą się nudzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Znikać, żeby być

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Kamila Baranowska

Im mniej zauważalny jest Szymon Hołownia w życiu publicznym, tym większym poparciem się cieszy. Podobnie było niegdyś z Ryszardem Petru. A potem czar prysł. Jak będzie z Hołownią?

Politykiem, któremu najbardziej ufają dziś Polacy, jest Szymon Hołownia, który już pod koniec października, a później także w listopadzie i grudniu zajął pierwsze miejsce w rankingu zaufania CBOS (wyprzedzając zarówno prezydenta Andrzeja Dudę, jak i premiera Mateusza Morawieckiego). Z ostatniego, grudniowego sondażu wynika, że zaufaniem darzy go 53 proc. badanych. Hołownia notuje także jeden z niższych wyników, jeśli chodzi o brak zaufania. Nie ufa mu jedynie 19 proc. badanych. Dla porównania prezydentowi Dudzie nie ufa 37 proc., premierowi Morawieckiemu – 43 proc., Jarosławowi Kaczyńskiemu – 57 proc., Rafałowi Trzaskowskiemu – 40 proc.

Jeszcze ciekawsze jest to, że Hołownia z miesiąca na miesiąc zyskuje coraz większą rozpoznawalność wśród Polaków. CBOS wskazuje, że nie kojarzy go już tylko 8 proc. Polaków.

Jak na kogoś, kto zgłosił swój akces do polityki raptem rok temu, wygląda to całkiem obiecująco. Zwłaszcza że Hołownia nie jest specjalnie aktywny w polskiej debacie publicznej, choćby z racji tego, że nie zasiada w parlamencie ani nie pełni żadnej politycznej funkcji. Okazuje się jednak, że nikła obecność w życiu politycznym nie tylko nie przeszkadza we wzroście popularności, lecz także wręcz pomaga. – Są takie momenty w polityce, gdy milczenie jest złotem – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW. I trudno nie odnieść wrażenia, że Szymon Hołownia dobrze wyczuwa te momenty.

JAK NAJDALEJ OD POLITYKI

Zapytaliśmy Michała Koboskę, byłego dziennikarza, redaktora naczelnego kilku tytułów, a od roku doradcy i sztabowca Szymona Hołowni oraz wiceprezesa Stowarzyszenia Polska 2050, jak to jest, że im mniej Hołowni w debacie publicznej, tym więcej osób mu ufa.

– Polski parlament cieszy się niskim zaufaniem społecznym, co wynika z przebiegu kolejnych kadencji, a szczególnie kadencji obecnej – w której obrady Sejmu zostały przez większość PiS-owską zamienione w żenujący spektakl z przepychaniem amatorsko napisanych ustaw kolanem. Są też w Sejmie zawierane szemrane deale, np. PSL z Konfederacją wysuwające kandydata Roberta Gwiazdowskiego na RPO. To dodatkowe powody, dla których Szymon Hołownia, niezasiadający w parlamen-

eprasa.pl bbf3cf9c28

cie, cieszy się większym zaufaniem i popularnością – odpowiada nam Michał Kobosko. Dodaje też, że w sytuacji kryzysu przywództwa politycznego w Polsce Hołownia, który w przeciwieństwie do zajmującej się głównie sobą klasy politycznej angażuje się w sprawy ludzi, jest „słusznie postrzegany jako skuteczny lider".

Pozowanie na kogoś z zewnątrz, kogoś, kto nie jest ubrudzony polityką, kto odcina się od klasy politycznej, podkreśla, że nie jest jak ona, i mówi otwarcie, że „klincz, w którym znalazły się partie polityczne, może być przełamany tylko przez pozapartyjny bezpiecznik" (to słowa Hołowni z Gdańska, gdy ogłaszał swój start w wyborach prezydenckich), to w zasadzie nic nowego. Próbowali już tego i Paweł Kukiz, i Robert Biedroń czy wcześniej Janusz Palikot. Z niezłym skutkiem, przynajmniej na początku.

– Najbardziej lubiany przez Polaków polityk to taki, który w najbardziej perfekcyjny sposób potrafi udawać, że nie jest politykiem – komentuje prof. Chwedoruk. – Jednak od tego, że to się ludziom podoba, co może mieć odzwierciedlenie w badaniach zaufania, do tego, by odnosić realne korzyści polityczne w postaci poparcia dla partii i wejścia do parlamentu z dobrym wynikiem, jeszcze daleka droga – dodaje.

W przypadku Szymona Hołowni wciąż działa jeszcze efekt nowości. W polityce pojawił się stosunkowo niedawno, nie zdążył się zużyć, nie zaliczył spektakularnej wpadki (może poza słynnym wideo, na którym płakał, mówiąc o przestrzeganiu konstytucji, za co został obśmiany przez internautów) ani nikomu się nie naraził, bo o swoich poglądach i programie mówi tak, by nie powiedzieć nic konkretnego.

Dość znaczące jest, że Hołownia wybił się w rankingu zaufania na pozycję lidera dokładnie w czasie, kiedy Polska żyła orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego dotyczącym aborcji i związanymi z tym masowymi protestami. Hołownia nie od razu zabrał głos w tej sprawie, czekając na rozwój wydarzeń. Gdy go już zabrał, pochwalił się, że uczestniczył w protestach wraz z żoną. Co jest o tyle ciekawe, że przecież Hołownia pozycjonował się jako umiarkowany konserwatysta. Teraz próbuje nieco odejść od tego wizerunku, wiedząc, że jego potencjalny elektorat jest dużo bardziej liberalny światopoglądowo. O ile w sprawie in vitro już dawno otwarcie przyznał, że zmienił poglądy i teraz jest za, a nie przeciw, o tyle w sprawie aborcji jest bardziej zachowawczy. Nadal mówi, że jest jej przeciwnikiem, ale podkreśla, że to jego prywatny pogląd, bo jako polityk musi liczyć się także z tymi, którzy mają odmienne zdanie w tej sprawie.

Wychodzi na to, że Hołownia, a raczej jego zaplecze, ma dobre rozeznanie nastrojów społecznych, działa na podstawie robionych na bieżąco badań, które wykazują, że w sytuacji konfliktu pogłębiającego polaryzację na tle światopoglądowym najkorzystniej jest ustawić się gdzieś obok, nie wchodzić w spór bezpośrednio.

W listopadzie i grudniu w rankingach CBOS Szymon Hołownia był liderem wśród polityków, którym ludzie ufają

Profesor Chwedoruk podkreśla, że Hołownia ma przed sobą dwie drogi, obie trochę ryzykowne. Albo mocno wpisać się w spór światopoglądowy i ścigać na radykalizm z jego uczestnikami, albo poszukać własnej drogi, bardziej umiarkowanej, co próbuje właśnie robić. – To droga, którą wybrał Władysław Kosiniak-Kamysz w ostatnich wyborach prezydenckich. Z bardzo kiepskim efektem – przypomina politolog.

BEZ BŁĘDÓW PETRU?

Szymon Hołownia i jego nowa inicjatywa polityczna pod nazwą Polska 2050 bardzo przypominają wejście do polityki Ryszarda Petru. On też był swego czasu liderem w sondażach zaufania społecznego, nadzieją opozycji czy „polskim JFK", jak pisał portal Gazeta.pl. Dwa miesiące po wyborach, w których jego partia dostała się do Sejmu, uznał się za „lidera sejmowej opozycji". Jednak czar Petru gasł wprost proporcjonalnie do jego publicznych wypowiedzi. Można było odnieść wrażenie, że dopóki Petru funkcjonował jako apolityczny fachowiec, ekspert z zakresu ekonomii, dopóty cieszył się sympatią wyborców i ich poparciem dokładnie na tej samej zasadzie, na której cieszy się nimi dziś Hołownia. Im mocniej wchodził jednak w politykę, im częściej występował w mediach i był konfrontowany z dziennikarzami i politykami innych partii, tym więcej zaliczał wpadek i tym mocniej widoczny był jego brak politycznego obycia i doświadczenia. Słynny wyjazd na Maderę w szczycie kryzysu sejmowego był zwieńczeniem wcześniejszych wpadek.

– Oczywiście analizowaliśmy historie inicjatyw Ryszarda Petru, Roberta Biedronia, Pawła Kukiza i Janusza Palikota. Jestem przekonany, że nasz ruch uniknie wielu wpadek poprzedników. Hołownia jest dużo bardziej umiarkowany i przewidywalny od Palikota, bardziej prospołeczny od Petru, bardziej konsekwentny od Kukiza i pracowitszy od Roberta Biedronia. Szymonowi Hołowni nie zawrócą w głowie sondaże ani popularność. Nie ogłosi sam siebie liderem opozycji. Mamy świadomość ogromnej roboty do wykonania i to na niej się dziś koncentrujemy, a nie na show medialnym – zapewnia Michał Kobosko.

Zaplecze Hołowni wydaje się dużo bardziej profesjonalne niż Ryszarda Petru i na razie dość skutecznie chroni go przed ewentualnymi wpadkami. Tyle tylko, że nie da się tego robić w nieskończoność. – Efekt nowości działa tylko do pewnego momentu. To jak z reklamą nowego proszku do prania. Wszystko wygląda atrakcyjnie i świetnie dopóty, dopóki ludzie nie upiorą w tym proszku. Kiedy już wybiorą Hołownię i dadzą mu miejsce w parlamencie, zaczną się niewygodne pytania o program, o poglądy oraz wątpliwości co do braku doświadczenia. Ewentualny sukces wyborczy nie gwarantuje mu trwałego sukcesu politycznego – zauważa prof. Chwedoruk.

A już na pewno nie gwarantuje mu przejęcia palmy pierwszeństwa na opozycji. Platforma, choć bez wizji, pomysłów i liderów z prawdziwego zdarzenia, wciąż strukturalnie trzyma się mocno. Podobnie jak Lewica i PSL, które też nie czekają z otwartymi ramionami na nowe opozycyjne inicjatywy. – Żeby Hołownia stał się jakimś ważnym ośrodkiem decyzyjnym po stronie opozycji, musiałoby się na siebie nałożyć dużo różnych czynników naraz, z wielkim kryzysem Platformy na czele. Dlatego nie przywiązywałbym się tak bardzo do sondaży zaufania, które dziś windują Hołownię. One już niejednego polityka zwiodły – konkluduje politolog.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

COVID-19

FOT. MINISTERSTWO ZDROWIA

Z ministrem zdrowia Adamem Niedzielskim
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Z pandemii wyjdziemy poobijani

KATARZYNA PINKOSZ: Opinię publiczną zbulwersowało zaszczepienie się celebrytów poza kolejką. Dlaczego jednak w grupie 0 znaleźli się m.in. pracownicy hurtowni farmaceutycznych, a w grupie 2 osoby z chorobami współistniejącymi?

ADAM NIEDZIELSKI: Nie ma rozwiązania, które sprawiłoby, że każdy, kto czuje się zagrożony, znalazłby się na początku procesu szczepień. Początkowo szczepionek nie będzie tyle, ile byśmy chcieli. Układając listę grup, kierowaliśmy się dwoma kryteriami. Pierwsze to jak najszybsze zaszczepienie osób, które są na pierwszej linii walki z koronawirusem. W grupie 0 znaleźli się nie tylko lekarze i pielęgniarki, lecz także personel administracyjny pracujący w szpitalu. Zależało nam na ciągłości funkcjonowania podmiotów medycznych, a do tego są również niezbędne dostawy leków do szpitali – to powód przypisania do grupy 0 np. pracowników hurtowni farmaceutycznych.

Drugim kryterium było ryzyko ciężkiego przebiegu COVID i zgonu – głównym jest wiek. U osób do 40.–50. roku życia wynosi ono kilka procent; po 75.–80. roku życia 20–30 proc. Dostajemy dużo wniosków od grup, które oczekują przesunięcia na liście, cały czas nad tym pracujemy. Ostatnio wpisaliśmy do grupy 0 rodziców wcześniaków, rzeczywiście był istotny powód przesunięcia.

Po 15 stycznia ruszą zapisy dla grupy 1. Kiedy ma szansę na szczepienie?

Obecnie mamy zakontraktowane dostawy z Pfizer/BioNTech po ponad 300 tys. szczepionek co tydzień, z czego połowa musi być odłożona na drugą dawkę dla zaszczepionych. Po decyzji EMA dochodzą nam dostawy z Moderny – do końca marca ponad 800 tys. sztuk. Zgodnie z szacunkami do końca pierwszego kwartału zaszczepimy ok. 3 mln osób.

Szkoły powinny zacząć funkcjonować, zanim nauczyciele się zaszczepią? Nie spowoduje to wzrostu zachorowań?

To trudna decyzja, obecnie widać, że w całej Europie znów rośnie liczba zachorowań; w Wielkiej Brytanii liczba dziennych zachorowań przekroczyła 60 tys. My też widzimy, że rośnie zarówno liczba wystawianych przez lekarzy POZ zleceń na testy, jak i liczba zakażeń. W najbliższym tygodniu przekonamy się, czy okres świąteczno-noworoczny spowodował przyspieszenie epidemii, czy uda nam się utrzymać stabilność dzięki wprowadzonym obostrzeniom. To ważny moment nie tylko ze względu na liczbę zajętych łóżek, respiratorów i liczbę zgonów, lecz także ze względu na szczepienia. Nie uda nam się realizować akcji masowych szczepień, jeśli cały personel medyczny będzie musiał koncentrować się na leczeniu i walce z COVID-19.

Nauczyciele zostali zakwalifikowani do grupy 1, gdyż ważne jest przywracanie normalnej edukacji. Zdalna nauka wywołuje poważne konsekwencje, młodzież ponosi ogromne koszty tego, że nie rozwija się w normalnej grupie rówieśniczej. Nauczyciele klas I–III – bo pewnie od nich zaczynalibyśmy szczepienia – to jednak ok. 160–180 tys. osób, a przecież trzeba też doliczyć personel administracyjny. Nie będzie możliwości, żeby czekać z otwarciem szkół, aż wszyscy nauczyciele zostaną zaszczepieni. W grupie 1 mimo wszystko najważniejsi są seniorzy, bo oni są bardzo narażeni na poważne powikłania. Uważam, że jeśli liczba zakażeń będzie utrzymywała się poniżej 10 tys. dziennie, będziemy mieć w miarę stabilną sytuację pod kątem obłożenia szpitali i respiratorów, to najmłodsze dzieci powinny wrócić do szkół.

Z jednej strony szczepienia są dobrowolne, z drugiej pojawiają się sugestie, że osoby zaszczepione będą miały inne prawa niż nieszczepione. Jak to ma wyglądać, skoro nawet szczepionek brakuje?

Widzę, że dyskusja o prawach osób zaszczepionych i niezaszczepionych wy-

eprasa.pl bbf3cf9c28

wołuje dużo emocji, pojawiają się wątki dotyczące dyskryminacji osób niezaszczepionych. Dyskusja o tzw. benefitach trwa, na razie nie ma gotowych rozwiązań oprócz dość oczywistych udogodnień. Pierwsze dotyczy osób wracających z zagranicy. Mamy dziś nakaz kwarantanny, któremu osoba zaszczepiona nie będzie podlegać. Druga sytuacja – gdy sanepid potwierdza kontakt z zakażonym pacjentem, osoba zaszczepiona nie będzie musiała przebywać na kwarantannie. Trzecia to niewliczanie zaszczepionych do limitu osób, które mogą uczestniczyć w imprezach i spotkaniach rodzinnych. To nie są przywileje, tylko oczywiste konsekwencje tego, że ktoś jest odporny.

Nie lepiej byłoby powiedzieć: Ta szczepionka musi być obowiązkowa ze względów epidemicznych?

Nie zdecydowaliśmy się na obowiązkowość m.in. dlatego, że w Polsce deklaracja chęci zaszczepienia się była jedną z najniższych w Europie. Jeszcze miesiąc temu tylko niewiele ponad 30 proc. osób chciało się zaszczepić. Wydaje się, że dużo bardziej efektywna okazała się droga, którą wybraliśmy: przekonywania, że szczepionki są skuteczne i bezpieczne, dadzą nam możliwość powrotu do normalności. Dziś już ok. 50 proc. osób chce się szczepić. Jeszcze trochę i liczba chętnych do szczepienia wystarczy, by osiągnąć odporność populacyjną, czyli zaszczepienie 60–70 proc. osób.

W 2020 r. w Polsce zmarło ok. 70 tys. osób więcej niż rok wcześniej. Jaką widzi pan przyczynę jako minister zdrowia? W Niemczech, Austrii, we Włoszech nie ma ogólnego wzrostu liczby zgonów.

Część zgonów wynikała z ograniczenia możliwości dostępu do służby zdrowia. Wiele zgonów COVID-owych wynikało z tego, że pacjenci za późno trafiali do szpitali, kiedy już nie można było interweniować, podając leki czy tlen. Musieli być od razu podłączeni pod respirator, a szacunki są takie, że nawet 30–50 proc. takich pacjentów umiera.

Udało nam się przerwać tę falę zgonów dzięki wielu działaniom. Udało nam sie przesunąć zakupy remdesiwiru z początku tego roku na końcówkę poprzedniego (jego dostępność pod koniec roku wynosiła kilka tysięcy sztuk, a zapotrzebowanie – ponad 40 tys.). W wielu szpitalach brakowało tlenu; trzeba było rozwozić butle z tlenem – system dystrybucji został poprawiony. Wprowadziliśmy też program DOM – domowej opieki medycznej. Chorzy otrzymują pulsoksymetry, które monitorują saturację, czyli natlenienie krwi. Działa specjalne centrum monitorujące odczyty; w przypadku pogorszenia stanu zdrowia kontaktuje się z pacjentem. Dzięki temu ma on szansę trafić do szpitala, gdy jest czas na interwencję. Udało nam się też usprawnić działanie ratownictwa medycznego i trafnego doboru szpitala do przewiezienia pacjenta. Wszyscy słyszeliśmy o karetkach czekających po kilka godzin, by zostawić pacjenta w szpitalu. Teraz już to się nie zdarza.

Jednak dane z ostatniej środy mówią o ponad 500 zgonach. Było to siódme miejsce na świecie.

Dane ze środy nigdy nie są reprezentatywne, to kwestia sprawozdawczości. Na wtorek spływają wszystkie raporty dotyczące zgonów, do których doszło w weekend i które były wcześniej raportowane. Bardziej adekwatne są dane o średniej tygodniowej liczbie zgonów. Obecnie jest to 270–280 – ta liczba zmniejsza się, jednak nie tak szybko, jak byśmy chcieli.

Jedną z przyczyn „nadmiarowych zgonów” jest zamknięcie się służby zdrowia. Kiedy będzie można dostać się do lekarza, a nie tylko na teleporadę?

W momencie największego piku zachorowań i zgonów mieliśmy prawie 40 tys. łóżek COVID-owych, teraz – 33 tys. (a zajętych 17 tys.). Chcemy tę liczbę zmniejszyć do 30 tys., jednak nie bardziej, ponieważ obawiamy się trzeciej fali zakażeń. „Oddajemy” te łóżka, przede wszystkim oddziałom internistycznym. Tak więc na pewno poprawi się dostęp do opieki szpitalnej dla pacjentów niecovidowych.

W pierwszym okresie epidemii, w miesiącach wiosennych, ok. 80–90 proc. wizyt lekarskich stanowiły teleporady. Potem ta liczba się zmniejszyła. Od ponad miesiąca NFZ prowadzi intensywne kontrole, sprawdzając dostępność do lekarzy. Pracujemy też nad systemem regulacji, który określi, jak wiele wizyt może odbywać się w formie teleporad. Widzę, że taka regulacja jest potrzebna. To na lekarzach ciąży odpowiedzialność za leczenie, nie zawsze jest to możliwe za pomocą teleporady. Bezpośredni kontakt z lekarzem musi być pacjentom zagwarantowany.

Szczepienia celebrytów pokazały to, co znamy od lat: jest kolejka, ale są osoby, które dostają się do systemu innymi sposobami. Będzie miał pan odwagę, by to zmienić?

Mam taki zamiar. Sprawa szczepień celebrytów ma dwa wymiary. Pierwszy to formalne nieprawidłowości. Drugi to postawa osób, które mają oczekiwania, że powinny być inaczej traktowane, i osób, które chcą je tak traktować. Najgorsze jest to, że ta sprawa wydarzyła się nie na bazarze, gdzie ktoś załatwia towar spod lady, tylko na uniwersytecie medycznym, który kształci lekarzy, pokazuje pewne standardy etyczne. W tym przypadku mieliśmy do czynienia z zaprzeczeniem standardom. Bulwersująca jest też reakcja wielu osób, gdy te informacje wyszły na jaw. To nie było przyznanie się do odpowiedzialności, tylko wypieranie. To też jest godne potępienia; uważam, że powinno się ponosić odpowiedzialność za to, co się robi.

Mam nadzieję, że ta próba uprzywilejowania pewnej grupy osób spowoduje większe uwrażliwienie na takie sytuacje. Moją rolą jest ich eliminowanie i zagwarantowanie równego dostępu dla wszystkich. Wdrażamy e-skierowanie, które pozwala bardzo dokładnie monitorować wizyty u specjalisty. E-skierowanie to nie tylko wygodny sposób zapisania się do lekarza czy na badanie, lecz także narzędzie, które pozwala zobaczyć, co dzieje się w systemie. Pacjent, który pojawił się poza kolejnością wynikającą z e-skierowania, będzie widoczny. Wdrażanie tych narzędzi to też element walczenia z takimi patologicznymi sytuacjami.

Są ferie, z zamkniętymi stokami, basenami, siłowniami. Mało Polaków było aktywnych fizycznie, a po pandemii będzie jeszcze mniej.

Doskonale wiem, jak ważna jest aktywność fizyczna. Na pewno z pandemii wyjdziemy „poobijani”, również pod tym względem. Zawsze trzeba jednak ważyć koszty i korzyści. Jesteśmy na takim etapie epidemii, że dziś najważniejsze jest, żeby ograniczyć transmisję wirusa. Stąd te trudne decyzje.

Gdy wyjdziemy z epidemii, musimy zrobić „rachunek zdrowia”. Mamy gotowy pakiet rozwiązań, chcemy m.in. znieść limity do specjalistów, a każdej osobie powyżej 40 lat zaproponować „przeskanowanie” stanu zdrowia dzięki wykonaniu podstawowych badań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. ADOBE STOCK

Dziecięcy lockdown

Olivier Bault

Większość krajów w Europie po wiosennym lockdownie nie odesłała po raz drugi dzieci do domów. Tylko w Polsce wciąż siedzą przed komputerami

W obliczu drugiej fali pandemii w większości krajów europejskich uznano, że przy zachowaniu pewnych obostrzeń sanitarnych udział szkół w rozprzestrzenianiu pandemii jest na tyle ograniczony, iż długotrwałe przechodzenie na naukę zdalną przynosi więcej szkód niż pożytku. Jeżeli już są jakieś obostrzenia, to dzieci uczą się w trybie mieszanym, aby ograniczyć liczbę uczniów przebywających jednocześnie na terenie szkół, lub odsyłane są do domów tylko na jakiś czas i to na obszarach, gdzie jest najwięcej osób zarażonych koronawirusem.

W Polsce licealiści uczą się zdalnie w sposób nieprzerwany już od 19 października, starsi uczniowie szkoły podstawowej (klasy IV–VIII) od 26 października, a młodsi uczniowie (klasy I–III) od 9 listopada. Na domiar złego w pierwszej połowie stycznia wszyscy uczniowie zostali pozbawieni lekcji zdalnych rządową decyzją o wyznaczeniu im w tym okresie rzekomych „ferii zimowych" przy jednoczesnym zakazie samodzielnego wychodzenia z domu przed zmrokiem i zamknięciu wszystkich zajęć sportowych i rekreacyjnych, które nadal odbywały się przed świętami.

UCZNIOWIE ZAMIAST SANEPIDU

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek 21 grudnia zapowiadał możliwy – ale jeszcze stojący pod znakiem zapytania – powrót do szkół dzieci z klas I–III po 17 stycznia. O pozostałych uczniach na tym etapie niczego jeszcze nie było wiadomo.

A przecież wskaźnik śmiertelności bezpośrednio związanej z COVID-19 w poszczególnych krajach europejskich w żaden sposób nie wskazuje na to, że zamknięcie szkół na dłużej miałoby

eprasa.pl bbf3cf9c28

w szczególny sposób pomóc Polsce w walce z pandemią. Pod koniec roku Polska pod względem liczby zgonów (717 na milion mieszkańców – według statystyki na Worldometers.info na dzień 28 grudnia) stopniowo doganiała Szwecję (817), Francję (960), Wielką Brytanię (1040), Hiszpanię (1065) i Włochy (1190) i była już daleko przed Niemcami (363). Liczby te nie uwzględniają zwiększonej liczby zgonów „niecovidowych" związanych z trwającym od marca utrudnionym dostępem do służby zdrowia w Polsce. A te, jak pokazały polskie dane za listopad, stanowią już większość zgonów związanych z pandemią – a ściślej mówiąc, związanych z reakcją władz i służby zdrowia na pandemię. Chociaż przypuszczać można, że w Polsce w większym stopniu niż w innych dużych krajach europejskich część zgonów osób mających COVID-19 nie jest po prostu wykrywana i tak opisywana. W Polsce robi się niecałe 185 tys. testów na milion mieszkańców wobec 402 tys. w Niemczech, 422 tys. w Szwecji, 431 tys. we Włoszech, 525 tys. we Francji, 556 tys. w Hiszpanii i 768 tys. w Wielkiej Brytanii. Dlatego też, podczas gdy proporcja testów z wynikiem pozytywnym oscyluje między 10 a 15 proc. w krajach Europy Zachodniej, w Polsce waha się zwykle między jedną trzecią a połową testów wykonanych w danym dniu.

W Polsce edukacja zdalna jest więc wykorzystywana jako narzędzie walki z pandemią, zastępując po części szerokie testowanie i izolowanie nosicieli wirusa. Wiele wskazuje na to, że brak nauki stacjonarnej ma u nas rekompensować niewydolność sanepidu w tropieniu kontaktów osób chorych oraz inne zaniedbania poczynione od czerwca w tym zakresie, m.in. jeśli chodzi o liczbę dziennych testów, które długo były wykonywane wyłącznie na osobach z pełną paletą objawów COVID-owych, czy w zakresie korzystania z aplikacji mobilnej „Stop COVID", która nie została w Polsce odpowiednio rozreklamowana i z tego powodu cieszy się zbyt niską popularnością, aby mogła okazać się w jakimkolwiek stopniu przydatna do wytropienia i testowania osób kontaktowych.

JAK TO SIĘ ROBI W EUROPIE

11 grudnia wiceminister edukacji Dariusz Piontkowski mówił o tym, że podobny jak w Polsce model stosuje się w każdym innym europejskim kraju. Jednak według danych UNESCO tylko ok. 30 krajów na świecie stosowało model polski polegający na odesłaniu większości uczniów, również tych zdrowych, na naukę zdalną. Wśród nich były bardzo nieliczne kraje europejskie: Polska, Czechy, Austria, Słowenia, Bułgaria i Grecja. Niemcy i Holandia zamknęły szkoły dopiero od połowy grudnia, wyprzedzając nieco przerwę świąteczną. W przypadku Niemiec powrót uczniów do szkół zapowiedziano od razu na 10 stycznia. We Włoszech stosowano tryb mieszany w zależności od regionu, a w pozostałych krajach europejskich nauka stacjonarna, z przestrzeganiem pewnych rygorów sanitarnych, była ogólnie panującym modelem.

Według danych UNESCO zaledwie ok. 30 krajów świata odesłało uczniów na naukę zdalną, wśród nich nieliczne kraje europejskie

W Anglii, gdzie od września szkoły pracują w trybie stacjonarnym pomimo pandemii, dzień przed rozpoczęciem przerwy świątecznej w szkołach rząd Borisa Johnsona ogłosił, że wakacje szkolne zostaną wydłużone do 4 lub 5 stycznia dla klas, w których dzieci przygotowują się do egzaminów w tym roku szkolnym, oraz do 11 stycznia dla pozostałych uczniów. Wydłużenie wakacji ma umożliwić przeprowadzenie testów przesiewowych we wszystkich szkołach po świętach, tak aby uniknąć rozprzestrzeniania się pandemii za pośrednictwem szkół po rodzinnych zjazdach (które i tak były mocno ograniczone w tym roku). Wcześniej minister edukacji Gavin Williamson nie zgodził się na to, aby samorządy zamykały szkoły na terenach najbardziej dotkniętych pandemią, choćby tylko w ostatnim tygodniu przed przerwą świąteczną, i zagroził takim samorządom i szkołom wytoczeniem spraw sądowych. Williamson nazwał utrzymanie nauki stacjonarnej w czasie pandemii „priorytetem narodowym" i nie wyraził również zgody na to, aby władze Londynu odesłały dzieci na naukę zdalną do domu, gdy mer Londynu Sadiq Khan wnioskował o to w połowie grudnia w obliczu pogarszających się wskaźników pandemii.

Kierując się podobną logiką, po analizie szkód pedagogicznych i gospodarczych wyrządzonych przez pierwszy lockdown, francuski rząd postanowił tym razem pozostawić szkoły otwarte pomimo ostrzeżeń ze strony wirusologów i epidemiologów. – Rzecz jasna, spadek [liczby przypadków] jest powolniejszy, ponieważ szkoły są otwarte, ale musieliśmy znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia – stwierdził specjalista chorób zakaźnych Yazdan Yazdanpanah, należący do ciała doradczego rządu Castexa w sprawie pandemii. Jednak sam zauważa, że wolniejszy spadek zakażeń został zrekompensowany pozytywnym wpływem przyjętego rozwiązania na edukację i zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży oraz na gospodarkę.

Pod koniec listopada amerykański dziennik „New York Times" podawał Francję jako przykład tego, że można walczyć z pandemią COVID-19, nie zamykając szkół, skoro pomimo powszechnie otwartych placówek edukacyjnych udało się tam zmniejszyć procent pozytywnych testów do 11 proc. i unikać tym razem nadmiernego przeciążenia szpitali.

W Hiszpanii także nie powtórzono pedagogicznego eksperymentu z ubiegłej wiosny, kiedy dzieci uczyły się zdalnie. Minister edukacji Isabel Celaá stwierdziła tym razem, że szkody wyrządzone dzieciom i młodzieży są dużo większe niż potencjalne korzyści uzyskane w walce z pandemią. Jak pokazało badanie prowadzone od lipca do października przez szpital Vall d'Hebron w Katalonii na 1085 młodych pacjentach i 3515 członkach ich rodzin – tylko 8 proc. zakażonych pacjentów pediatrycznych szpitala zaraziło inne osoby z najbliższego otoczenia. „Nasze badanie potwierdziło, że dzieci zarażają mniej niż dorośli w środowisku domowym, tak jak wskazywało nasze wcześniejsze [wiosenne – przyp. red.] badanie" – powiedział dziennikarzom „El País" dr Pere Soler, który kieruje oddziałem chorób zakaźnych barcelońskiego szpitala, dodając: „Teraz widzimy, że swobodne przemieszczanie się dzieci i powrót do szkoły nie pociągnęły za sobą zwiększonej transmisji wirusa".

Pomimo nauki stacjonarnej dzieci liczba nowo wykrytych przypadków w liczącej 47 mln mieszkańców Hiszpanii i ewolucja pandemii są podobne do tego, co można obserwować w Polsce, a liczba zgonów związanych z COVID w grudniu była nawet kilkakrotnie mniejsza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Konfederacja turystyczna

Łukasz Warzecha

Na południu Polski mieszkańcy buntują się już przeciw niszczącym ich życie obostrzeniom rządu. Jako drogę sprzeciwu wybrali referendum

Ten kod – 55.20.Z, jeden z kodów PKD określających dziedziny działalności gospodarczej – oznacza obiekty noclegowe turystyczne i miejsca krótkotrwałego zakwaterowania, czyli pensjonaty, agroturystykę i wszystko to, co nie łapie się pod kategorię 55.10.Z (hotele i podobne obiekty zakwaterowania). W rządowej tarczy 6.0 tę ostatnią kategorię uwzględniono, ale 55.20.Z pominięto. Być może to była kropla, która przelała czarę już nawet nie goryczy, ale wściekłości, i sprawiła, że mieszkańcy Karpacza ruszyli do działania, a włodarze kilku gmin z południa Polski – Karpacza, Dusznik-Zdroju, Bukowiny Tatrzańskiej, Szczyrku, Kościeliska i Świeradowa-Zdroju – zaczęli wspólnie twardo prezentować swoje postulaty.

Może to daleka analogia, ale to swoiste „powstanie" najbardziej pokrzywdzonych gmin i ludzi, którzy żyją tam z turystyki, przypomina poniekąd początki konfederacji barskiej z 1768 r., przy zachowaniu proporcji. Oto bowiem konfederaci widzieli swoje powstanie jako bunt w granicach przewidzianych przez prawo i początkowo dbali o to, żeby zawiązanie regionalnych konfederacji rejestrować w stosownych urzędach. Wszystko miało być lege artis. W tym sensie konfederacja barska była powstaniem bardzo, ale to bardzo obywatelskim.

W GRANICACH PRAWA

Gminy z południa też nie chcą robić rokoszu ani siać anarchii. Wszystko, co się tam dzieje, jest utrzymane w granicach prawa, a mieszkańcy domagają się od władzy centralnej po prostu jego respektowania. Stąd pomysł lokalnego referendum. Mieszkańcy Karpacza spotkali się tydzień temu, żeby nadać dotychczas luźnej inicjatywie bieg. W gminie, gdzie uprawnionych do głosowania jest trochę ponad 3 tys. osób, pod wnioskiem o referendum w dwa dni zebrano ponad 500 podpisów, ale organizatorzy zbierają dalej. Pytanie referendalne ma brzmieć: „Czy zgadzasz się na respektowanie zakazów, nakazów i ograniczeń praw i wolności obywatelskich, wprowadzanych wbrew Ustawom i Konstytucji RP poprzez rozporządzenia Rady Ministrów w związku ze stanem epidemii?". O inicjatywie – zgodnie z ustawą o referendum lokalnym – inicjatorzy powiadomili burmistrza Radosława Jęcka. Podpisy trafią do 15-osobowej rady miasta, gdzie trudno sobie wyobrazić, aby większość nie głosowała „za". Co ma jednak z referendum wyniknąć?

Rozmawiam z przedsiębiorcą z Karpacza, właścicielem sporej bazy noclegowej (nieszczęsny kod 55.20.Z). Mówi, że absolutnie nie chodzi tu o – jak sugerują niektóre media – jakąś secesję czy anarchizację. Głosowanie ma dać rządzącym mocny sygnał, że mieszkańcy gminy nie godzą się na dotychczasowe praktyki i traktowanie. Mówi, że w grupie inicjatorów są ludzie o różnych poglądach i sympatiach politycznych. „Boimy się, że jeśli teraz nie powiemy »nie«, to za kilka miesięcy władza posunie się w swojej samowoli dalej. A ten sezon i tak jest już stracony".

Bardzo możliwe, że śladem Karpacza – jeśli referendum wypali – pójdą inne gminy z południa Polski. A później może i z innych regionów, bo swoje niezadowolenie coraz głośniej sygnalizują też te z północy. W Karpaczu wpływy związane z turystyką są szacowane na 45 proc. dochodów lokalnego budżetu.

Skąd wzięła się energia do tej specyficznej formy buntu, której – jak mogłoby się wydawać – brakuje Polakom?

Przyczyn jest kilka. Przede wszystkim nieczytelność, chwiejność i dowolność polityki lockdownowej państwa. Jeszcze w listopadzie premier prezentował wykres, pokazujący uzależnienie różnych etapów lockdownu od liczby zakażeń. To miało stworzyć przedsiębiorcom bardziej przewidywalne otoczenie. Potem, wbrew zapowiedziom, zdecydowano o zamknięciu stoków narciarskich i zakazano pobytów służbowych, robiąc w dodatku dość bezczelną furtkę specjalnie dla TVP tuż przed sylwestrem. Działania rządu całkowicie oderwały się od statystyk zakażeń.

Wielu przedsiębiorców jest w sytuacji skrajnie dramatycznej. Materiał lokalnej stacji telewizji internetowej Strimeo o losach stacji narciarskiej Pod Wangiem, prowadzonej już przez drugie pokolenie

eprasa.pl bbf3cf9c28

Karpacz – opustoszały mimo ferii. Mieszkańcy i przedsiębiorcy nie chcą zostać zrujnowani
FOT. KRZYSZTOF ĆWIK/AGENCJA GAZETA

rodziny Lustyków, miał się rozpocząć wypowiedzią Bogusława Lustyka. Przedsiębiorca nie jest jednak w stanie mówić. Zaczyna płakać i odwraca się plecami do kamery. Właściciele stacji inwestowali w nią od lat. Tak jak wszyscy przedsiębiorcy, posiadający podobny biznes, mają na karku bankowe kredyty. Dzisiaj rząd zarabiać im nie pozwala, a żeby utrzymać biznes do kolejnego sezonu, potrzebują 900 tys. zł. W desperacji ogłosili zbiórkę na portalu Zrzutka.pl. Na tarczę 6.0 nie są w stanie się załapać, ponieważ kryteria spadku przychodów są nie do przejścia dla biznesu, który przychód osiąga jedynie przez trzy miesiące w roku, ale wkładać pieniądze w biznes musi cały czas.

Takich jak Lustykowie jest więcej. W pesymistycznym wariancie ich interesy zostaną przejęte przez wierzycieli – czyli banki, które je następnie zlicytują. Jeśli nie przetrwają oni i inni lokalni przedsiębiorcy, to pracę stracą nie tylko oni sami, lecz także wiele osób z okolicznych gmin, bo przecież w gospodarce wszystko jest ze sobą powiązane. Jeśli będą musieli sprzedać majątek, na który pracowali kilkadziesiąt lat, to z pewnością ktoś się po niego zgłosi. Burmistrzowie turystycznych gmin z południa już sygnalizują, że zaczynają się pojawiać oferty dużych firm skupowania stojących na krawędzi biznesów.

Mój rozmówca z Karpacza jest skrajnie rozgoryczony. Mówi, że czuje się, jakby wrócił PRL. Ludzie pytający o noclegi wprost mówią, że zapłacą pod stołem. Zyskują właściciele apartamentów na wynajem, których nikt nie kontroluje, a tracą ci, którzy w swoje biznesy włożyli wiele pieniędzy, rozbudowali je, dopieścili, bo to do nich przyjeżdżają policyjne kontrole. – Im kto bardziej się postarał, tym ma teraz gorzej – mówi mi.

SĄD DAJE NADZIEJĘ

Przedsiębiorcom nieoczekiwanie w sukurs przyszli sędziowie z Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Opolu. Wyrok, który wydali jeszcze pod koniec października, niedawno zyskał ogromną popularność w sieci – choć najważniejsze media o nim nie wspominają. Trzyosobowy skład orzekający (Krzysztof Sobieralski – przewodniczący, Krzysztof Bogusz – sprawozdawca i sędzia WSA Elżbieta Kmiecik) przedstawił werdykt i bardzo rozbudowane uzasadnienie, które – gdyby w Polsce działało prawo precedensowe – po uprawomocnieniu się praktycznie rozłożyłyby na łopatki całą politykę lockdownową, opartą na rozporządzeniach Rady Ministrów. Dogłębność, jakość i mądrość orzeczenia opolskiego WSA robią wrażenie.

Sprawa dotyczyła kary administracyjnej w wysokości 10 tys. zł na podstawie policyjnej notatki nałożonej przez sanepid na fryzjera, który pod koniec kwietnia ubiegłego roku został przyłapany na strzyżeniu klienta – jak wyjaśniał później, swojego znajomego w ramach przysługi.

Wyrok jest druzgocący. WSA w Opolu zauważył (upraszczam tu oczywiście prawniczy wywód), że swoboda działalności gospodarczej jest jedną z podstawowych wolności gwarantowanych przez konstytucję RP, a zatem jej ograniczenie, a już zwłaszcza zakaz prowadzenia muszą być bezpośrednio ujęte w ustawie, a nie – jak to się dzieje od wiosny – w rozporządzeniach wydawanych na podstawie ustawy. Sędziowie wskazali też, że ustawa o zapobieganiu i zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi z 2008 r., na którą w swoich rozporządzeniach powołuje się rząd, umożliwia ograniczenie, ale nie całkowity zakaz prowadzenia działalności gospodarczej. To sytuacja analogiczna do sprawy zakazu przemieszczania się, także kwestionowanego przez prawników. Postępowanie administracyjne w sprawie fryzjera zostało oczywiście umorzone, a kosztami procesowymi został obciążony Główny Inspektorat Sanitarny.

Nie można wykluczyć, że jeśli kolejni przedsiębiorcy zdecydują się w podobnych sprawach ruszyć po sprawiedliwość, to zaczną otrzymywać podobne wyroki.

Tak pewnie będzie, bo zaczynają się pojawiać informacje o aktach obywatelskiego nieposłuszeństwa ze strony właścicieli zamkniętych biznesów. Otwarcie mimo restrykcji zapowiedziało centrum rozrywki i restauracja Laser Factory w Zamościu. „Po długich namysłach i rozmowach z radcami prawnymi, adwokatami nie jesteśmy w stanie czekać w nieskończoność na pomoc Państwa. Ratujemy się sami. Przez okres pandemii nie zwolniliśmy ani jednego pracownika, nie otrzymaliśmy również ani złotówki z tarcz antykryzysowych (odmowa). Sytuacja, jaka dotknęła nas i wielu przedsiębiorców w Zamościu, doprowadzi do zadłużenia i bankructwa" – napisali na Facebooku właściciele firmy, zapowiadając otwarcie w ścisłym reżimie sanitarnym. W Internecie krąży też ogłoszenie pensjonatu z okolic Świeradowa-Zdroju, który zdecydował się na podobny krok, oraz informacja o siłowni Xtreme Fitness Gyms z Kędzierzyna-Koźla, której udało się obejść zakazy i działa jako jedyna w mieście. W bytomskiej Sportowej Dolinie można pozjeżdżać na sankach ze stoku, opłaciwszy wcześniej parking w cenie 25 zł za osobę. Cierpliwość ewidentnie się kończy.

Na wspólnej konferencji prasowej włodarzy wspomnianych na początku gmin i miast górskich, którą zorganizowano 4 stycznia w Karpaczu, wójt gminy Kościelisko Roman Krupa mówił, że oczekuje od rządu przedstawienia harmonogramu odmrażania zimowej turystyki. Roland Marciniak, burmistrz Świeradowa-Zdroju, alarmował, że nie pracuje 90 proc. mieszkańców gmin uzależnionych od turystów. Piotr Lewandowski, burmistrz Dusznik-Zdroju, z goryczą mówił, że jeszcze w listopadzie na prośbę wicepremiera Jarosława Gowina porozumienie gmin górskich przygotowało obszerny dokument z propozycjami funkcjonowania turystyki górskiej w ścisłym reżimie sanitarnym. Już miesiąc temu zwróciło się zaś do premiera Mateusza Morawieckiego z prośbą o spotkanie, aby te propozycje przedyskutować. Niestety, odpowiedzi nie było.

Mój rozmówca z Karpacza mówi mi, że to właśnie tam obywatele postanowili działać, bo tam polityka rządu uderza w ich majątki, w ich dorobek. Na niespełna 4,8 tys. mieszkańców jest zarejestrowanych prawie 4 tys. działalności gospodarczych. Na razie to małe, lokalne przebudzenie. Jak jednak mówią Chińczycy, każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Michał Szutowicz „Margot" zaatakował niedawno „Wysokie Obcasy" za docenienie Klementyny Suchanow

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Pękająca jedność rewolucyjna

Tomasz Rowiński

W polskiej lewicy wrze od sporów. Wychodzą one jednak na jaw tylko wówczas, gdy przesilenie daje niektórym szansę na zmianę hierarchii

Środowiska lewicowe, a przeważnie także liberalne, starają się o to, by budować swój wizerunek jako zawsze zjednoczonych i uśmiechniętych, całkowicie oddanych tylko swojej sprawie i szczęściu innych ludzi. Lepszemu światu. Tymczasem konflikty i walki frakcyjne trwają tam nieustannie, często jednak dla dobra „sprawy" są wyciszane lub się o nich nie mówi publicznie ze względów wizerunkowych. Co więcej, im bardziej radykalne grupy, tym budowanie wizerunku, a nawet społecznej mitologii okazuje się dla nich ważniejsze. W politycznym ruchu homoseksualnym napięć między przedstawicielami poszczególnych liter ze znanego skrótowca LGBT+ jest bez liku. A także między różnymi pokoleniami działaczy czy po prostu osób aktywnych publicznie po lewej stronie. Również między LGBT a sprzymierzeńcami, którzy miewają nad tymi pierwszymi polityczną władzę. Jeśli się nieco poszuka w sieci, to można dotrzeć do tych sporów. Czasem przebijają się one do mediów i wtedy możemy zobaczyć okruchy nowego wspaniałego świata, który czeka nas, jeśli rewolucja obyczajowa napierająca na Polskę w obecnej postaci wygra.

Takie ujawnienia dotyczące czy to konkretnego aktu przemocy, czy brutalnych rozgrywek politycznych same nieraz są elementem nieustannej gry przemocą, jaka się po lewej stronie odbywa. Swego czasu można było przeczytać o bezpardonowych starciach w Partii Razem. Doprowadziły one do roztopienia się tego ugrupowania w strefie politycznego wpływu SLD i odejścia wielu ideowo nastawionych ludzi lewicy, którzy w konsekwencji próbowali dezawuować zarząd partii. Przez Wiosnę, efemeryczną partię Roberta Biedronia, przeszły oskarżenia jednej z działaczek o mobbing, choć realnie ugrupowanie to działało może kilka miesięcy. Sąd koleżeński uznał, że były nieprawidłowości, ale nie mobbing. Ustalono jednak, że oskarżona działaczka wulgarnie i agresywnie krytykowała wolontariuszy, którzy w polityce stawiali pierwsze kroki. „Postanowiłem opisać swoją historię z nadzieją, że nikt inny nie doświadczy już takiej przemocy. Przemoc psychiczna boli tak samo" – pisał wtedy o sprawie młody działacz Wiosny. Ta próba buntu z użyciem mocnego uderzenia publicznego nie dziwi, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Wiosna była narzędziem promocyjnym wąskiej grupy przywódczej.

PRZYPADKI OBYCZAJOWE

Kiedy poseł Hanna Gill-Piątek przeszła z Lewicy do Polski 2050, jeden z intelektualnych liderów tego pierwszego ugrupowania, przez pewien czas ideolog Wiosny, Maciej Gdula, na portalu „Krytyki Politycznej" bezpardonowo zaatakował osobę, którą uważał jeszcze chwilę wcześniej za bliskiego współpracownika: „Przechodząc do Hołowni, dołączyłaś do tego, co sama zwalczałaś latami". Tekst Gduli miał liczne

eprasa.pl bbf3cf9c28

znamiona tekstu obliczonego na kompromitację Gill-Piątek.

W 2017 r. doszło na łamach „Codziennika Feministycznego" do publicznego oskarżenia o gwałt dwóch lewicowych dziennikarzy – Jakuba Dymka z „Krytyki Politycznej" i Michała Wybieralskiego z „Gazety Wyborczej". Obaj pożegnali się ze stanowiskami, przeprowadzono na nich medialny lincz, a prokuratura w 2019 r. umorzyła śledztwo. Oskarżenia uznano za bezpodstawne. Do sytuacji przyczyniła się akcja #MeToo mająca być protestem kobiet przeciw kulturze nadużyć seksualnych praktykowanych przez mężczyzn. W wielu przypadkach stała się ogniem podłożonym pod wojnę płci, niezależnie od tego, czy winy były prawdziwe.

Pozostaje pytanie: Skąd się wzięła ta kultura? Czy dzisiejsza lewica, gdy walczy z przemocą i seksualizacją, nie walczy z problemami, które sama wytworzyła kilkadziesiąt lat temu? Czy to nie symboliczny rok 1968, a nie religia i rodziny, jak czytamy w tekście konwencji stambulskiej, jest źródłem przemocy, szczególnie na tle seksualnym? Gdy powiedziano, że wszystko wolno, czy nie było czymś niestosownym odmówić? Nieograniczona swoboda głoszona przez lewicę stała się schronieniem dla nadużyć w ich rozmaitych odmianach.

Świadomie zmierzam ku przypadkom obyczajowym, ponieważ szczególnie sprawa Dymka i Wybieralskiego pokazuje, że przemoc jest po lewicowej stronie metodą stosowaną do osiągnięcia celów ideologicznych, podobnie jak przyjmowanie pozycji ofiary. Umorzenie sprawy dwóch dziennikarzy każe postawić pytanie: Kto stosował w niej przemoc i w jakim celu? Być może była to sytuacja w całości i ze wszystkich stron skonstruowana z zachowań przemocowych, pozbawionych moralnych hamulców.

Od lata 2020 r. tli się podobny konflikt między Klementyną Suchanow a Michałem Szutowiczem znanym jako „Margot", który oskarża działaczkę o przemoc na tle seksualnym i ekonomicznym.

Szutowicz w sierpniu opisał szczegółowo swoje relacje z Suchanow. Dobrym podsumowaniem tego tekstu, jego celu i wymowy mogą być słowa aktywisty, które miał skierować do liderki Strajku Kobiet: „Nie jestem zainteresowana związkami [...], czuję się swobodnie tylko w otwartych relacjach [...], na chwilę obecną, z powodu różnych spraw, identyfikuję się i funkcjonuję jako osoba aseksualna i aromantyczna". W mediach społecznościowych Szutowicz pisał wówczas: „Moje granice są przekraczane raz za razem. Bardzo długo brakło mi odwagi, by zmierzyć się z myślą, że byłam molestowana". Liderka Strajku Kobiet nie zareagowała na te zaczepki i zdawało się, że sprawa przycichła. Trudno było też ocenić, czy opowieść ta jest prawdziwa.

„MARGOT" KONTRATAKUJE

Sprawa wróciła jednak na początku tego roku, gdy „Wysokie Obcasy", feministyczny dodatek do „Gazety Wyborczej", opublikowały swoją listę „50 śmiałych 2020", na której znaleźli się zarówno Suchanow, jak i Michał Szutowicz. „Kobiety, które stoją na czele rewolucji, to Marta Lempart, Klementyna Suchanow i Agnieszka Czeredererecka. To jest wojna, a one są jej generałkami" – napisano w „WO". Szutowicza pochwalono zaś za „zwalczanie homo-, trans- i queerfobii oraz walkę o prawa osób niebinarnych". Jednak „Margot" najwyraźniej nie ucieszył się z tej sytuacji, ponieważ niedługo potem wydał oświadczenie. „Odmawiamy uczestniczenia w liście »50 śmiałych 2020«. Wzywamy redakcję do usunięcia kolektywu »Stop Bzdurom« i Margot z nieśmiesznego żartu, którym jest ten ranking. Na liście znajduje się sprawczyni przemocy o podłożu seksualnym i ekonomicznym na nas – Klementyna Suchanow z Ogólnopolskiego Strajku Kobiet – a także Marta Lempart, aktywnie pracująca na rzecz zamiatania tejże sytuacji pod dywan, czy Kaya Szulczewska znana ostatnio z transfobicznych wypowiedzi w WO" – można było przeczytać w oświadczeniu.

Aleksandra Klich, redaktor naczelna „WO", odmówiła zastosowania się do żądań Szutowicza, wyjaśniając, że lista ta zawiera nazwiska osób, które redakcja ceni ponad podziałami. „Jako »WO« jesteśmy ponad sporami i podziałami, staramy się łączyć, a nie dzielić" – powiedziała w rozmowie z portalem Wirtualnemedia.pl. Mogliśmy zobaczyć, jak medium będące częścią „Gazety Wyborczej" starało się przywrócić jedność wizerunkową koalicji liberalnych mieszczan, feministek i politycznego ruchu homoseksualnego.

Jednak postawa Szutowicza od początku była nieprzejednana. „Umieszczanie nas obok takich osób jak Suchanow i Szulczewska naruszyło nasze dobra osobiste zarówno indywidualnie, jak i jako członkiń kolektywu. Naruszono nasz wizerunek, godność osobistą (dobre imię, renomę, szacunek, jakim cieszymy się w środowisku). Wyróżnienie to może narazić nas na utratę zaufania osób, na rzecz których działamy" – czytamy w innym miejscu oświadczenia Stop Bzdurom. Zatem widać, że „Margot" świadomie wskazuje na inne środowisko niż liberalno-lewicowe media czy działaczki Strajku Kobiet jako swój punkt odniesienia, choć z prawej strony możemy mieć wrażenie, że widzimy wszędzie jeden wspólny front. Nie wydaje się, by ta rozgrywka miała, podobnie jak wcześniej opisane przypadki, dynamikę moralnego oburzenia. Chociaż brak hamulców moralnych i przemocowe traktowanie innych osób mogły stanowić zapalnik.

Jedność po lewej stronie załamuje się przeważnie wtedy, gdy dochodzi do wydarzenia uznawanego za poważny kryzys polityczny lub gdy pojawiają się silne niezgodności w różnych obszarach przekazu rewolucyjnego. Czasem też, gdy dochodzi do przesunięć w hierarchii politycznej. Wtedy niektórzy gracze pozwalają na odbudowę jedności, by ułożyła się na nowo już w innych konstelacjach środowiskowych. Raz się to udaje, a raz nie. Skandale i ujawnianie – prawdziwej lub domniemanej – przemocy, szczególnie na tle seksualnym, to dziś swego rodzaju opcja atomowa w sferze publicznej. Na lewicy jej stosowanie przypomina dawne metody walki rewolucyjnej. Ich zasadą było przede wszystkim „dyskredytowanie w celu usunięcia". Dzisiaj częściej chodzi o kompromitację, wykluczenie lub stygmatyzację.

Te metody działania nie dziwią. W przeważającej mierze etos lewicowej polityki jest ufundowany na nieustannym dysponowaniu przemocą i uznaniem. „Margot" także postanowił wykorzystać opcję atomową, być może po to, by oddzielić się od średniego i starszego pokolenia lewicy i wyjść z roli, jaką mu przypisano. Czy robi to świadomie? Nie wiemy, jakie ma intencje, widzimy jednak, że wpisuje się w schemat akcji rewolucyjnej. Widocznie lewica do takich schematów nieustannie formuje kolejne pokolenia. Ciągle przecież trwa wojna, trwa rewolucja, a Suchanow być może tylko „zaświadczyła", że jej pokolenie już rewolucji nie rozumie i tak naprawdę nie reprezentuje. Front jedności być może zacznie się układać teraz nieco inaczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Agnieszka Niewińska

Wielkie uczucia w kozackiej stanicy

O życiu prywatnym gwiazd nowej telenoweli „Kozacka miłość" piszą już plotkarskie portale, widzowie zakładają fanpage'e. A TVP nie zwalnia i w styczniu zaczęła emisję kolejnej rosyjskiej produkcji

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pojawiła się nowa piękność", „Kim jest Zoryana Marchenko?" – piszą w nagłówkach internetowe portale. „Będzie o niej głośno" – przewiduje „Super Express", a „Express Bydgoski" kusi czytelników: „Zobaczcie zdjęcia pięknej Zoryany Marchenko". I dodaje, że aktorka zachwyca urodą nie tylko na ekranie, lecz także w życiu prywatnym.

Fala tego typu publikacji ruszyła po tym, jak TVP2 rozpoczęła emisję serialu kostiumowego „Kozacka miłość". Życie prywatne odtwórców głównych ról wzbudziło już zainteresowanie plotkarskich portali. W sieci mnożą się też fanpage'e serialu. „Kozacka miłość" to ukraińsko-rosyjska koprodukcja z 2013 r. Współproducentem jest bliski Kremlowi kanał publicznej telewizji Rossija 1. – W Rosji ten serial nie był jakoś szczególnie lubiany, ale za to zrobił furorę poza jej granicami – wskazuje Gabriel Michalik, pisarz, dziennikarz specjalizujący się w tematach rosyjskich. „Kozacką miłość" emitowano m.in. w Gruzji, Pakistanie, Bośni i Hercegowinie.

Akcja serialu toczy się w stanicy kozackiej w czasach carskiej Rosji. Marysia Sotnyk (w tej roli wspomniana Zoryana Marchenko) obdarza uczuciem nieznajomego, który uratował jej życie, zatrzymując znarowionego konia. Jej wybawiciel Stepan Gruszin (w tej roli Wiaczesław Drobinkow) nie jest jednak zainteresowany słynącą w okolicy z nieprzeciętnej urody Marysią, bo serce skradła mu Alona i to z nią planuje ślub. Marysia nie zamierza jednak rezygnować ze Stepana i knuje intrygę. Pozoruje napaść. Sugeruje porywczemu ojcu, że została przez Stepana zgwałcona i jedynym wyjściem z sytuacji jest zmuszenie młodzieńca do ślubu z nią.

Serial emitowany pięć razy w tygodniu szybko zaskarbił sobie sympatię widzów. Jak podało nam Centrum Infor-

eprasa.pl bbf3cf9c28

macji TVP, do tej pory najwięcej widzów zgromadził odcinek „Kozackiej miłości" z 8 grudnia – w grupie 4+ obejrzało go 1,9 mln widzów (dane Nielsen Audience Measurement). Przełożyło się to na 13,7 proc. udziału TVP2 w rynku. „Średnia oglądalność serialu wynosi 1,7 mln widzów, a udziały 12,6 proc. (dane za okres 30 listopada 2020–4 stycznia 2021 r.). Wyniki serialu według danych MOR [dane na zlecenie TVP – przyp. red.] kształtują się na zbliżonym poziomie – średnia widownia w grupie 4+ wynosi 1,8 mln widzów. Serial uzyskuje wyniki powyżej średnich udziałów anteny z 2020 r." – wylicza Centrum Informacji TVP SA.

„Kozacka miłość" o kilka długości pobiła rodzimy serial „Uzdrowisko", który TVP2 emitowała wcześniej w tym paśmie. Średnia widownia premierowych odcinków wyniosła 350 tys. osób.

A telewizja to nie wszystko. Część widzów sięga po serial w Internecie. „Obecnie w TVP VOD serial jest w pierwszej dziesiątce najchętniej oglądanych tytułów" – podaje Centrum Informacji TVP.

– „Kozacka miłość" mnie po prostu wciągnęła. Serial trzyma w napięciu. Główny bohater został rozdzielony z ukochaną, ożenił się pod przymusem i w końcu tę sytuację zaakceptował. Nie wie nawet, że jego pierwsza miłość żyje. I ona nie zna jego losów. Oglądam z nadzieją, że jeszcze się spotkają – opowiada pani Maria Rosińska, która śledzi kolejne odcinki tej produkcji. Dodaje, że przyjemnie ogląda się serial osadzony w historycznej scenerii. – Chociaż trudno w nim zobaczyć różne oblicza Rosji. Akcja toczy się głównie w osadzie kozackiej.

RECEPTA NA SUKCES

„Kozacka miłość" to nie pierwsza wschodnia produkcja, która święci triumfy w polskiej telewizji. Przebojem lata 2019 r. była ukraińska produkcja „Zniewolona". Ten serial kostiumowy to z kolei opowieść o Katierinie Wierbickiej (granej przez Katierinę Kowalczuk), pańszczyźnianej chłopce, którą na panienkę władającą językami, grającą na fortepianie i potrafiącą zachować się na salonach wychowała szlachcianka. Jej mąż jest niechętny Katierinie, traktuje ją jako swoją własność i staje jej szczęściu na drodze. Szaleńczo zakochanemu w Katierinie paniczowi ani myśli oddać ręki swojej poddanej. Proponuje, by dziewczynę od niego odkupił.

„Pękły 3 miliony!!! Rekordowa widownia 27. odcinka »Zniewolonej«. Serial ciągle rośnie. To już zjawisko" – emocjonował się w 2019 r. na Twitterze prezes TVP Jacek Kurski. Wraz z emisją kolejnych odcinków duże zainteresowanie zaczęły wzbudzać gwiazdy „Zniewolonej". Na zaproszenie TVP przyjechały nawet do Polski na prezentację jesiennej ramówki stacji.

Już wtedy medioznawcy i obserwatorzy telewizyjnych trendów przepowiadali, że po fali tureckich produkcji w TVP nastanie epoka seriali ze Wschodu. Nie pomylili się. Po dwóch sezonach „Zniewolonej" widzowie mogli już obejrzeć np. rosyjski melodramat kostiumowy „Cena wolności" (jego oglądalność oscylowała wokół 2 mln widzów) i „Czerwoną królową" – 12-odcinkową opowieść rozgrywającą się w ZSRS w latach 50. „Kozacka miłość" zadebiutowała w TVP2 z końcem listopada i składa się z aż 270 odcinków.

– Duża oglądalność kolejnego serialu wyprodukowanego na Wschodzie zupełnie mnie nie dziwi. „Kozacka miłość" jest chętnie oglądana, bo odwołuje się do najprostszych emocji, a suspens zbudowany jest w oparciu o uniwersalne modele, które są swego rodzaju receptą na sukces. W tym przypadku mamy np. miłość i rozłąkę. Widz śledzi kolejne odcinki, żeby sprawdzić, czy uczucie wygra, czy zakochani będą razem. Jest też femme fatale – kobieta podła, zepsuta, intrygantka – mówi prof. Jacek Dąbała, medioznawca i audytor jakości mediów. Dodaje, że inny uniwersalny zabieg wykorzystano w kolejnej rosyjskiej produkcji serialowej „Królowa piękności", którą od nowego roku nadaje TVP. – Tam mamy zestawienie biedy i bogactwa, piękną dziewczynę ze wsi, która do wielkiego miasta przyjeżdża w walonkach, z wyciętym z gazety zdjęciem wieży Eiffla. Czy odnajdzie się w wielkim świecie? Czy zostanie modelką? Czy znajdzie miłość? Te seriale dodatkowo operują prostym, zrozumiałym językiem. Mogą towarzyszyć nam w codziennych czynnościach, można je oglądać choćby przy obieraniu ziemniaków.

POLITYKA W TLE?

Komercyjnemu sukcesowi „Kozackiej miłości" towarzyszą jednak głosy krytyki. „Po serii ruskich teraz ukraiński serial. Jesteśmy aż tak bogaci, aby wspierać wschodnią filmówkę? Od lat w Polsce nie mamy dobrych seriali. Tak nie zbudujemy wspólnoty, szacunku do historii i symboli narodowych" – napisał o serialu polityk PiS Bartosz Kownacki. W sieci i przed telewizorami toczą się też spory, czy rosyjskie seriale nie przemycają rosyjskiej propagandy. – Mój mąż trochę się denerwuje, że TVP emituje rosyjskie produkcje – mówi pani Maria. – Bo moim zdaniem to musi mieć polityczne podłoże – włącza się do rozmowy mąż, pan Stanisław. – Może chodzi o to, żeby w ten sposób ocieplić polsko-rosyjskie stosunki? – zastanawia się.

Gabriel Michalik, pisarz, dziennikarz specjalizujący się w tematach rosyjskich, ocenia, że podobnie jak w Polsce w Rosji filmy i seriale stają się narzędziem polityki historycznej. – Widzę pewne podobieństwa między historycznymi serialami produkowanymi nad Wisłą a niektórymi propozycjami zza naszej wschodniej granicy. Dostrzegam jednak, że wiele rosyjskich produkcji pełni funkcję propagandową. Propagują mit szczególnej roli Rosji w słowiańszczyźnie, umacniają poczucie tożsamości, tworzą pewną legendę. Doskonale widać to choćby na przykładzie filmu „Taras Bulba" z 2009 r., w którym grali także polscy aktorzy – Magdalena Mielcarz i Daniel Olbrychski. Oglądając te produkcje, trzeba mieć tego świadomość – podkreśla Gabriel Michalik. Zaznacza, że w rosyjskiej popkulturze stworzył się swego rodzaju konglomerat. – W jego skład wchodzi zarówno to, co postsowieckie, jak i wybrane elementy rzeczywistości Rosji przedrewolucyjnej. W popkulturze widać, że w sposób płynny przechodzi się od carskiej Rosji do tego, co postsowieckie. Wstęgą św. Jerzego dekoruje się żołnierzy zarówno sowieckich, jak i rosyjskich – mówi.

Czy w kolejnych ramówkach znajdą się następne produkcje ze Wschodu? TVP nie zdradza. „Telewizja Polska wciąż poszukuje zagranicznych licencji serialowych, które są zgodne z oczekiwaniami widzów i dopasowane do realiów rynku. Serial to najpopularniejszy obok rozrywki i sportu gatunek telewizyjny. Bogata i różnorodna oferta serialowa jest jednym z priorytetów strategii programowej Spółki" – odpowiedziało na nasze pytanie Centrum Informacji TVP.

Profesor Dąbała nie ma wątpliwości: – Jestem przekonany, że prezesowi TVP nic nie przeszkodzi w zakupie kolejnych tasiemców zza wschodniej granicy. Wpisują się one w oczekiwania części widzów tej stacji i mimo wielu serialowych propozycji innych telewizji, ale także serwisów streamingowych, cieszą się dużą popularnością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Jerzy Miziołek

Czas grabieży

Niemcy łupili Polskę przez całą okupację. W Warszawie grabież osiągnęła apogeum między upadkiem powstania a wkroczeniem Sowietów

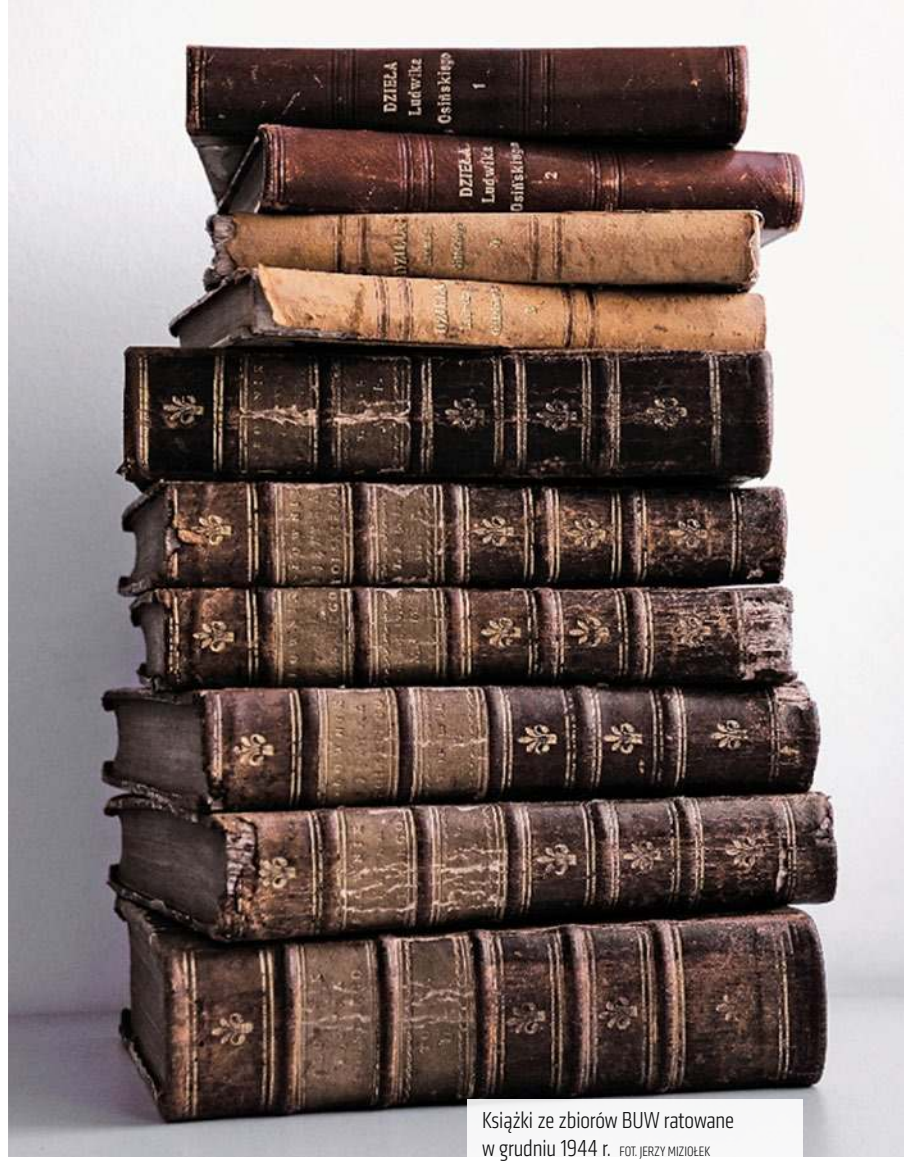

Książki ze zbiorów BUW ratowane w grudniu 1944 r. FOT. JERZY MIZIOŁEK

Rabowali wszystko i w skrzyniach wysyłali do Niemiec" – pisze o losach Warszawy i ratowaniu jej dóbr kultury w grudniu 1944 r. i styczniu 1945 r. Tadeusz Makowiecki. W podobnej, dramatycznej tonacji piszą o tym dwaj inni świadkowie tamtych czasów – Władysław Tatarkiewicz i Bohdan Korzeniewski.

„Wyglądaliśmy – pisze Makowiecki – na coś pośredniego między zbiegowiskiem zbankrutowanych poszukiwaczy złota na Alasce a resztką starej gwardii nad Berezyną. A byli wśród nas uczeni, dyrektorzy największych instytucji kulturalnych, artyści, członkowie akademii krajowych i zagranicznych, notowani w almanachach, autorzy licznych dzieł". To właśnie ta elita intelektualna, działająca pod przewodnictwem profesorów Stanisława Lorentza i Wacława Borowego, była na progu zimy 1944 r. dowożona codziennie z Pruszkowa do Warszawy, by pod nadzorem niemieckich oprawców przygotowywać do wywózki, gdzieś do Niemiec, to co jeszcze przetrwało w Warszawie. Cudem przeżyli powstanie i terror, który po nim nastąpił; teraz świadomi unicestwienia wszystkiego co pozostanie, ryzykując życiem ratowali dzieła sztuki i książki. Zrujnowane, bezludne miasto-widmo zyskało status twierdzy, do której tylko w dzień, w grudniu jakże krótki, można było wjechać pod eskortą. Trwał rzadki, ale niemal codzienny ostrzał sowiecki zza Wisły, a na lewym jej brzegu postępował rabunek, wysadzanie w powietrze kolejnych gmachów i palenie – przez wyspecjalizowane oddziały – skarbów polskiej kultury. Wiele z nich, prawdziwie bezcennych, spalono po upadku powstania w pałacu Krasińskich, pomimo obietnicy wyrażonej na piśmie, że będą zachowane.

Więcej niż połowę zbiorów Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warszawskiego spotkał podobny los. Z relacji Bohdana Korzeniewskiego, współpracownika Lorentza, Borowego i Makowieckiego, wiemy o odnalezieniu w jednym z budynków przy Okólniku ukrytych w nim pudeł z tysiącami rycin. Przy próbie ich otwierania wszystkie obracały się w pył; zostały spalone miotaczami ognia. Zgorzałe tekturowe pudła i ich zawartość na pewien czas zastygły w swej pierwotnej formie, ale niczym widma przepadały na zawsze po nawet najdelikatniejszej próbie ich dotknięcia. Barbarzyńskie zniszczenie lwiej części uniwersyteckiego zbioru, o iście narodowym charakterze, jest stratą ogromną, niepowetowaną i dotąd niezrekompensowaną. Zaledwie 20 lat wcześniej ryciny te, zrabowane po powstaniu listopadowym, wróciły – w wyniku traktatu ryskiego – z Rosji, by doczekać się unicestwienia tylko dlatego, że należały do kultury polskiej.

WYWOŻENIE

W rzeczywistości chodziło nie tylko o to, lecz także o bezwzględną grabież, w skali trudnej do wyobrażenia. Do tego złodziejskiego procederu wynajęto prywatne firmy z obszaru Rzeszy, o czym pisze nasz naoczny świadek – docent Makowiecki: „Ekspedycji było wiele, bo choć aut ratujących mienie kulturalne było cztery, czasem pięć, dziesiątki, a nawet setki innych koncesjonowanych biur niemieckich wywoziły dosłownie wszystko z Warszawy. Jedne

eprasa.pl bbf3cf9c28

wywoziły meble biurowe, inne meble domowe, szły pełne samochody ubrań, kołder, łóżek, ba, wywożono węgiel, druty telefoniczne, arkusze blachy, wykopywano kable spod ulic, rozkręcone rury kanalizacyjne, motory, kafle z pieców".

Była to grabież w pełni kontrolowana, zachłanna i bezwzględna; wszyscy wracający z fortecy – na nocleg do Pruszkowa i Podkowy Leśnej – byli rewidowani przez żandarmów. Makowiecki tak kontynuuje swą narrację: „Rozpinali palta, marynarki, kamizelki, obmacywali spodnie, wywracali kieszenie. Szukali złota, skór, ale zabierali wszystko. Jednemu staremu nauczycielowi, który nam z początku pomagał, zabrali pled, jakim się okrywał na jesionkę, innemu termos, innemu jeden z dwóch swetrów. Ba, kiedyś dr. Herbstowi, choremu na katar spojówek, zabrano z kieszeni 2 chustki od nosa (trzecią zostawili), a mnie wyjęto 3 kolorowe ołówki (do robienia notat na skrzyniach i workach), zostawiając jeden zwykły". Próba zatrzymania spośród tych „łupów" Rzeszy czegokolwiek dla siebie kończyła się natychmiastowym rozstrzelaniem. Dotyczyło to nawet volksdeutschów, zatrudnianych jako kierowców.

Odwołajmy się raz jeszcze do wspomnień Bohdana Korzeniewskiego: „W magazynach Biblioteki huczał, świstał, jęczał wiatr. Cały gmach pozbawiony szyb, zionął przeraźliwym zimnem. […] Został mi w pamięci obraz, który mógłby wejść jako ilustracja do historii literatury polskiej… Wacław Borowy przyklęknął w sieni bibliotecznej i odmrożonymi rękami [...] zaczął rozgrzebywać udeptaną warstwę papierów. Po chwili podniósł się z twarzą rozjaśnioną nikłym uśmiechem [...]. – Niech no pan spojrzy – powiedział – zamęt w Polsce uzupełnia nasze braki i wydobywa z zapomnienia rzeczy cenne. – Podał mi gruby szkolny zeszyt. Brulion zawierał rękopis »Grzechu« Żeromskiego".

Przytoczony fragment wspomnień Korzeniewskiego dotyczy połowy stycznia 1945 r., kiedy to gwałtowna ofensywa długo się ociągającej Armii Czerwonej położyła kres niemieckiej okupacji. Z powodu tej ofensywy znaczna część skrzyń z książkami z Biblioteki UW mających wyjechać do Rzeszy, do których pakowania przymuszono w listopadzie i grudniu 1944 r. naszych profesorów, docentów i artystów, nigdy z Warszawy nie wyjechała. Ale to wymuszone pakowanie dostarczyło okazji, by próbować ocalić dla przyszłych pokoleń podstawowe pomoce naukowe. Akcja ta mogła się zakończyć natychmiastową egzekucją. Pomimo groźby śmierci w dolnej piwnicy Biblioteki ukryto 70 tys. woluminów, a wejście do niej zamurowano, sprowadzając do tego celu murarza z Pruszkowa. Zanim to się stało, tuż przed Bożym Narodzeniem, miało miejsce kilka dodatkowych niemieckich kontroli. „Nagle turkot – pisze w swoich wspomnieniach Makowiecki. – Przed gmach [Biblioteki] zajeżdża bryczka w parę koni, wyskakuje 3 młodych oficerów, z brzękiem i szczękiem wchodzą do hallu. Wychodzę naprzeciw – byle nie dopuścić do piwnic. Są zaskoczeni, że w środku pustego, wymarłego miasta, znajdują cywila i to Polaka. »Pracujecie tu jeszcze?«. »Tak«. »Ten gmach ma być spalony, przyszliśmy obejrzeć«". Zimna krew naszego narratora i jego przebiegłość uratowały mu i jego współpracownikom życie. Odciągnął ich uwagę od piwnicy, a skierował na luksusowo wydane francuskie książki i koniak. Te prezenty i niespodziewany ostrzał zza Wisły rozwiązały problem; oficerowie odjechali.

Zgliszcza dóbr kultury spalonych przez Niemców po upadku powstania warszawskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wróćmy do wspomnień Korzeniewskiego: „Odetchnąłem, mijając pusty bunkier przy bramie Uniwersytetu. Wszystko wyglądało tak samo jak przed paru dniami, kiedyśmy tu byli pod strażą żandarmów. Niemcy nie wysadzili gmachów w powietrze. Nie zdążyli wypełnić rozkazu, który polecał nie zostawić w Warszawie kamienia na kamieniu. Ofensywa zaskoczyła ich tak niespodziewanie, że nie zdążyli nawet rzucić kilku granatów do Audytorium Maximum wypełnionego amunicją". Pomimo że nie wysadzono gmachów w powietrze, nie tylko Audytorium Maximum, lecz także Pałac Kazimierzowski i inne budynki były niemal zupełnie wypalone. Niezwykłe wrażenie robią też zdjęcia ukazujące zdruzgotaną bramę Uniwersytetu ze stojącym obok niej bunkrem. Na szczęście gmach BUW, choć bardzo zdewastowany, nie został spalony miotaczami ognia; 70 tys. ukrytych w piwnicy książek i wiele innych przetrwało pośród morza ruin.

NIEPOWETOWANE STRATY

Profesor Władysław Tatarkiewicz w swym ciągle zbyt słabo znanym tekście „Etyczne podstawy rewindykacji i odszkodowań" pisze: „Niemcy w ciągu 5-ciu lat okupacji niszczyli konsekwentnie i stale kulturę polską naukową tak samo, jak artystyczną, biblioteki i archiwa, szkoły i piśmiennictwo, tak samo jak muzea i pomniki, sprzęty i zbiory prywatne. Częściowo wywozili je do siebie, częściowo niszczyli od razu. Niszczyli zarówno wytwory kultury, jak jej warsztaty, które by mogły ją produkować w przyszłości. […] Niemcy będą oczywiście twierdzić, że wszystkie przywłaszczenia i zniszczenia, jakich dokonali, były zgodne z wydanymi przez nich ustawami. Ale zasada słusznego prawa dyskwalifikuje te ustawy".

Ostatnio jakby zapomniano o zapowiadanym uregulowaniu kwestii grabieży niemieckich w czasie drugiej wojny światowej. Do dziś los tysięcy dzieł sztuki i cennych ksiąg wywiezionych w czasie przeszło pięcioletniej okupacji pozostaje nieznany, wśród nich jest „Portret młodzieńca" Rafaela Santi. Nie doczekaliśmy się też dotąd rekompensaty m.in. za skarby kultury spalone po powstaniu warszawskim w pałacu Krasińskich i podobne zniszczenie bez mała 60 proc. zbiorów Gabinetu Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Mijają kolejne rocznice traktatów w Wersalu i Rydze, które w znacznym stopniu sprawom grabieży dóbr kultury były poświęcone. Dotyczyły również rekompensat w przypadku bezpowrotnej utraty dzieł spowodowanej przez najeźdźcę, zwłaszcza gdy ten najeźdźca nie tylko grabił, lecz także niszczył z premedytacją.

Na koniec wróćmy do wspomnień Makowieckiego. Było późne grudniowe popołudnie, wraz z grupą współpracowników wracał uszczęśliwiony ukryciem tysięcy książek w piwnicy BUW. Po heroicznym wysiłku mógł wreszcie pomyśleć o najbliższych, o rodzinie. „Tam – konkluduje swą opowieść – o 70 kilometrów czekają na mnie niespokojni, nie wiedząc od trzech tygodni nic, co ze mną na tym »półfroncie«. A jutro wigilia Bożego Narodzenia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

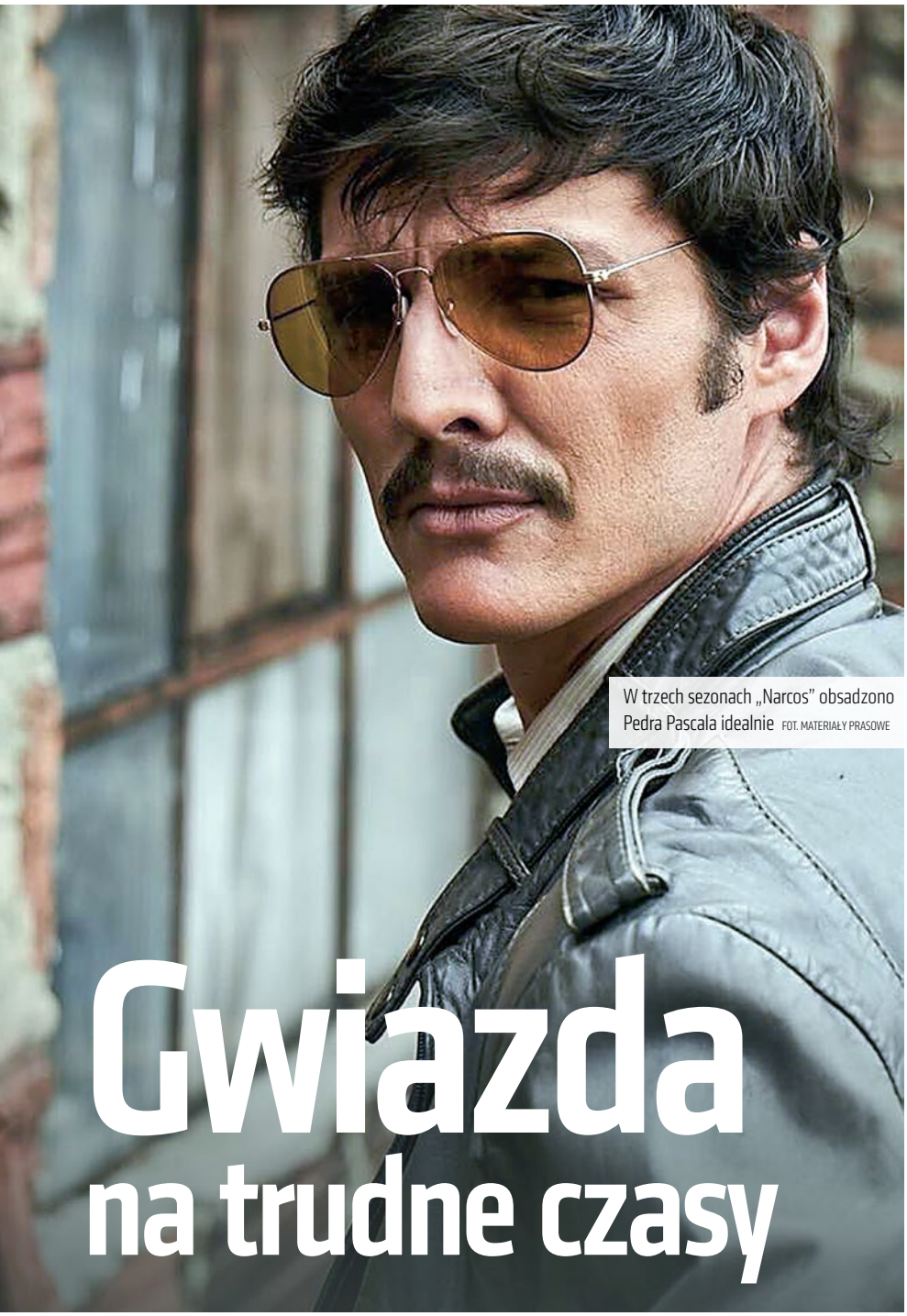

W trzech sezonach „Narcos" obsadzono Pedra Pascala idealnie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gwiazda na trudne czasy

Piotr Gociek

Rok 2020 nie był łatwy dla branży filmowej, ale jeśli ktoś może uważać się za wygranego, to aktor Pedro Pascal

Rodzice uciekli przed Pinochetem z Chile do Danii, skąd szybko przenieśli się do Stanów Zjednoczonych. Mały Pedro wychowywał się w Teksasie, ale większość dorosłego życia spędził w Nowym Jorku. O Chile nie zapomina – często lata w odwiedziny do bardzo licznej rodziny (samych kuzynów ma ponad 30). Jej członkowie nie muszą płacić za bilet lotniczy, żeby zobaczyć sławnego krewniaka: wystarczy, że włączą telewizor albo komputer.

HBO, Netflix albo Disney+ – w każdym z tych serwisów Pedro Pascal jest gwiazdą. W HBO dzięki roli Oberyna Martella, bitnego, kochliwego i tragicznego księcia królestwa Dorne (serial „Gra o tron"). W Netflixie jako agent narkotykowy Javier Peña niestrudzenie tropiący bandziorów z karteli (serial „Narcos"). W serwisie Disney+ kryje się natomiast za maską kosmicznego zabijaki do wynajęcia imieniem Din Djarin i jest głównym bohaterem serialu „Mandalorian", sukcesu, jakiego uniwersum „Gwiezdnych wojen" bardzo potrzebowało po ostatnich nie najlepszych filmach kinowych.

Dziesięć lat temu nikt by w taką karierę nie uwierzył. Pascal (pełne nazwisko José Pedro Balmaceda Pascal) występował głównie w produkcjach telewizyjnych – i głównie gościnnie, jak w popularnych seriach „Dotyk anioła" czy „Buffy: Postrach wampirów". „Nowojorscy gliniarze" czy „Bez śladu" (później także „Nikita" i „Homeland", a także „Graceland" i „Mentalista"). Na listach płac często figurował jako Pedro Balmaceda albo Alexander Pascal. Grał w teatrze, pojawiał się w przedstawieniach Off-Broadway, próbował sił jako reżyser teatralny.

KOSMICZNY WESTERN

Przełomem okazał się występ w „Grze o tron". Serial HBO, na podstawie serii powieści George'a R.R. Martina oglądany przez miliony widzów z całego świata, był trampoliną do sławy dla wielu aktorów. Pedro Pascal swoją szansę wykorzystał chyba najlepiej z nich. Chociaż pojawił się jedynie w siedmiu odcinkach, to jego kreacja mocno zapadała w pamięć: charyzmatyczny, mściwy, nieco lekkomyślny, przystojny zabijaka-arystokrata. Trochę jak postać z awanturniczych powieści Aleksandra Dumasa. Także w trzech sezonach „Narcos" obsadzono go idealnie, była to też rola poważniejsza (Pascal jest jedną z głównych postaci wszystkich odcinków). Potencjał aktora zaczęli dostrzegać producenci filmów kinowych. I nie były to już występy w drugorzędnych horrorach („Bloodsucking Bastards") czy niskobudżetowych komediach („Sweet Little Lies"), ale w drogich widowiskach. „Wielki mur" u boku Matta Damona, „Kingsman: Złoty krąg" między Colinem Firthem a Jeffem Bridgesem, „Bez litości 2" naprzeciw Denzela Washingtona.

eprasa.pl bbf3cf9c28

W sensacyjnym filmie Netflixa „Potrójna granica" Pascal był już równorzędnym partnerem innych gwiazd: Bena Afflecka i Oscara Isaaca. Ale to, co najlepsze, i tak było dopiero przed nim. Jesienią roku 2019 Pascal objawił się jako główny bohater pierwszego serialu live-action z uniwersum „Gwiezdnych wojen", czyli produkcji „Mandalorian". Serial ten stworzony został na zamówienie Disneya przez Jona Favreau, który w minionej dekadzie stał się w Hollywood jednym z gwarantów komercyjnych sukcesów – nakręcił dwa pierwsze filmy z serii „Iron Man", a potem m.in. nowe wersje „Księgi dżungli" i „Króla lwa".

„Mandalorian" był (i jest) perłą w koronie produkcji wyszykowanych przez Disneya na potrzeby własnego serwisu streamingowego Disney+. Okazał się niebywałym sukcesem – zdaniem fanów wskrzesił ducha prawdziwych „Gwiezdnych wojen". Jon Favreau wrócił do tego, co fascynowało George'a Lucasa podczas kręcenia pierwszego filmu, zatem nie tylko fantazji, lecz także westernu i samurajskich opowieści przygodowych (pierwsze „Gwiezdne wojny" były inspirowane m.in. „Ukrytą fortecą" Akiry Kurosawy). Format serialu był nietypowy i nawiązywał do dawnych dokonań telewizyjnej rozrywki, kiedy to normą były półgodzinne odcinki seriali westernowych, a główny bohater za każdym razem przybywał do nowego miasta, poznawał nowych wrogów, nawiązywał nowe przyjaźnie, rozwiązywał problem (głównie dzięki własnym umiejętnościom samotnego strzelca) i ruszał dalej – by powrócić za tydzień w nowej przygodzie.

Ta surowość i staroświeckość, połączone z magią uniwersum wymyślonego przez Lucasa, okazała się dokładnie tym, czego franczyza potrzebowała. Pedro Pascal otrzymał trudną rolę, bo niemal przez cały czas występuje z zakrytą twarzą, w hełmie na głowie, bo tego wymaga kodeks wojowników z planety Mandalor. Wszystko trzeba rozegrać więc sposobem poruszania się i głosem. Tyle że bohater to mruk i nie mówi za wiele. Woli strzelać. Pascal wywiązał się z zadania znakomicie. Jego bohater zaczyna jako zbir do wynajęcia (łowca nagród), ale przechodzi przemianę dzięki innej nowej postaci, na punkcie której oszalał Internet. Mandalorianin (zwany na ekranie Mando) Din Djarin staje się opiekunem małego zielonego stworka ochrzczonego przez fanów mianem Baby Yoda – istoty, która należy do tego samego gatunku co słynny Yoda, mistrz Jedi i nauczyciel Luke'a Skywalkera, tyle że jest jeszcze dzieckiem (choć już obdarzonym mocą).

„Mandalorian" był obok „Wiedźmina" najpopularniejszym serialem roku 2019, mimo że jedna i druga produkcja debiutowały tuż przed jego końcem. Było więc oczywiste, że powstanie ciąg dalszy i tak się stało. Drugi sezon „Mandaloriana" został udostępniony w serwisie Disney+ w tygodniowych odstępach między 30 października a 18 grudnia 2020 r. Przy okazji premiery ostatniego odcinka zapowiedziano także na przyszły rok premierę nowego serialu „The Book of Boba Fett". Będzie też trzeci sezon „Mandaloriana".

FESTIWAL JEDNEGO AKTORA

Za sprawą pandemii koniec roku 2020 okazał się jednak prawdziwym festiwalem Pedra Pascala w różnych wcieleniach. W grudniu w amerykańskim serwisie HBO Max zadebiutowała superprodukcja Patty Jenkins „Wonder Woman 1984". Druga odsłona przygód superbohaterki granej przez Gal Gadot miała być początkowo jedną z gorących premier lata, ale lockdown w kinach i szalejący COVID-19 sprawiły, że szefowie studia Warner Bros. podjęli inną decyzję (Patty Jenkins była zresztą wielką przeciwniczką premiery w Internecie, a nie w kinach). W filmie „WW1984" Pedro Pascal gra jedną z głównych ról – wciela się w Max Lorda, pechowego inwestora marzącego o gigantycznym majątku, co średnio idzie w parze z mocno chybionymi inwestycjami. Dzięki starożytnemu artefaktowi Lord będzie mógł zrealizować swe marzenie – z fatalnymi skutkami dla reszty ludzkości – a Wonder Woman będzie musiała go powstrzymać. Postać Max Lorda wzorowana była – jak wyznał w jednym z wywiadów Pedro Pascal – na Gordonie Gekko, słynnym bohaterze „Wall Street". Gekko i Lord pospołu zakrzyknąć by mogli: „Chciwość jest dobra!". Inna sprawa, że część krytyków i widzów uważa, że Max Lord to raczej kpina z Donalda Trumpa.

Na tym nie koniec. Szykując listę świątecznych niespodzianek dla swych abonentów, Netflix przyspieszył premierę fantastycznej komedii dla dzieci „Będziemy bohaterami" i udostępnił film 25 grudnia, w Boże Narodzenie 2020 r. Reżyserem jest Roberto Rodriguez, który wcześniej spotkał się z Pascalem na planie kilku odcinków „Mandaloriana". „Będziemy bohaterami" to odświeżenie schematu znanego z jego starszych o dwie dekady produkcji z cyklu „Mali agenci". Tam mieliśmy małoletnich szpiegów, mini-Bondów, tutaj dostajemy opowieść o małoletnich superbohaterach, którzy przechodzą przyspieszony kurs dojrzewania w chwili, gdy ich superrodzice zostają pojmani przez kosmicznych agresorów. Tutaj rola Pedra Pascala jest nieduża – gra ojca głównej bohaterki i większość czasu ekranowego spędza (wraz z innymi dorosłymi) w celi obcych. Ale i tak pozostaje w pamięci najbardziej. Film podzielił publiczność i krytyków – oceny widzów były mocno stonowane, amerykańscy recenzenci chwalili „Będziemy bohaterami" za wielce potrzebną w czasach pandemii dawkę kolorowego eskapizmu. Rzeczywiście jest to produkcja bardzo nierówna, ale co do eskapizmu – pełna zgoda.

Ten sam rodzaj ucieczki od rzeczywistości oferuje „Wonder Woman 1984". Akcja rozgrywa się w latach 80., co w scenografii i kostiumach wyzyskane jest maksymalnie. Pedro Pascal mówi zaś dziennikarzom, że jego zdaniem film Jenkins przywraca widzom radość z oglądania czystej kinowej rozrywki, takiej jak w czasach, kiedy on sam był dzieckiem. Kiedy miał cztery lata, rodzice zabrali go do kina na pierwszego „Supermana". Potem zachwycał się hitami złotej dekady kina nowej przygody: „Duchem" czy „E.T.". I marzył, że będzie aktorem. Nie wydawało się to takie odległe, skoro jeden z innych małych mieszkańców San Antonio – Henry Thomas – mógł wystąpić w filmie Spielberga.

NOWY BANDERAS

Rok 2020 nie był łatwy dla branży filmowej, ale jeśli ktoś może uważać się za wygranego w tych trudnych czasach, to z pewnością jest to Pascal. Zapomnijcie o czasach, kiedy Hollywood szukając charyzmatycznego Latynosa, zawsze sięgał po Antonia Banderasa. Teraz jego miejsce zajął Pedro, który jest na najlepszej drodze do zostania gwiazdą kina na wiele sezonów. Ma talent i charyzmę, ma staroświecką „star quality". A kiedy już zarobi swoje w superprodukcjach, pewnie przyjdzie czas i na to, by pokazał talent dramatyczny. Ludzie, którzy widzieli go na deskach teatru, piszą, że dawał tam sobie radę świetnie. Zatem warto czekać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★☆☆

REŻ. JAN BELCL
„WSZYSCY MOI PRZYJACIELE NIE ŻYJĄ"
POLSKA 2020, NETFLIX
wyst. Julia Wieniawa, Kamil Piotrowski, Monika Krzywkowska, Adam Bobik

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Seks, krew, życie

Widziałem to na paru filmach, to się zawsze źle kończy" – mówi jeden z bohaterów „Wszyscy moi przyjaciele nie żyją". O tym, że wszystko źle się skończy, wiemy od początku: w pięknej willi pod śniegiem dwóch policjantów (cynik i żółtodziób) przygląda się kilkunastu trupom. „Coś poszło nie tak" – mówi ten starszy (Adam Woronowicz).

Fabuła tej czarnej komedii to właśnie opowieść o tym, co poszło nie tak: sylwestrowa impreza zamienia się w orgię przemocy (i nie tylko). Niektórzy recenzenci przebąkują coś o kinie w stylu Tarantino albo braci Coen – oj, nie tak szybko, proszę, z samego faktu, że ktoś napisał książkę grubą jak „Potop", nie wynika jeszcze, że ma talent Sienkiewicza. Film Jana Belcla (terminował wcześniej u boku Mitji Okorna przy „Planecie singli") zrobiony jest zręcznie, ale krzywdzą go zarówno ci, którzy pod niebiosa chwalą, jak i ci, którzy bez umiaru ganią (tak, polaryzacja opinii jest skrajna).

Ganić łatwo (padają oskarżenia o nihilizm i brak smaku), bo oto produkcja, w której mamy i parę dialogów o oddawaniu moczu na seksualną partnerkę, i osobistą obecność Jezusa, którego w kluczowych momentach widzi zaplątany w intrygę nieszczęsny francuski mormon. Są seks, krew, narkotyki (czasem podrabiane) oraz mądrości w rodzaju: „Po co komu kobiety, kiedy jest pizza?". Nieprawdziwy jest jednak zarzut, jakoby o nic w tym całym zamieszaniu nie chodziło.

Część widzów od razu odrzuci konwencję tego filmu, czyli szyderczy mroczny popkulturowy pastisz, którego twórcy pożyczają na potęgę od innych. Kto przyjmie proponowane reguły gry, ten odkryje, że mamy w istocie do czynienia z opowieścią o tym, jak mało o sobie wiemy, jak mało szanujemy cudze uczucia i że ciągle powtarzamy te same błędy. Odkrycie noblowskie to nie jest, ale wolę taką podróbkę Hollywood od produkcji Patryka Vegi. Bardzo dobre są scenografia, zdjęcia i montaż, ciekawie wypada parada młodych polskich aktorów, kuleje część dialogów. Największym grzechem jest dla mnie brak odwagi, by gdy Belcl idzie po bandzie, robić to jeszcze mocniej i wygłup zamienić w prawdziwą groteskę, a gdy dotyka prawdziwych emocji – zrobić to częściej i wyraźniej. ©℗

NOWE SERIALE: „POKÓJ 2806"

Francuska miniseria dokumentalna chwalona przez jednych za obiektywizm, a ganiona przez innych za wybielanie głównego bohatera i działanie na szkodę ruchu #MeToo. W obiektywie były szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego Dominique Strauss-Kahn i dzieje sprawy z roku 2011, zakończonej uniewinnieniem Francuza oskarżanego o gwałt. Pożywką dla teorii spiskowych jest oskarżenie Nicolasa Sarkozy'ego o maczanie placów w aferze. Co ważniejsze, nowojorskie oskarżenia nie były jedyne, a Strauss-Kahn ewidentnie jest postacią nieciekawą. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Jalil Lespert „Pokój 2806" („Room 2806"), Francja 2020***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Dominik Moll* ***„Tylko zwierzęta nie błądzą" („Seules les bêtes"),*** *Francja/Niemcy 2019* CANAL+
- *reż. Mike Flanagan* ***„Doktor Sen" („Doctor Sleep"),*** *USA 2019* HBO
- *reż. Clint Eastwood* ***„Richard Jewell",*** *USA 2019* CINEMAN

eprasa.pl bbf3cf9c28

Maszyna z duszą

NINATEKA

Kolekcjonerska mania Toma Hanksa sprawiła, że został właścicielem fiata 126p. Okazuje się, że gwiazdor zbiera również maszyny do pisania, i nie jest w tym osamotniony. Jegomościa z Kanady kręcą modele z końca XIX w. Kalifornijski artysta montuje z kawałków maszyn intrygujące, człekokształtne rzeźby. Muzyczny zespół z Bostonu używa ich jako instrumentów. Konstruktor urządzenia do pisania nie miał głowy do interesów i fortunę na wynalazku zbił ktoś inny. Maszyna, dziecko najbardziej twórczej epoki w dziejach Zachodu, nieodstępna towarzyszka życia pisarzy, dziennikarzy i szczurów biurowych, przyczyniła się do emancypacji kobiet, by na koniec paść ofiarą kolejnej, tym razem cyfrowej, rewolucji. Stała się reliktem przeszłości, nikt już jej nie produkuje. Pracownik tytułowego sklepu w Berkeley mówi o maszynach do pisania z miłością, jaką w Ameryce darzy się tylko stare marki samochodów. Nie łudźmy się, ludzkość już do nich nie wróci. Poza garstką technofobów, którzy wierzą, że najlepiej wyrażasz siebie, używając produktu firmy Remington, Smith-Corona czy Predom (a co z pisaniem ręcznym?), i gardzą plebsem rzucającym się na najnowszy model iPada jak Reksio na szynkę. Dokument Nichola wychodzi poza nostalgię, dając okazję do refleksji o życiu, które stało się zbyt ułatwione. ©℗

Wiesław Chełminiak

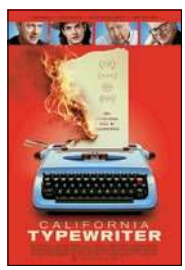

★★★★☆☆

REŻ. DOUG NICHOL
„MASZYNA DO PISANIA" („CALIFORNIA TYPEWRITER")
USA/KANADA/INDIE/FRANCJA 2016

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DZIECI JUDASZA

HBO GO

Pedraza jak Sandomierz. Na pozór urokliwe, pełne zabytków miasteczko, jednak pod powierzchnią wciąż toczy się walka dobra i zła. Miejscowy proboszcz nie przypomina księdza Mateusza Żmigrodzkiego. Pali papierosy, jest byłym egzorcystą, za ołtarzem ma ukryty arsenał, pasjami obija worek treningowy i twierdzi, że Internet to wynalazek szatana. W wolnych chwilach odpiera szturmy ciemnych mocy, w czym pomagają mu burmistrz idealista, skołowany policjant i grzechu warta pani weterynarz. Hiszpanie, naród niegdyś katolicki, najwyraźniej zachowali słabość do jasełkowych spektakli, które zgorszeni duszpasterze wyganiali z kościołów. Pomysł, że zdrada Judasza była częścią Boskiego Planu, nowy nie jest, o konspiracji wewnątrz Kościoła i tajemnicach archiwów Watykanu wiemy więcej, niż chcemy. Twórców serialu poniosła ambicja. Zamiast wyprawiać się do Nowego Jorku, Rzymu i Aleppo, lepiej było zostać w Pedrazie.

★★★☆☆☆

REŻ. ÁLEX DE LA IGLESIA
„30 SREBRNIKÓW" („30 MONEDAS")
HISZPANIA 2020

wyst. Eduard Fernández, Megan Montaner, Miguel Ángel Silvestre

BERLIN JEST ANIOŁEM

DVD VIDEO

Zanim zbudowano mur, nad Sprewą nie działo się nic. Berlin powstał z popiołów jak Feniks, więc ludzie przyjeżdżają tu, by się odrodzić, marzyć i kochać: z Amsterdamu, USA czy krajów muzułmańskich. Nawet dziewczyna z Izraela, której bliscy stracili życie w niemieckich obozach, znajdzie tu drugą połówkę. Dziesięć historii, każda opowiedziana przez innego reżysera w różnych konwencjach: od bajkowej do sensacyjnej. Doceniam wysiłki, aby z brzydkiego miasta uczynić drugi Paryż, w którym zamiast ducha Hitlera krążą widma przedwojennych dandysów. Poziom tej składanki jest jednak nierówny jak chodnik na Ku'damm. Mając do dyspozycji kilka minut, można stworzyć wiarygodnych bohaterów, to kwestia talentu. Gdy go brakuje, autor chowa się za tarczą politycznej poprawności. Bo nie wypada przecież krytykować twórcy chwalącego multi-kulti, #MeeToo i LGBT. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

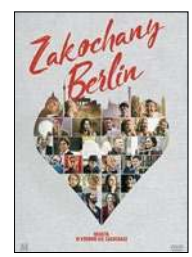

★★★☆☆☆

„ZAKOCHANY BERLIN" („BERLIN, I LOVE YOU")
NIEMCY 2019, MONOLITH FILMS

wyst. Helen Mirren, Mickey Rourke, Rafaëlle Cohen

GRA TYGODNIA: „AIRBORNE KINGDOM" ★★★★☆☆

Jak na debiutancką grę nowego studia, „Airborne Kingdom" – choć eksploruje utarte szlaki strategii ekonomicznych – zaskakuje oryginalnym podejściem do tematu. Zamiast nudnego budowania miasta na stałym gruncie, naszą metropolię wznosimy... w przestworzach. Właśnie tam, na steampunkowych platformach stawiamy budynki, farmy i fabryki. Oprawa graficzna nie wszystkim przypadnie do gustu, ale mi spodobał się ten nieco schematyczny świat przypominający mapę Westeros z „Gry o tron". Gra przypomina mechaniką i klimatem polski hit „Frostpunk" i jego fanom powinna przypaść do gustu. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna/RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *The Wandering Band*
- ***PEGI:*** *4+*

eprasa.pl bbf3cf9c28

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czas Największej Soboty

Nie wiem, ilu księży w Polsce pisze wiersze. Prawdopodobnie około stu kilkudziesięciu zajmuje się poezją częściej niż okazjonalnie. Antologię poetów w sutannach sporządził swego czasu ks. Jan Sochoń, później po jego śladach podążył ks. Stefan Radziszewski. Zbiory prezentowanych tam, i w wielu innych miejscach, utworów, nazywanych niekiedy „konfesyjnymi", nakazują spojrzeć na poetyckie dokonania kapłanów z uznaniem i należnym szacunkiem.

W czasach komuny mieliśmy tak znakomitych poetów jak ks. Jan Twardowski czy ks. Janusz Pasierb. Później też wybitnych twórców żyjących w stanie kapłańskim nie brakowało, a wśród nich z całą pewnością na jednym z pierwszych miejsc wymienić należy ks. Jerzego Szymika, autora ponad 50 książek, w tym blisko 20 zbiorów wierszy, profesora teologii, znawcy myśli, filozofii i nauczania Josepha Ratzingera – Benedykta XVI, także wziętego publicysty znanego m.in. z „Teologii Politycznej" czy „Gościa Niedzielnego".

Ukazał się właśnie, pięknie wydany przez Księgarnię św. Jacka, obszerny tom wierszy księdza profesora – „Ogród". Z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że to mądra i świetnie napisana książka, zachęcam do jej lektury.

„Co znaczy być księdzem", takim pytaniem zatytułował autor jeden ze swoich wierszy, tak odpowiadając:

Chcieć podobać się Jemu.
[...]
Wiedzieć, że dał mi siłę bawołu.
I z tą siłą
szukać tych, przez których
prześwituje Bóg.
Powtarzać za Martą Robin: wolę być opóźniony

FOT. HENRYK PRZONDZIONO/GOŚĆ. NIEDZIELNY/FORUM

Z Kościołem niż nowoczesny
bez Kościoła.
Roztrwonić swoje życie. Hojnie,
bez żalu.

Na wszelki wypadek od siebie uzupełnię, że Marta Robin to zmarła w 1981 r. francuska tercjarka franciszkańska, mistyczka i stygmatyczka, doznająca objawień Matki Boskiej, co jednak jest kwestionowane i dlatego jej proces beatyfikacyjny napotyka przeszkody. Ale dla poety stanowi ona jedynie punkt odniesienia do przedstawienia osobistego światopoglądu i zdania na temat wydarzeń dziejących się tu i teraz. Tak właśnie czyni w wierszu zatytułowanym absolutnie niepoetycko, bo w „Liście Europejczyka do Atheny Farrokhzad w odpowiedzi na jej »List do Europy«". Przypomnieć trzeba w tym miejscu, że ta urodzona w Teheranie, a mieszkająca w Szwecji i ciesząca się tam niebywałym zupełnie uznaniem poetka i tłumaczka swoją epistołę do kontynentu, który ją przygarnął, rozpoczęła w aż za dobrze nam znanym stylu:

Europo [...]
Pierdol się z tym swoim kompleksem
Mesjasza [...].

Dalszy ciąg sobie darujmy, zwłaszcza że całość dzieła napisanego przez odpowiedniczkę naszej Klementyny Suchanow wydrukowała niezawodna „Gazeta Wyborcza". Mnie interesuje odpowiedź ks. Szymika na ten elaborat:

Nasz czas jest Wielką Sobotą, może
Największą Sobotą,
po tamtej, w dziejach. Bóg został
wczoraj zabity, a Ty
i Twoje Siostry/Bracia zostaliście
z pustką i w rozpaczy.
Ale on zstąpił do waszych piekieł,
gdzie pełno świeżo
zakrzepłej krwi po zabitym Bogu.
I w antykrólestwie
waszej śmierci, cywilizacji
wywiedzionej z bluzgu
Nietzschego i skowytu Ginsberga,
rozlega się głos Boga,
słyszysz,
Atheno?
Jesteście wolni. Moglibyście
zrezygnować z „pierdol się"
i „niczego nie żałuję", czyli z buntu
i wściekłości, z jaką
odrzucacie wieczną Miłość. Że nie jest
wam potrzebna?
Mylicie się.
Na początek opatrzy ci zwichnięte
ramię.
A potem pomoże nam wrócić
do Europy Schumana,
nie Macrona. I Europa przestanie być
plamą wstydu.

Naturalnie w „Ogrodzie" ks. Jerzego Szymika znajdziemy również zupełnie inne wiersze, wśród nich pełne miłości strofy poświęcone swoim bliskim, zwłaszcza mamie, której zadedykował całość tomu.

A jeśli chodzi o eseistykę księdza profesora, to najbardziej zapamiętałem tekst z „Teologii Politycznej" o pisarstwie Olgi Tokarczuk, kończący się nawiązaniem do stwierdzenia wcześniejszego polskiego noblisty Czesława Miłosza, który – niezależnie od wszystkich swych „lewoskrętów" – w „Prywatnych obowiązkach" orzekł, że „mieszkaniec Polski, szukając duchowego pokarmu, albo ma katolicyzm, albo nie ma nic". Nic dodać, nic ująć. ©℗

★★★★★★
KS. JERZY SZYMIK
„OGRÓD"
KSIĘGARNIA ŚW. JACKA, KATOWICE 2020

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Proszę słonia

Kłopoty współczesnej Gruzji z powieści Arczila Kikodze okazują się podobne do naszych. Historie o prywaciarzach i narodzinach wolnego rynku, o masowych wyjazdach za chlebem na Zachód, gdy tylko przestała istnieć żelazna kurtyna, wreszcie o poczuciu zapomnienia i lekceważenia przez możnych tego świata. Oczywiście są i klimaty czysto gruzińskie, takie jak opowieści o wendetach dumnych górali, przy których historie mściwych rodów z Korsyki czy Krety okazują się umiarkowanie krwawe.

„Słoń południowy" to niby-historia jednego dnia w Tbilisi – narrator udostępnia swoje mieszkanie przyjacielowi spragnionemu amorów z kochanką, nie ma więc co ze sobą począć i szwenda się po mieście. Wędrówka – dalekie echo peregrynacji narratora arcydzieła „Moskwa–Pietuszki" – staje się okazją do długiego monologu wewnętrznego o wszystkim po trochu. O rodzinie, o kulturze, o historii – a jeśli coś łączy wszystkie te wspomnienia i anegdoty, to chyba przekonanie o tym, jak wiele w życiu robimy na próżno. Symbolem tych rozważań są zresztą archeologiczne poszukiwania prowadzone przez matkę bohatera. Jej kariera pełna była nadziei na przełomowe odkrycie, które nigdy nie nadeszło. A w dziejach narratora (i jego najbliższego kumpla) powracają chwile spędzone u stóp zrekonstruowanego szkieletu tytułowego słonia sprzed wieków – cóż z tego że unikatowy, skoro nic z tego nie wynika. Może czas przyznać się, że całemu wolnemu światu nasza polska, gruzińska, ukraińska i jakakolwiek inna wyjątkowość zdają się jedynie psu na budę?

Gorzkie są to więc rozważania, a momentami także nieco irytująco płaczliwe, gdyż Kikodze proponuje nam „literaturę moralnego niepokoju" na wzór „kina moralnego niepokoju", którego dziś w większości oglądać się nie da. Rozterki inteligentów niemogących odnaleźć się ani w opresyjnym systemie, ani w krainie wolności – kogóż to ciekawi? Może słonia. Ale są i chwile mocno zabawne, jak fragmenty o spotkaniu z polskim filmowcem, który namawia gruzińskiego kolegę po fachu do nakręcenia wielkiego filmu o odwiecznej walce Gruzinów z rosyjskim zaborcą. „Ale myśmy częściej kolaborowali" – wyznaje bohater. Co zostaje? Żal, że sto lat temu nie udało się inaczej ustawić zwrotnicy historii, oraz powrót do tego, co najważniejsze: najbliższych. Ustroje się zmieniają, a bohaterowie opowieści moralnego niepokoju wybierają emigrację wewnętrzną. ©℗

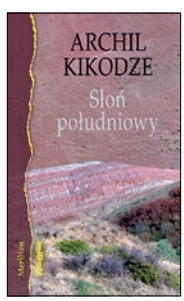

★★★★☆☆

ARCHIL KIKODZE „SŁOŃ POŁUDNIOWY" WYDAWNICTWO POGRANICZE, 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książka o podtytule „Psy, pieski i bestie w baśniach, mitach i wierzeniach" jest zarówno historycznym szkicem na temat relacji człowieka i psa, jak i wyborną antologią „psich" opowieści z różnych kultur i okresów historii.

TOR ÅGE BRINGSVÆRD „HAU" MARGINESY

Kilkadziesiąt opowiadań znakomitego węgierskiego pisarza – od tekstów młodzieńczych do ostatnich. Retrospektywa zaskakuje różnorodnością tematów i stylów – to niemal połowa dorobku Máraia na niwie krótkiej formy.

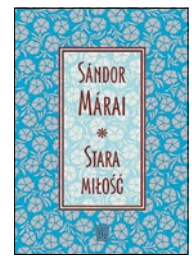

SÁNDOR MÁRAI „STARA MIŁOŚĆ" CZYTELNIK

Zaginione kolekcje, zapomniane dokumenty, niezwykli bohaterowie – zawiłe losy dzieł sztuki i narodowych pamiątek, które autor tropi z pasją zawodowego detektywa i sercem patrioty. Cacko także od strony edytorskiej.

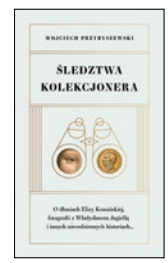

WOJCIECH PRZYBYSZEWSKI „ŚLEDZTWA KOLEKCJONERA" INSTYTUT POLONIKA

Długo wyczekiwane wznowienie (wreszcie w twardej oprawie) klasycznej powieści brytyjskiego noblisty. Wstrząsająca przypowieść o nieuniknionym okrucieństwie świata, w którym przestają istnieć reguły. Arcydzieło. ©℗

poleca Piotr Gociek

WILLIAM GOLDING „WŁADCA MUCH" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „DYMKI Z TINTINA"

Zaskakujące uzupełnienie dziejów polskiego komiksu – zbiór historii rysunkowych Tadeusza Baranowskiego publikowanych w latach 80. na łamach legendarnego belgijskiego magazynu „Tintin". Miał to być początek wielkiej kariery na Zachodzie, wyszło inaczej, bo redaktorzy próbowali zwalczać wyjątkowość twórcy „Antresolki profesorka Nerwosolka", poprowadzić go ku realistycznej kresce i mniej absurdalnym scenariuszom. Ich strata. Z albumu wynika wyraźnie, że najlepszy jest Baranowski tam, gdzie może być sobą. ©℗

poleca Piotr Gociek

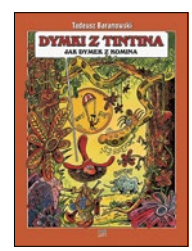

TADEUSZ BARANOWSKI „DYMKI Z TINTINA JAK DYMEK Z KOMINA" KULTURA GNIEWU, 2020

eprasa.pl bbf3cf9c28

Zespół Z Lasu. Od lewej: Joanna Gancarczyk, Ewa Grochowska, Olga Kozieł, Anna Jakowska, Julita Charytoniuk, Maniucha Bikont, Karolina Porucka, Jagna Knittel

FOT. PIOTR BIEGAŃSKI

Z Lasu

Za każdym utworem z tej płyty stoi kobieta. Kobieta, która pieśń tę przekazała. „Głosy kobiet", debiutancki album zespołu Z Lasu, to efekt wieloletnich poszukiwań tradycyjnego repertuaru z Polesia. Zespół pisze o sobie: „Grupa śpiewa tradycyjne pieśni z Polesia, krainy ciągnącej się od Polski aż do Rosji, wzdłuż bagnistych łąk Prypeci – rzeki, która od północy zalewa białoruskie mokradła, od południa zaś odbija w swym nurcie ukraińskie lasy. Od kilkunastu lat członkinie zespołu przemierzają te tereny w poszukiwaniu okruchów dawnego świata – żywego i obfitego źródła, z którego można czerpać współcześnie. Docierają do najstarszych mieszkańców – głównie kobiet".

I dalej: „Polesie, które znamy, to lasy, bagna, jeziora i ukryte między nimi malownicze wsie. Szukamy chutorów – miejsc z dala od głównych dróg, małych wiejskich kolonii, na wpół opustoszałych zakątków. Zachodzimy do chat, pytamy starych ludzi o ich pieśni, o ich historie".

Grupa Z Lasu zawiązała się w 2008 r. z inicjatywy etnologa Jagny Knittel, podczas realizowanych od 2008 r. projektów stowarzyszenia Panorama Kultur („Ukraina archaiczna i współczesna – Pieśni i ludzie", „Spotkania na Polesiu", „Głosy Europy", „Polesie Kolberga – Polesie dziś"). Jak opowiadała w Polskim Radiu Jagna Knittel, zupełnie inaczej wyobrażała sobie zawód etnologa, ale za sprawą Szkoły Letniej fundacji Muzyka Kresów zaczęła poznawać muzykę spod wiejskich strzech i „przepadła". – Żeby nauczyć się śpiewać tak dobrze, trzeba do tych ludzi pojechać. Spojrzeć im w twarz, posłuchać. Ta umiejętność przenosi się przez ciało, wspólne powietrze, wspólną izbę… Dopiero po takim wyjeździe naprawdę wsiąkłam. W wyjazdy terenowe, nagrania… – mówi Jagna Knittel.

Jak dodaje – śpiewaczki, które przekazują tradycję z pokolenia na pokolenie, „są częścią czegoś wielkiego". Z Lasu z płytą „Głosy kobiet" także staje się „tego czegoś" częścią. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Miłość w kosmosie

W 1977 r. NASA wystrzeliła dwie sondy Voyager. Do ich kadłuba zostały przymocowane złote płyty z dźwiękami i obrazami przedstawiającymi życie i kulturę Ziemi. Wśród nagrań jest zapis fal mózgowych Anny Druyan (jest na okładce) w momencie, gdy myślała o ukochanym.

Ta „kosmiczna historia miłosna" przyświecała tworzeniu trzeciego albumu australijskiego duetu – „Zawsze będziemy cię kochać". Robbie Chater and Toni Di Blasi jak zwykle wykonali setki sampli, zaprosili do studia ok. 20 gości i ostatecznie stworzyli 25-częściową, metaforyczną odyseję o radościach i smutkach kosmicznej podróży.

Na albumie „dzieje się" niesamowicie wiele zarówno pod względem treści, jak i muzycznych fuzji. Przykładowo Cola Boyy i Mick Jones w utworze „We Go On" składają, podczas kosmicznej dyskoteki, hołd zmarłej na anoreksję wokalistce Karen Carpenter – ikonie lat 70. Perry Farrell w „Oh The Sunn!", wspierany przez widmowy chór, wykonuje rytuał muzycznego uzdrowienia.

Podsumowując, jest to intrygująca podróż po kosmicznych, tanecznych przestrzeniach, podczas której należy mieć ze sobą ręcznik do ścierania potu z czoła i chusteczki do wycierania łez. Album kończy się ostatnim, miłosnym przesłaniem z Voyagera, który niebawem utraci kontakt z Ziemią. NASA uważa, że „sondy Voyager będą – prawdopodobnie wiecznie – przemierzać Drogę Mleczną". ©℗

★★★★★☆

THE AVALANCHES
„WE WILL ALWAYS LOVE YOU"
ASTRALWERKS

★★★☆☆☆

KAMASI WASHINGTON
„BECOMING"
YOUNG TURKS

Grzeczny familijny dżezik przypasowany do uwznioślającego dokumentu Netflixa o Michelle Obamie. W ciągu 30 minut nie usłyszymy niczego z nowatorskich, uduchowionych płyt Kamasiego. Jego saksofon za to snuje familijne pasaże przystające do wzruszającej opowieści o byłej pierwszej damie.

★★★★☆☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„BRZDĘK!"
GAD

Instrumentalne nagrania bigbitowców z lat 1964–1971 wyszukane przez Michała Owczarka w regionalnych rozgłośniach PR. Nagrania znanych zespołów (Niebiesko-Czarni, Tajfuny, Czerwono-Czarni, Chochoły) mieszają się z utworami amatorów, w tym żeńskiej grupy Nimfy. Idealny podkład pod retrospotkania. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

Trzymam kciuki

Trzy pierwsze odcinki serialu o Agnieszce Osieckiej pozwalają na ostrożny optymizm

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

My swiazany, Agnieszka, dawno odnoj sud'boju" – przekonywał Bułat Okudżawa w jednej ze swoich najpopularniejszych w naszym kraju pieśni, zatytułowanej „Pożegnanie z Polską". Czytałem właśnie biografię rosyjskiego poety, gdy Telewizja Polska rozpoczęła emisję serialu o Agnieszce Osieckiej, tej samej, o której śpiewał Okudżawa.

Czy znajdzie się dla Okudżawy miejsce w 13-odcinkowym serialu wyreżyserowanym przez Roberta Glińskiego i Michała Rosę? Mam nadzieję, że tak, bo był to artysta i człowiek bardzo dla Osieckiej ważny. Na razie jednak, w pierwszych odcinkach, pokazano nam jej szkolne i studenckie lata. Zawirowali nam już przed oczami Hłasko i Cybulski, Abramow i Dąbrowski, Andrzejewski i Bossak. Zobaczyliśmy Agnieszkę trenującą pływanie (ewidentny falstart w wygranym wyścigu z kolegą!), uczestniczącą w próbach STS-u, sypiającą z pierwszymi partnerami. A przede wszystkim piszącą tak wspaniałe piosenki jak „Kochankowie z ulicy Kamiennej".

Przewinęły się również na ekranie telewizora postacie mniej oczywiste. Wiktoria Gorodeckaja na przykład wcieliła się w Józefinę Pellegrini, dla której ojciec Agnieszki opuścił jej matkę. Śpiew wybranki, a potem kolejnej żony Wiktora Osieckiego, wywoływał – jak widzieliśmy i słyszeliśmy w serialu – paroksyzmy śmiechu u przyszłej poetki. Nie było to wcale uczucie powszechne, bo np. Hanka Bielicka utrzymywała, że Pellegrini „miała cudowny głos w stylu włoskim". Bernard Ładysz powiadał jednak: „Józefina Pellegrini – taka Włoszka jak Bardini".

Jej śpiew i aktorstwo zostało z czasem przyćmione przez… wróżbiarstwo. Pisała książki z dziedziny parapsychologii, układała horoskopy do gazet, ale co najważniejsze – stała się najpopularniejszą warszawską wróżką. W serialu ojciec Agnieszki odchodzi z domu i do niego wraca. Do kochanki miał niedaleko, też mieszkała na Saskiej Kępie. W „Dzienniku" Osiecka pisała: „Mama męczyła się piekielnie. W chwilach rozpaczy groziła ojcu, że pójdzie sobie i rzuci to wszystko, ale zrealizowała to tylko raz i na przeciąg [!] kilku godzin. W takich wypadkach ojciec groził jej tym, że wtedy on też pójdzie i ja zostanę sama. To był dobry, trafny szantaż". Rodzice Agnieszki rozwiedli się w 1959 r., ojciec zmarł w roku 1977, matka w 1994. Józefina Pellegrini dożyła 2001 r. Przeżyła Agnieszkę o cztery lata.

Twórcy serialu pokusili się o przedstawienie pół wieku życia autorki „Okularników", „Sztucznego miodu", „Na zakręcie". Trzymam kciuki za powodzenie tego, już w założeniu, może nie karkołomnego, ale trudnego przedsięwzięcia. Trzy pierwsze odcinki pozwalają na ostrożny optymizm. Niezależnie od już rozlewającej się fali błocka spuszczanego z szamba przy ul. Czerskiej, gdzie zawyrokowano, że nie jest to serial dla młodych ludzi (pewnie, nie słychać w nim w co drugim zdaniu słów na „ch", „j" i „p"), a któryś z wytrwałych hejterów tej stajni o bohaterce serialu miał do powiedzenia to tylko, że była osobą nader produktywną i nieśmiałą. Nie śmiała odmawiać.

Przedstawione już odcinki nie wskazują, na szczęście, na to, by realizatorzy filmu koniecznie chcieli nas uszczęśliwić kolejną „ławeczką z Osiecką". To nie była postać pomnikowa. Nawiasem mówiąc, we wspomnianej biografii Okudżawy jej autor Dmitrij Bykow nazywa adresatkę „Pożegnania z Polską" – „najwybitniejszą poetką europejską", wśród jej największych dokonań wymieniając piosenkę… a capella z „Noża w wodzie" Romana Polańskiego. Oczywiście, można wypisywać jeszcze większe bzdury, a „Dzienniki" Osieckiej nazywać – co w Polsce jest już nagminne – jednym z najwybitniejszych osiągnięć rodzimej diarystyki. Można, tylko po co?

Rok przed śmiercią Bułat Okudżawa raz jeszcze zwrócił się do Agnieszki, pisząc na swój sposób nawet optymistycznie:

Agnieszko, bądź pewna, nadejdą przemiany,
Pisałem ci o tym, w piosence sprzed lat,
Wiedziałem, że będą, że ich doczekamy,
Bez przemian nie może rozwinąć się świat.

Być może są blisko, a może ciut dalej,
Lecz prędzej czy później nastanie ich czas,
I będzie się żyło naprawdę wspaniale,
Choć wtedy na świecie nie będzie już nas.

Oboje zmarli w tym samym 1997 r., Agnieszka 7 marca, Bułat 12 czerwca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Andrzej Solecki

Śmiercionośne pułapki

W Skandynawii, północnej Rosji, Kanadzie i na Alasce powstały śmiertelnie niebezpieczne pułapki związane z występowaniem „quick clays". Osuwisko w Ask jest tego efektem

30 grudnia 2020 o godz. 3.51 osuwisko zdewastowało część norweskiej wioski Ask, 20 km na północny wschód od Oslo. Głęboka nisza osuwiskowa o długości 140 m pochłonęła dziewięć budynków, 70 m lokalnej drogi, a upłynniony grunt spłynął 600 m ku południowi przez pola, łąki, tereny zalesione i pola golfowe. Dziesięć osób zostało rannych, w tym jedna poważnie. Do 3 stycznia znaleziono ciała pięciu ofiar i trwały poszukiwania pięciu osób. Ewakuowano 900 osób i prawdopodobnie trzeba będzie ewakuować jeszcze ponad 500.

Premier Erna Solberg nazwała tę katastrofę „prawdopodobnie jednym z największych osuwisk, jakie mieliśmy, z największymi konsekwencjami". Pani premier wykazała się tu brakiem wiedzy na temat historii swojego kraju, gdyż osuwisko w Ask o powierzchni rzędu 0,2 km kw. jest wielokrotnie mniejsze niż osuwisko w Verdal z roku 1893, które objęło ok. 9 km kw. i uśmierciło 116 osób. Podkreślanie unikalności zjawiska jest na rękę tym, którzy chcą zatuszować zaniedbania lokalnych władz. Zagrożenia w tym rejonie znane są od ponad stu lat. W latach 80. XX w. gminy otrzymały wskazówki od ministerstwa samorządu terytorialnego i wojewodów, w jaki sposób należy traktować obszary zagrożone osuwiskami. Ukształtowanie terenu osuwiska w Ask wskazuje, że bardziej nadaje się on na pole golfowe niż pod zabudowę.

Już od pierwszego dnia próbowano zrzucić odpowiedzialność za tę ludzką tragedię na lansowaną od paru lat „katastrofę klimatyczną". Wprawdzie słynna animatorka działań przeciwko „katastrofie klimatycznej", Greta Thunberg, rozpoczęła swoją działalność w roku 2018 poruszona straszliwą suszą, która nawiedziła Szwecję, a osuwisko zostało spowodowane nadmiarem wody opadowej, ale cóż to szkodzi i kto o tym pamięta? Na łamach internetowej „Gazety Wyborczej" można było przeczytać pochodzącą z Facebooka opinię Polaka mieszkającego w Norwegii, Mieszka Czarneckiego: „Nikt nie ma wątpliwości, że takich katastrof będzie więcej. Ocieplenie klimatu i związana z tym katastrofa klimatyczna sprawiają, że południe Norwegii przestaje być śnieżne, a staje się deszczowe". Ponieważ istnieje obawa, że ofiary kampanii medialnej, od lat uprawianej w tego typu mediach, winą za ową katastrofę obarczą działalność człowieka, a w szczególności polski przemysł energetyczny, bazujący na paliwach kopalnych, konieczne jest ukazanie szerszego kontekstu tego zjawiska.

BURZLIWA HISTORIA

Osuwisko w Ask spowodowane zostało przez obecność w podłożu unikalnych iłów, tzw. quick clays, osadzonych w środowisku morskim ok. 10 tys. lat temu. W tym okresie Skandynawia obciążona od ponad miliona lat kilkukilometrową pokrywą lodową pozostawała obniżona na skutek wciśnięcia w plastyczne podłoże skorupy ziemskiej. Proces ten zwany izostazją polega na tym, że skorupa ziemska zachowuje się jak płyty styropianu pływające po wodzie. Obciążone zanurzają się głębiej, odciążone – unoszą się. O ilości nagromadzonego w Skandynawii lodu świadczy fakt, że 430–730 tys. lat temu lądolód ten sięgał aż do południowej Polski, gdzie miał kilkaset metrów grubości. Przywlókł on głazy narzutowe aż pod Jasło i Wałbrzych, a szczyt Ślęży wystawał kilkadziesiąt metrów ze zwartej pokrywy lądolodu. W Skandynawii na chwilowo obniżone tereny wtargnęło morze, do którego, w wyniku globalnego ocieplenia u schyłku epoki lodowcowej, wody topniejących lodowców przynosiły drobne okruchy iłu.

Około 8 tys. lat temu proces zaniku lodowców nabrał tempa w czasie tzw. atlantyckiego optimum klimatycznego. Jak podaje prof. Andrzej Marsz z Akademii Morskiej, podczas tego optimum wody Morza Czukockiego miały temperaturę wyższą od obecnej o 3–7 st. C, a lądolód Grenlandii nie dochodził do morza, topniejąc w całości na lądzie. W okresie tym na jednej z wysp u północno-zachodnich wybrzeży Grenlandii (76°44'N, 73°13'W), powstał pokład torfu osiągający do 6 m miąższości.

eprasa.pl bbf3cf9c28

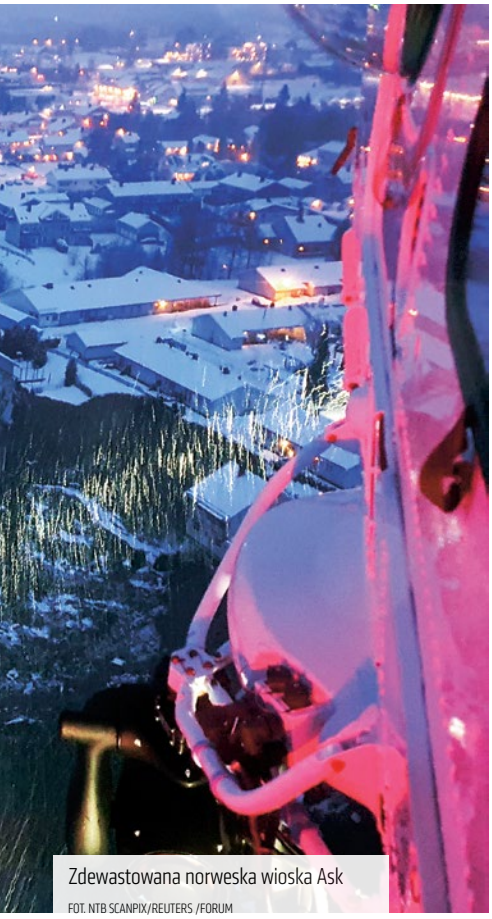

Zdewastowana norweska wioska Ask

FOT. NTB SCANPIX/REUTERS /FORUM

Ta krótka (w skali geologicznej), ale burzliwa historia sprawiła, że w Skandynawii, północnej Rosji, Kanadzie i na Alasce powstały śmiertelnie niebezpieczne pułapki związane z występowaniem „quick clays". W Norwegii zajmują one powierzchnię ok. 40 tys. km kw. Unikalną cechą tych iłów jest obecność wewnątrz warstwowej struktury minerałów ilastych kationów sodu, pochodzących z rozpuszczonej w wodzie soli morskiej. Obecność kationów sodu sprawia, że zawilgocone minerały ilaste pozostają stosunkowo zwarte i nie upłynniają się zbyt łatwo. Mogą w związku z tym zachować się na obszarach wyniesionych po ustąpieniu lądolodu, tworząc stabilne podłoże budowlane o nachyleniu większym niż iły pozbawione tych kationów. Jeżeli kationy te zostaną wyługowane przez wodę deszczową, to proces upłynnienia mieszaniny wodno-ilastej jest znacznie ułatwiony. Związane z tym przemieszczenia cząsteczek iłów powodują lawinowe narastanie upłynnienia na skutek zniszczenia struktury mieszaniny iłu z wodą. Upłynnione grunty ilaste pod ciężarem własnym i postawionych na nich budynków mogą spływać w dół stoku w formie strumieni błotnych.

Warstwy „quick clays" występują w wielu dolinach na polodowcowych terenach półkuli północnej. Dna tych dolin od stuleci były miejscem osadnictwa ze względu na wyrównany teren i stosunkowo dobre gleby. Od stuleci deszcze i wody roztopowe stopniowo ługowały kationy sodu, przygotowując w sensie dosłownym grunt pod katastrofę.

Dlatego też już od XIII w. dochodziło do tego rodzaju katastrof. Na stronie https://www.ngi.no/eng/Services/Technical-expertise/Landslides/Quick-clay-slides-in-Norway wyliczono ich ponad 20.

Znacznie więcej takich osuwisk znanych jest z Ameryki Północnej. W Kanadzie zjawisko to związane jest głównie z plejstoceńskimi iłami Leda, osadzonymi w tzw. Morzu Champlain. Geolodzy odkryli ślady ponad 250 takich zjawisk, część z nich prehistorycznych. W Wikipedii wyliczono wiele takich zjawisk, z których najbardziej tragiczne miało miejsce w roku 1908. Jęzor spływu błotnego dotarł do zamarzniętej rzeki Du Lièvre i spowodował tsunami, które zalało miejscowość Notre-Dame-de-la-Salette, powodując śmierć 33 osób. Po osuwisku w Saint-Jean-Vianney w roku 1971, które uśmierciło 31 osób, podjęto decyzję o przeniesieniu całego miasta. To tragiczne doświadczenie spowodowało, że podjęto decyzję o porzuceniu miasta Lemieux, gdy w podłożu stwierdzono obecność iłów Leda. Słuszność tej decyzji udowodniło osuwisko, które w roku 1993 pochłonęło 17 ha w centrum opuszczonego miasta.

POWRÓT LODOWCÓW?

Analiza opisanych powyżej przypadków pozwala opisać mechanizm osuwisk związanych z „quick clays". Początkowo tworzy się niewielkie osuwisko, którego nisza ma charakterystyczny półokrągły kształt. Może ona rozwijać się wstecz i powodować kolejne osunięcia gruntu. Czynnikami inicjującymi osuwisko mogą być deszcz, wody roztopowe lub nawet stosunkowo niewielkie obciążenie gruntu. Z niszy osuwiska może wypłynąć jęzor upłynnionego iłu. Niekiedy na strumieniu płynącego błota zachowują się bardziej sztywne fragmenty suchego gruntu, niosące na nienaruszonej powierzchni domy, przemieszczające się z prędkością 30–40 km/h.

W przypadku sfilmowanego w roku 1978 osuwiska w Rissa został upłynniony grunt na obszarze ok. 33 ha pól uprawnych, a jęzor osuwiska wpłynął do jeziora Botn, powodując trzymetrowe tsunami, które zdewastowało wioskę Leira. Cały proces trwał kilka godzin. Wstępne osuwisko zostało zainicjowane przez złożenie na brzegu jeziora niewielkiej pryzmy gruntu o objętości ok. 700 m sześc., wydobytego w czasie przygotowywania wykopu pod dobudowywane skrzydło stodoły. Na skutek tego obciążenia 80-metrowy odcinek brzegu zsunął się do jeziora. W ciągu 40 minut nisza osuwiskowa rozwijała się wstecz, tworząc serię małych osuwisk na obszarze ponad 25 tys. mkw. Upłynnione iły z obszaru ok. 150 x 200 m zaczęły osuwać się w kierunku jeziora. Prędkość początkowo wynosiła 10–20 km/h, a ostatecznie osiągnęła prawie 40 km/h. Filmowiec, który rejestrował rozwój wydarzenia, musiał biec, aby ratować życie.

W przypadku najbardziej tragicznego osuwiska w Verdal z roku 1893 kolejno utworzyły się trzy osuwiska, z których trzecie było najbardziej niszczycielskie. W ciągu 30 minut 55 mln m sześc. upłynnionego iłu zalało gminę. Prędkość spływu sięgała 60 km/h. Przyczyną był deszcz. Na powierzchni ok. 9 km kw. powstało rumowisko, które pochłonęło 116 osób.

Nie licząc śladów prehistorycznych osuwisk tego typu, co najmniej osiem znanych jest z norweskich zapisów historycznych w okresie od XIII do połowy XIX stulecia. Głównym powodem ich występowania jest „katastrofalne" globalne ocieplenie, które przerwało epokę lodowcową, a swoje apogeum osiągnęło ok. 8 tys. lat temu. Ta „katastrofa klimatyczna" sprawiła, że rozległe terytoria Eurazji i Ameryki Północnej stały się możliwe do zamieszkania. Gdyby nie ona, Polska być może nadal byłaby pokryta lądolodem od morza do Karpat. Nie wpadajmy jednak w euforię. Zgodnie z modelem opartym na cyklach Milankovicia, uwzględniających wpływ czynników astronomicznych na klimat Ziemi, w ciągu najbliższych 60 tys. lat temperatura powinna się obniżyć o 5 st. C. Jeżeli uda się nam zrealizować cele Międzynarodowej Agendy Klimatycznej i wyeliminować emisję gazów cieplarnianych, to możemy spodziewać się końca „katastrofy klimatycznej" i powrotu lodowców na terytorium naszego kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest geologiem, profesorem, doktorem habilitowanym, kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi Instytutu Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

eprasa.pl bbf3cf9c28

Szaleni zagończycy II Rzeczypospolitej

Jacek Komuda

Wojna polsko-bolszewicka stworzyła typ zuchwałego oficera kawalerii przypominającego XVII-wiecznych zagończyków. Niewielu z nich było w stanie pełnić służbę w czasie pokoju

Przykładem takiego oficera był Feliks Jaworski, urodzony w 1893 r. w Cyganówce na Ukrainie. 7 kwietnia 1917 r. został dowódcą Polskiego Szturmowego Szwadronu Huzarów zorganizowanego ze zwiadowców 1. Dywizji Strzelców, który pierwszy bój stoczył pod wsią Zazdrość, a odznaczył się pod Romanówką i Wybranką. Jednak prawdziwy chrzest czekał Jaworskiego po wybuchu rewolucji bolszewickiej. Ukraina stanęła w ogniu jak za czasów Chmielnickiego. Miejscowi chłopi, bandy dezerterów, Żydzi i komuniści rozpoczęli napady na polskie majątki i dwory, ofiarą ich padł między innymi Roman Sanguszko, ordynat Zasławski i jego stadnina w Sławucie. Wprawdzie 20 listopada w Kijowie Ukraińska Centralna Rada wydała uniwersał proklamujący niepodległą Ukrainę, jednak nie miała żadnej władzy. Podolem i Kijowszczyzną rządziły bandy i watahy, pojawiali się samozwańczy atamani i chłopscy watażkowie.

W obronie Polaków wystąpiły wówczas nasze formacje wojskowe – w tym oddział Jaworskiego, który zwany był Dywizjonem Szwoleżerów. Toczył zaciekłe i okrutne walki ze zrewoltowanymi, „zbolszewiałymi" żołnierzami, rozbijał zgraje chłopskie mordujące ziemian i szlachtę. Pobił też bolszewickie oddziały wojskowe wracające z frontu pod Antoninami i 22 lutego 1918 r. wszedł w skład III Korpusu Polskiego w Rosji. Wkrótce zaczęła tworzyć się legenda dowódcy – nieugiętego zagończyka, spopularyzowanego przez Zofię Kossak-Szczucką w powieści „Pożoga".

Niebawem na Ukrainę wkroczyły wojska niemieckie. Dywizjon pod dowództwem – teraz już – rotmistrza Jaworskiego, przeformowany w Pułk Szwoleżerów Polskich, wycofał się pod Winnicę i tutaj, otoczony przez wroga, złożył broń. Jaworski jednak nie skapitulował! Wraz z 38 szwo-

eprasa.pl bbf3cf9c28

Grupa ułanów mjr. Feliksa Jaworskiego FOT. NAC

leżerami odskoczył do Ludwipola. Jak się okazało, wkrótce znów był potrzebny!

11 listopada 1918 r. zaczyna rozpadać się Cesarstwo Niemieckie, a na Ukrainie wybucha wojna pomiędzy „hetmanem" Skoropadskim i atamanem Petlurą. Nad wsią znów nie panuje nikt, a chłopstwo rzuca się na pańskie dwory. Jaworski gromadzi 42 ludzi i przez Stary Konstantynów, Międzyrzecz, Krzemieniec przebija się do Polski, tocząc po drodze walki z bandami, petlurowcami i bandytami. 18 grudnia dociera do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie nawiązuje styczność z pierwszymi oddziałami polskimi. Walczy dalej – tym razem z oddziałami ukraińskimi. 2 lutego 1919 r. jego oddział zostaje przemianowany na Dywizjon Jazdy Kresowej, a Jaworski awansowany na majora. Później bierze udział w walkach na Polesiu, zdobywając w 1920 r. Czarnobyl, w lipcu formuje Ochotniczą Brygadę Jazdy. Na jej czele bierze udział w kontrofensywie zza Wieprza, stacza walki pod Skrzeszowem i Frankopolem.

Niestety, kiedy kończy się wojna, bohater nie pasuje do nowej rzeczywistości. Cyganówka i jego rodzinne strony zostają po traktacie ryskim poza granicami odrodzonego państwa, a środowisko byłych jaworczyków staje się wrogiem dla ludowców i działaczy PPS, nie cieszy się też względami dawnych legionistów, walczących przecież po przeciwnej, niemieckiej stronie frontu. „Czułem żal i niesmak do tych żołnierzy, którzy z wielkiej idei armii polskiej uczynili parodię, wskrzeszając smutne tradycje prywatnych wojsk »królewiąt« kresowych" – pisał o jaworczykach Tadeusz Hołówko, działacz PPS.

Jaworski służył w kolejnych pułkach ułanów i szwoleżerów. Niestety rozpił się, ponoć sięgał po narkotyki, wplątywał w bójki, wywoływał skandale. W 1923 r. wystąpił z wojska. Wówczas też, być może pod wpływem przeżyć wojennych, zaczęła rozwijać się u niego choroba umysłowa. W jej następstwie doszło do tragedii, kiedy wywołał awanturę w restauracji we Lwowie i wyciągnął broń na kelnera. Gdy interweniowała matka, zastrzelił ją przypadkowo. Nie stanął jednak przed sądem – uznany za psychicznie chorego został umieszczony w zakładzie w Kulparkowie, gdzie przebywał na pewno do 1938 r. Co się stało z nim później – nie wiadomo. Po jaworczykach pozostały tylko „niegrzeczne" żurawiejki 19. Pułku Ułanów, któremu dali początek.

Słynny z mordów i pożarów
Dziewiętnasty pułk batiarów.
Same łotry i wisielce
To są Jaworskiego strzelce.
Wiąże Żydom kamień młyński
Dziewiętnasty pułk wołyński...

PODPUŁKOWNIK DO SPECJALNYCH PORUCZEŃ

Złamany przez wojnę życiorys miał kolejny legendarny kawalerzysta – Jerzy Dąmbrowski, kresowiak. Urodzony w Suwałkach w 1889 r., w czasie pierwszej wojny światowej trafił do – jak podaje jego biograf Tomasz Strzembosz – „konnego oddziału partyzanckiego szczególnego znaczenia". Zwanego też „oddziałem atamana Punina". Kiedy skończyła się wojna, bohater pojawił się w Wilnie i uczestniczył w zakładaniu Samoobrony Wileńskiej, która 31 grudnia stanęła do walki z trzema wrogami równocześnie: z Niemcami, z komunistycznymi bojówkami w mieście i z nacierającą od wschodu Armią Czerwoną. Osaczony oddział, który zwał się już 1. Pułkiem Ułanów Wileńskich, a dowodził nim brat Dąmbrowskiego – Władysław, przedarł się w środku zimy 1919 r. do Brześcia Litewskiego. Po drodze staczał bitwy z bolszewikami i wycofującymi się Niemcami, dołączały do niego inne samoobrony kresowe. Wkrótce brawurowym atakiem zdobył miasto. W późniejszej wojnie z bolszewikami położył wielkie zasługi, dokonując zagonu na Baranowicze, zdobyte 17 marca atakiem w szyku konnym. Dąmbrowskiego zaczęto wówczas zwać „Łupaszką", chociaż nazywano go także „Żorż". Major Stanisław Aleksandrowicz pisał o nim: „Był cały czas z nami. Spał na słomie w zaduchu chłopskich chałup. Tak jak my gryzł czarny chleb […]. Gryzły go wszy i bolały odmrożone uszy i palce. »Łupaszka« zasłużył na swoje żołnierskie przezwisko. Był z nami jednej krwi".

Ciekawe, że „Żorż" chorował na chorobę tarczycy powodującą zwyrodnienie oczu i twarzy. Uwagę zwracał szpetotą, a jednocześnie niezwykłą ogładą. „Uderzała od razu widza twarz Jerzego Dąmbrowskiego. Głowa wydłużona, góra czaszki skrzywiona w bok, wyłupiaste oczy, ale oczy tryskające energią, ciekawością i humorem. Twarz nietuzinkowa, trochę niesamowita, ale nie odpychająca, a raczej zniewalająca widza i rozmówcę. W rok później słyszałem od pań z towarzystwa wileńskiego: On jest piękny w swojej brzydocie" – wspominał Aleksandrowicz.

W styczniu 1920 r. Dąmbrowski został przeniesiony – w wyniku sprawy karnej o rabunki, na które pozwalał podkomendnym. Tomasz Strzembosz cytuje opinię ks. Józefa Obrębskiego: „Płk Dąmbrowski walczył, mając w swoich oddziałach »żulików«, którym po zdobyciu miasteczka pozwalał przez pewien czas »pohulać«. Działając za frontem, kazał żołnierzom malować twarze na czarno, co powodowało popłoch. W zębach mieli noże". Dąmbrowskiemu kazano sformować Pułk Obrony Wilna, a po odwrocie do stolicy 211. Pułk Ułanów Nadwiślańskich, w którym jako zastępca dowódcy walczył z korpusem konnym Gaja Chana na północnym Mazowszu.

Po wojnie nie mógł odnaleźć się w pokojowej służbie, zresztą sam w swojej karcie ewidencyjnej w rubryce „zdolność do służby frontowej" dopisał wymowne

eprasa.pl bbf3cf9c28

słowo: „Tylko". Jak pisze Strzembosz, został „wiecznym rotmistrzem". Opinie o nim nie były najlepsze: „Charakter niespokojny, swarliwy, skłonny do intryg, nic go nie zadowala, stale czuje się pokrzywdzony". Dopiero kiedy pod koniec 1924 r. przeniesiono go do Korpusu Ochrony Pogranicza, skargi się skończyły. Na małym froncie, jakim była granica polsko-sowiecka, „Żorż" sprawdzał się znakomicie. Jednocześnie wywoływał awantury, takie jak w 1926 r., kiedy skazano go na trzy dni aresztu domowego za: „ubliżenie por. rez. Smolko, wymuszenie z groźbą rewolweru wydania dokumentów prywatnych i lekkie uszkodzenie ciała cywila Karczewskiego". 2 stycznia 1928 r. został awansowany na majora, a 1 stycznia 1932 r. mianowano go podpułkownikiem i zastępcą dowódcy 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich. Jednak w 1933 r. niespodziewanie został przeniesiony w stan spoczynku. Jak pisał Józef Bisping: „Był on na kresach postacią legendarną, sławnym zagończykiem […], w okresie międzywojennym nie należał do zwolenników obozu rządzącego, był odsunięty od czynnej służby i pełnił funkcje rejonowego inspektora koni w jakiejś mieścinie na Kresach". Jak wyglądały stosunki Dąmbrowskiego z sanacją, pokazuje incydent z maja 1939 r., kiedy w obozie w Berezie Kartuskiej osadzono sławnego publicystę Stanisława Cata-Mackiewicza, byłego żołnierza „Łupaszki". Wówczas w „Słowie" ukazała się wzmianka, że w 1919 r. oddział Dąmbrowskiego zajął Berezę Kartuską, a jednym z zajmujących był właśnie Mackiewicz. „Ułan Mackiewicz znowu przyjechał do Berezy" – notatkę podpisano „J.D., były dowódca". Publikacja wywołała skandal – gen. Stefan Dąb-Biernacki, inspektor armii, zażądał od redaktora naczelnego podania nazwiska autora, a gdy ten zasłonił się tajemnicą dziennikarską, zagroził, że „Słowo" zostanie zamknięte. Wówczas Dąmbrowski włożył galowy mundur i udał się na spotkanie z Dębem-Biernackim, po czym powiedział: „Melduję, że J.D. były d-ca, to ja, podpułkownik Jerzy Dąmbrowski. Sądzę, że teraz »Słowo« nie zostanie zamknięte". Po czym wydobył rewolwer i strzelił sobie w serce. Na szczęście kula przebiła tylko płuco, ale „Łupaszka" długo leczył się w szpitalu.

We wrześniu 1939 r. Dąmbrowski został dowódcą 110. Rezerwowego Pułku Ułanów. Szedł na pomoc Warszawie, ale osaczony rozwiązał pułk w Janowie pod Kolnem. Skierował się później na północ, próbował do listopada prowadzić walkę z Sowietami w Puszczy Augustowskiej. Chory przeszedł granicę z Litwą i został internowany w Kownie. Później został przejęty przez Sowietów i zamordowany, przy czym istnieje kilka wersji jego śmierci. Miał zginąć w więzieniu w Mińsku na skutek tortur, nieudanej próby samobójczej lub zostać zastrzelony tuż przed wkroczeniem Niemców w 1941 r. Ja jednak wierzę w wersję Ireny Krzywickiej, podaną przez Tomasza Strzembosza, że miał proces w Woroszyłowgradzie, gdzie „jeden z enkawudzistów uderzył w twarz panią Krzywicką. Wtedy pułkownik Dąmbrowski uderzył z całej siły skutymi rękami w twarz i kopnął nogą w jądra tak, że ten zalał się krwią, stracił przytomność i upadł na podłogę". Dąmbrowski miał zostać rozstrzelany razem z innymi polskimi oficerami.

MROCZNA STRONA „HUBALA"

Henryk Dobrzański, znany jako „Hubal", twórca Oddziału Wydzielonego WP, który po klęsce wrześniowej nie złożył broni, należał również do tego straconego pokolenia. Jego młodość i życie ukształtowały wojna. Gdy miał 17 lat, zaciągnął się do Legionów, służył w 2. Pułku Ułanów, później brał udział w walkach z Ukraińcami pod Lwowem, Stawczanami i Basiówką, w marcu 1919 r. został podporucznikiem. Brał udział w bitwie pod Komarowem, a służbę po zakończeniu wojny podjął z doskonałą opinią w 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. W maju 1922 r. awansowano go do stopnia rotmistrza. Później otrzymał jeszcze awans na majora, jak się okazało – ostatni w karierze. Dobrzański bowiem nieźle dawał się we znaki dowódcom. Jak wspominał gen. Juliusz Rómmel: „Henia wszyscy lubili, ale przełożeni woleli go nie mieć w swoich jednostkach". Dobrzański nudził się i wszczynał awantury. Służąc w 18. Pułku Ułanów w Grudziądzu zorganizował ćwiczenia w parku miejskim, gdzie ułani wycięli szablami drzewka posadzone w czynie społecznym. Wywołało to skandal, za który został karnie przeniesiony do Rzeszowa, do 20. pułku. Stamtąd trafił na stanowisko kwatermistrza do 2. Pułku Strzelców Konnych w Hrubieszowie, gdzie z kolei zadarł z dowódcą – płk. Romualdem Niementowskim – tym razem na tle towarzyskim i politycznym. Doszło do tego, że kiedy przełożony skrytykował go, iż jest za mało prowiantu dla żołnierzy, Dobrzański zamówił tyle żywności, że nie można było jej pomieścić w magazynach. Za to został przeniesiony do 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie, gdzie wywołał kolejny skandal – tym razem towarzyski. Rozszedł się bowiem z żoną i związał z mężatką – hr. Natalią Czapską, którą często zabierał na spacery bryczką. Pewnego razu, gdy wrócił, stary mąż nie wpuścił jaśnie pani do domu, przekazując przez lokaja, że „pan major ma sobie panią zabrać".

Skandal sprawił, że Dobrzańskiego przeniesiono na stanowisko dowódcy szwadronu zapasowego 4. pułku, do Wołkowyska. Major zachował się tutaj karygodnie, ponieważ na służbę po prostu się nie stawiał. Stwierdził to jego dowódca, ppłk Ludomir Wysocki, który przyjeżdżając z wizytacją w marcu 1939 r., zastał gabinet dowódcy zamknięty; pełniący służbę wachmistrz powiedział mu, że mjr Dobrzański pojechał z kochanką na polowanie przed tygodniem i nie wiadomo, kiedy wróci. Kiedy po 10 dniach Wysocki przyjechał ponownie, okazało się, że Dobrzańskiego ciągle nie ma. Było to postępowanie naganne, gdyż szwadron zapasowy zajmował się dostarczaniem do macierzystego pułku koni, rzędów i ekwipunku bojowego. Jeśli pół roku później 4. Pułk Ułanów w kampanii wrześniowej miał nieostrzelane konie, zniszczone kulbaki i rzędy, była to wina majora. Dobrzański został zawieszony, a na miesiąc przed wybuchem wojny – zwolniony z wojska, oficjalnie z powodu złego stanu zdrowia. To była mroczna strona przyszłego „Hubala", który okazał się świetnym dowódcą oddziału wydzielonego działającego na tyłach wroga, ale kompletnie nie nadawał się do codziennego drylu w koszarach.

Jak widać, II Rzeczpospolita, podobnie jak wiele innych państw, borykała się w latach 20. i 30. z problemem byłych żołnierzy, których psychikę ukształtowała wojna. Byli to ludzie uzyskujący błyskotliwe awanse w warunkach bojowych, a jednocześnie często pozbawieni wykształcenia, bo walka przerwała ich naukę w gimnazjach i na uniwersytetach. Większość z nich była doskonałymi dowódcami frontowymi, którzy nie mogli odnaleźć się w nudnym drylu koszarowym. W przeciwieństwie do innych krajów próbowano jednak znaleźć jakieś rozwiązania. Jednym z nich była służba w Korpusie Ochrony Pogranicza, który stawał się ostatnim schronieniem szalonych zagończyków przedwojennej Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ksiądz Roman Dzwonkowski (1930–2020)

Zmarł ks. Roman Dzwonkowski. Kiedy otrzymałem tę smutną wiadomość, nie mogłem uwierzyć. Ksiądz profesor miał równo 90 lat, ale ja byłem przekonany, że dożyje co najmniej 120! Tyle w nim było młodzieńczej energii, tyle mocy, projektów i planów na przyszłość. Zdecydowanie odszedł zbyt wcześnie. Miał jeszcze tyle do zrobienia.

Ksiądz Dzwonkowski był najwybitniejszym znawcą martyrologii Kościoła katolickiego w Związku Sowieckim. Księża, zakonnice i wierni, którzy po rewolucji bolszewickiej znaleźli się na terytoriach opanowanych przez bolszewików, padli ofiarą nieludzkich represji.

Zgodnie ze słowami Lenina, że „religia to opium dla mas", Sowieci przystąpili do systematycznego, bezwzględnego niszczenia Kościoła katolickiego. Kapłani byli zamykani w obozach koncentracyjnych na Sołówkach lub rozstrzeliwani w kazamatach GPU. Kościoły burzone lub zamieniane w magazyny zbożowe i muzea ateizmu. Zwykłych katolików terroryzowano, udział we mszach świętych stał się „kontrrewolucyjną zbrodnią".

W 1917 r. na terenie Rosji było kilkaset kościołów, a w 1937 r. na terenie Związku Sowieckiego – dwa. W Leningradzie i Moskwie. Służyły one jednak korpusowi dyplomatycznemu. Obywatel sowiecki, który ośmieliłby się wejść do środka, zostałby natychmiast aresztowany przez czające się pod bramą NKWD. W efekcie życie religijne musiało zejść do katakumb, a potem niemal zamarło.

Ksiądz Dzwonkowski przez wiele lat badał tę tragedię, zbierał materiały i wydawał liczne książki. Między innymi „Kościół katolicki w ZSSR 1917–1939. Zarys historii", „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR. Martyrologium" i „Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939–1988".

Sprawa pełnego wyjaśnienia i opisania gehenny Kościoła i Polaków w ZSSR była życiową misją ks. Dzwonkowskiego. Miałem zaszczyt współpracować z nim w ramach Fundacji Rodacy '37, zajmującej się upamiętnianiem ofiar operacji polskiej NKWD. Wielkie wrażenie robiły jego erudycja i elegancja, przedwojenny sznyt dżentelmena.

Naprawdę trudno uwierzyć, że nie ma go wśród nas. Ksiądz Dzwonkowski był wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Członkiem Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Kawalerem Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski. Odszedł zasłużony Polak. Dobry człowiek. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kłopoty z autorem libretta

Jednym z problemów Stanisława Moniuszki podczas pracy nad pierwszymi operami była osoba librecisty, Włodzimierza Wolskiego. Zdolny pisarz i poeta, był autorem poematu „Halszka" (lub „Halka"), który został tak bardzo okrojony przez cenzurę, że Wolski zrezygnował z jego publikacji. Oryginalna wersja krążyła jednak w odpisach po Warszawie i stała się pierwowzorem libretta opery Moniuszki. Oczywiście poemat został odpowiednio przetworzony przez autora, gdyż dramat muzyczny musiał spełniać określone reguły sceniczne.

W późniejszych latach opowiadano uciesznią historię, w jaki sposób Moniuszko skłonił Wolskiego do przeróbki poematu na libretto. Miał wykorzystać słabość poety do „spirytyzmu, ale alkoholowego", a szczególnie upodobanie do ponczu. Zaprosił go na wieczór, na stole postawił „wazę ponczu, przekąski, cygara i atrament", po czym zamknął na klucz drzwi od zewnątrz, oznajmiając, że wypuści pisarza dopiero, gdy libretto będzie skończone. Sposób okazał się bardzo skuteczny.

Warszawska premiera „Halki" (1 stycznia 1858 r.) była ogromnym sukcesem i panowie powrócili do współpracy przy „Hrabinie". Wolski ponownie sprawiał jednak problemy. Jak przystało na rasowego literata, nie chciał rozpocząć pracy bez otrzymania zaliczki, a Moniuszko – oczywiście – był bez grosza. Wobec tego zwrócił się do Gebethnera i Wolffa mających w planach wydanie drukiem opery o zadatek w wysokości 12 rubli (300 euro). Wolski zainkasował gotówkę i faktycznie zabrał się do pracy, jednak jego terminowość pozostawiała wiele do życzenia. Kompletnie ignorował dawane obietnice i regularnie znikał, nie dostarczając kolejnych partii libretta.

„Nie wiem, gdzie mieszka Wolski – informował Moniuszko wydawców. – Zabrał do przepisania libretto »Hrabiny«, na przyrzeczony tekst długo już czekam, a czasu wielka szkoda. Zmuszony jestem udać się do pośrednictwa Szanownych Panów, byście przy spotkaniu [z nim] dopominać się tekstu raczyli".

Libretto ostatecznie trafiło do cenzury, która naniosła wiele poprawek. Potrzebny był Wolski, który jednak znów gdzieś przepadł. Moniuszko narzekał, że poeta „jak piskorz mu się wywijał" i chociaż „polowali na niego wraz z Gebethnerem", wciąż się „nie zjawiał" i „nie wiedziano, jak sobie poradzić". Poza tym muzyk był już zmęczony ciągłym poszukiwaniem autora libretta „po knajpach", tym bardziej że Wolski preferował lokale o dość podejrzanej reputacji. Wprawdzie opera ostatecznie pojawiła się na scenie, ale była ostatnim wspólnym dziełem Moniuszki i Wolskiego… ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

Efekt szamana

Piotr Semka

Wrogość demokratów i republikanów wspierających Trumpa trwa już od pięciu lat. Nie zaczęło się to 6 stycznia na schodach Kapitolu. Można porównywać to jedynie do konfliktu Północy z Południem w USA w połowie XIX w.

Wydarzenia z 6 stycznia w Waszyngtonie zbulwersowały Amerykę, poruszyły świat i znalazły liczne odniesienia do sytuacji na polskiej scenie politycznej. Jak zwykle w przypadku wydarzeń tak spektakularnych i pobudzających emocje dochodzi do zjawiska kurzawy bitewnej, czyli szumu informacyjnego, dzięki któremu łatwo grać emocjami. Teraz spróbujmy usystematyzować wydarzenia i wyciągnąć z nich parę wniosków.

Wniosek pierwszy – zalety Trumpa okazały się jego problemem.

Amerykański milioner wygrał wybory w 2016 r., bo był człowiekiem, którego długie lata w biznesie nauczyły ekspansywności. Tę umiejętność „parcia na bramkę" wzmacniała swoboda występowania w mediach typowa raczej dla showmana niż tradycyjnego polityka. Wszystko to było połączone ze zdrowym rozsądkiem. Trump trafnie zauważał ubożenie dolnej warstwy klasy średniej, bezradność Ameryki w rywalizacji z Chinami i spadek jej siły militarnej. Przez swój quasi-aktorski talent był trudnym rywalem dla Hillary Clinton w wyborach 2016 r. Styl biznesowego self-made mana był mu jednak równocześnie kulą u nogi.

Uważał, że wszystko i wszystkich można kupić. Lekceważył uświęcone procedury i obyczaje amerykańskiej demokracji, nie liczył się z głosami doradców. Najlepiej czuł się na wiecach, gdzie brylował wśród zakochanych w nim wyborców. Z takim bagażem doświadczeń Trump zderzył się z ilomaś przypadkami bardzo wątpliwych praktyk wyborczych. Czy były uzasadnione? Ocena trafności bardzo różnych skarg w kontekście bardzo odmiennych stanowych ordynacji wyborczych dla obserwatora spoza Ameryki sama w sobie jest trudna. I tym trudniejsza, że media amerykańskiego mainstreamu orzekły a priori, iż skargi te są bezprzedmiotowe. A media w Europie przyjęły to na słowo.

WIECOWA RETORYKA

Druga dyskusyjna kwestia odnosiła się do tego, czy jeśli szwindle były, to czy miały wpływ na wygraną Joe Bidena. Gdyby podobne wątpliwości zgłaszali demokraci, te same media, które lekceważyły protesty trumpowców, grzmiałyby, że na proces wyborczy nie może paść żaden cień podejrzeń o fałszerstwa i warto wszystko wyjaśnić.

Problem w tym, że Trump nie bardzo umiał posługiwać się retoryką obywatelską. Przywykł do retoryki wiecowej i do zapraszania do Waszyngtonu setek tysięcy swoich zwolenników. Nie brał pod uwagę, że w jego pospolitym ruszeniu są dziwacy, miłośnicy konfederatów z wojny secesyjnej i rozmaite białe milicje. Obóz demokratów też ma taki margines – Antifę, radykalnych czarnych, którzy np. po śmierci George'a Floyda sięgnęli po przemoc. Życzliwe Bidenowi media to bagatelizowały.

Gdy zbliżał się 6 stycznia, Trump zamiast zastanowić się, jak rozegrać debatę Senatu, i wyjaśnić, co uważa za krzywdzące go oszustwo, skupił się na tym, co lubi, czyli na wzywaniu do demonstracji. Tak powstał potencjalny punkt zapalny. Trump zapomniał, że każdy incydent będzie wyolbrzymiony.

Dzisiaj nie jesteśmy jeszcze w stanie wyjaśnić, dlaczego ochrona Kapitolu była tak słaba. Nagranie ze starcia czołówki demonstrantów pokazywało, że parlamentu broniło pięciu czy sześciu policjantów. Wielu internautów wskazuje, że wyglądało to jak zachęta do szturmowania Kapi-

eprasa.pl bbf3cf9c28

Parę fotek i następuje zepchnięcie kwestii nieprawidłowości wyborczych na bok. Działa? Działa FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

tolu. Podobnie ślamazarnie próbowano zatrzymać intruzów w samym gmachu, co kontrastowało z nagłym zaostrzeniem obrony i strzelaniem do Ashli Babbitt, jednej z demonstrantek. Niezależnie od tego, czy był to efekt bałaganu czy wyrachowania, najazd niezwykle malowniczych postaci takich jak szaman w stroju bizona czy południowcy z flagami Konfederacji był z punktu widzenia demokratów niezwykle korzystny. Nie byłoby go bez wezwania przez Trumpa do demonstracji w sytuacji, gdy nie było gwarancji zapanowania nad tłumem.

SIŁA OBRAZU

Wniosek drugi – demokraci poprzez szturm na Kapitol zyskali symbol pozwalający na moralną delegitymizację republikanów.

Demokraci po wybuchu kontrowersji wokół wyborów nie mieli wcześniej tak mocnej, symbolicznej karty. Mogli tylko epatować ostrymi tyradami Trumpa o skradzionych wyborach, wykpiwaniem samych twierdzeń o szwindlach i kliszą obecnego prezydenta jako kogoś, kto nie umie przegrać. Nie był to jednak mocny grunt. W USA zgłaszanie obiekcji do wyborów ma ugruntowany status korzystania z praw obywatelskich. Nieprzypadkowo za oceanem wybory są wyznaczone na początek listopada, a zaprzysiężenie nowego lokatora Białego Domu – na koniec stycznia. Wynikało to z przekonania, że obywatele muszą mieć sporo czasu na wyjaśnienie wszystkich wątpliwości wyborczych.

Na korzyść demokratów działało przekonanie wielu polityków i sędziów, że wybory rozstrzygnięto i nie należy sprawy drążyć, bo można wywołać narodowy kryzys. Na podobnej zasadzie prezydent Stanisław Wojciechowski uległ Piłsudskiemu w maju 1926 r. Co paradoksalne, w świetle dzisiejszego oburzenia najazdem na Kapitol niewypowiadaną obawą w tym kontekście była powtórka z zamieszek w stylu ruchu Black Lives Matter. Jednak gdy odmowa zajęcia się protestami wyborczymi przez sądy wywołała zajścia zwolenników Trumpa, nagle uczyniono z tego symbol delegitymizacji zadań zbadania uczciwości wyborów. I część kongresmenów obstawających wcześniej przy konieczności wyjaśnienia zarzutów nierzetelności pod wpływem zdjęć szamana z rogami bizona w fotelu szefa Senatu uległa moralnej panice.

Przykładowo Kelly Loeffler, republikańska senator z Georgii, ogłosiła: „Dziś rano przychodziłam tu z zamiarem zgłoszenia obiekcji co do głosów elektorskich z mojego stanu. Po tym, co wydarzyło się w ciągu dnia, nie mogę tego zrobić”.

Podobną reakcję na obrazki z najazdu na Kapitol skłoniły premiera Holandii do tweeta: „Potworne obrazki z Waszyngtonu. Drogi Donaldzie Trumpie, uznaj jutro Joe Bidena za nowego prezydenta”.

Parę fotek i następuje zepchnięcie kwestii nieprawidłowości wyborczych na bok. Działa? Działa.

„Efekt szamana” – tak nazwijmy to zjawisko – to sytuacja, w której jeden drastyczny incydent zostaje wykorzystany do unieważnienia istotnego sporu demokratycznego. Polacy znają to zjawisko w postaci efektu nocy czerwcowej z 1992 r. Wówczas także podkręcenie emocji do najwyższego poziomu, oskarżenia o próbę zamachu stanu, opowieści o podpalaniu lasów pod Warszawą skłoniły wielu polityków do unieważnienia idei lustracji. Teraz demokraci szermują argumentem wytrychem, że samo wracanie do sprawy nieprawidłowości wyborczych „po tym wszystkim, co się stało” jest po prostu niegodne.

Na korzyść obozu Joe Bidena, który chciał, by jak najszybciej wszyscy przeszli do porządku nad protestami wyborczymi, zagrały też wewnętrzne podziały u republikanów związane z kontestacją osoby Trumpa. George W. Bush, skupiając się na potępieniu zajść na Kapitolu, siłą rzeczy wzmacniał „efekt szamana”. Były prezydent nie wspominał nic o zarzuconych inicjatywach senatorów republikańskich w sprawie wyjaśnienia wątpliwości wyborczych.

eprasa.pl bbf3cf9c28

Wniosek trzeci, czyli kolejne potwierdzenie siły „władzy interpretacji”.

Każde mówienie o krzywdzie, która dotknęła daną zbiorowość, może kogoś skłonić do przemocy. Tyle że w tym przypadku media wspierające demokratów szybko zbudowały tezę, że samo mówienie o nieprawidłowościach było wstępem do przemocy.

Spróbujmy dokonać eksperymentu myślowego. Wyborcy republikanów, przekonani, że wybory nie były czyste, zgłosili swoje wątpliwości do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Ten odmówił zajęcia się tymi wnioskami, nie rozstrzygając o ich zasadności.

Zastanówmy się jednak, co by było, gdyby sędziowie zadecydowali inaczej. Gdyby rozpatrzyli zarzuty, uznali ich trafność i tym samym zakwestionowali wygraną duetu Joe Biden-Kamala Harris?

Czy na ulicach Waszyngtonu nie zgromadziłyby się tłumy? Czy, podobnie jak po śmierci George'a Floyda raptem nieco ponad pół roku temu, nie doszłoby do ostrych zamieszek? Wtedy tłum napierał w kierunku Białego Domu, ale został odepchnięty. Pójdźmy dalej. Załóżmy, że iluś demonstrantów – wyborców demokratów – wdarłoby się na Kapitol. Czy nie przedstawiano by tego jako demonstracji gniewu obywateli, którzy nie godzą się, aby Sąd Najwyższy, ze świeżo mianowaną przez Trumpa sędzią Amy Barrett, ukradł im zwycięstwo?

Ktoś powie, że do ataku na Kapitol trzeba podejść inaczej, bo w zajściach zginęły cztery osoby. Ale przecież w fali zajść po śmierci Floyda zginęło nie mniej niż 17 osób (w tym osoby broniące własnych sklepów przed rabunkiem) i nie wywołało to żadnego specjalnego potępienia demonstrantów przez media. Co więcej, Joe Biden i Kamala Harris zbierali datki na adwokatów i kaucje dla niektórych zatrzymanych. Nikt z komentatorów „New York Timesa” czy „Washington Post” nie ogłaszał wtedy, że od tej chwili dla Bidena nie ma miejsca w obozie amerykańskiej demokracji.

Wtedy nie używano określania „motłoch”, którym nazwał demonstrantów na Kapitolu Bartłomiej Sienkiewicz. Przypominają się też próby szturmu na polski Sejm w trakcie zajść w grudniu 2016 r. Wbrew temu, co twierdzą dziś posłowie PO, nie chodziło wtedy tylko o polityków opozycji na sali sejmowej. Do parlamentu chcieli się wedrzeć aktywiści KOD, a Ryszard Petru, Joanna Schmidt i Joanna Scheuring-Wielgus próbowali jednego z demonstrantów wwieźć w bagażniku.

Doskonale ujął to jeden z internautów, który zdjęcie Katarzyny Kolendy-Zaleskiej z TVN z sali sejmowej z grudnia 2016 r. opatrzył zmyślonym tekstem, jak to zabarykadowana w parlamencie za kordonami policji władza drży przed demonstrantami niegodzącymi się na łamanie zasad demokracji.

Wszystko zależy więc od władzy interpretacji i przewagi medialnej. W USA przewagę medialną ma obóz demokratów.

LATA WROGOŚCI

Wniosek czwarty, czyli „efekt szamana” jako okazja do dalszej cenzury.

Twitter i Facebook zawiesiły konta Donalda Trumpa, gdy ten wzywał demonstrantów do walki. Nie było to wezwanie do przemocy, ale uznano, że skoro wezwanie do walki zakończyło się atakiem na Kapitol, to pośrednio jednak nim było. Powróciła też doktryna głosząca, że już samo twierdzenie prezydenta o przypadkach fałszerstw jest głoszeniem nieprawdy. Jak jednak ocenić prawdziwość zarzutów, gdy sądy nie zdecydowały się na szczegółowe ich rozpatrzenie? „Skoro sądy podjęły takie decyzje, to znaczy, że dowody były nic niewarte” – głoszą przeciwnicy Trumpa. Serio? A może dopiero proces pozwoliłby to ocenić w całej rozciągłości? Czy też jednak wystarczy, że odpowiednio dużo mediów głosi, iż żadnej sprawy nie ma, by sędziowie ulegli powszechnej sugestii lub obawom, aby nie oskarżono ich o mieszanie się w politykę?

Szefowie Twittera zapowiedzieli usuwanie zdjęć i filmów z ataku na Kapitol jako materiałów mogących skłaniać do przemocy. No dobrze, ale tym samym opinia publiczna ma znacznie mniejsze szanse ocenić, co tak naprawdę się stało w trakcie najścia. Wreszcie Mark Zuckerberg oświadczył: „Przedłużamy blokadę, którą nałożyliśmy na konto Donalda Trumpa na Facebooku i Instagramie na co najmniej dwa tygodnie, aż do zakończenia pokojowego przekazania władzy”.

Idźmy dalej. Czy teraz można spodziewać się, że samo pisanie o nieprawidłowościach wyborczych może być uznane za mowę nienawiści i usuwane z Twittera? Cenzura ma swoje konsekwencje i wykrzywia debatę publiczną.

Wniosek piąty – ta wojna nie zaczęła się 6 stycznia.

Kongres zatwierdził wybór Bidena. Trump pod wrażeniem zajść na Kapitolu obiecał w pokojowy sposób przekazać władzę. Wielu publicystów z prawej strony takich jak Steve Levy z „American Conservative” uspokaja nastroje: „Są dowody, że wybory były fałszowane i sądy nas zawiodły. Ale nic dobrego nie przyjdzie z dalszego sprzeciwu”.

Wrogość demokratów i republikanów wspierających Trumpa trwa już od pięciu lat. Nie zaczęło się to 6 stycznia na schodach Kapitolu. Można porównywać to jedynie do konfliktu Północy z Południem w USA w połowie XIX w.

Demokraci nie przypominają dziś partii z końca lat 90. Teraz to hybryda tradycyjnej maszynerii partyjnej z lewicowymi, radykalnymi grupami wpływu, ideologicznymi aktywistami na uczelniach, neomarksistowskimi organizacjami ludności kolorowej takimi jak ruch Black Lives Matter i wreszcie oligarchią medialną od „New York Timesa” do CNN. Republikanie także stają się obozem przeciwstawnych wartości – od zwolenników prawa do posiadania broni przez ruchy ewangelikalne, białe milicje do obrońców życia. Politycy tacy jak Mitt Romney, niezadowoleni z wpływu Trumpa na Grand Old Party, wzywają do powrotu do kształtu partii sprzed epoki wielkiego Donalda.

Tyle że czasy, gdy bogaci oligarchowie rodów finansowych czy prawniczych, dynastie przyzwyczajone do sprawowania władzy, takie jak np. Bushowie, tasowali karty w partii republikańskiej, najwyraźniej się skończyły. Pojawienie się Tea Party, a potem epoka Trumpa pchnęły lud republikański w kierunku partii ludowej, tak jak Clintonowie i Barack Obama pchnęli demokratów ku partii neomarksistowskiej.

Przy dominacji demokratów zarówno w Białym Domu, jak i w Senacie oraz Izbie Reprezentantów radykałowie nie wyzbędą się agendy progresywnych zmian.

Pamięć w ludzie trumpowym, że wybory sfałszowano, nie zniknie. A liberalne media nie porzucą nawyku utożsamiania każdego, kto odrzuca lewicowe utopie, z obozem wrogów demokracji lub „pożytecznych idiotów Chin i Putina”.

Zastrzelona Ashli Babbitt, była pilotka US Air Force, może stać się ikoną ruchu „okradzionych z wyborów”.

Badanie amerykańskiej sondażowni YouGov wskazuje, że 68 proc. wyborców republikanów nie uznało najścia na Kapitol za zagrożenie dla demokracji. Dla kontrastu wśród sondowanych demokratów podobny pogląd podziela tyko tylko 4 proc. respondentów. Ameryka wchodzi w kolejną fazę ostrej polaryzacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

ZMIANA WŁADZY raport DO RZECZY W USA

Jacek Przybylski

Republikanie przegrali w swoim bastionie kluczową bitwę o Senat. Demokraci pierwszy raz od dekady mają więc pełnię władzy ustawodawczej i mogą łatwiej forsować nawet najbardziej radykalne projekty ze swojej lewicowej agendy

Pod Kongresem demonstrowały dziesiątki tysięcy zwolenników Trumpa. Niestety, część z nich przemocą wdarła się do Kapitolu FOT. STEPHANIE KEITH/REUTERS/FORUM

Sądny dzień dla konserwatystów

Cztery ofiary śmiertelne, 14 rannych policjantów, unieszkodliwione dwa ładunki wybuchowe, ewakuowani parlamentarzyści, godzina policyjna na ulicach stolicy. Przez ostatnie dekady podobnej treści komunikaty mogły towarzyszyć przejęciu władzy w krajach afrykańskich lub azjatyckich. Stany Zjednoczone przez dziesięciolecia były wzorem do naśladowania jako państwo, w którym nie ma żadnych problemów z pokojowym przekazywaniem władzy. Oczywiście, gdy Trump wygrał pierwszą kadencję, w Waszyngtonie odbywały się protesty zwolenników Clinton, ale od XIX w. w Kongresie nie rozbijano szyb, nie demolowano gabinetów ani nie atakowano służb porządkowych.

Jak do tego doszło? To konsekwencja z jednej strony trwającej od ponad czterech lat zaciętej wojny ideologicznej i konsekwentnych propagandowych ataków na Donalda Trumpa. Z drugiej zaś nieodpowiedzialnej retoryki prezydenta, który bez żadnych istotnych dowodów wciąż opowiada o „skradzionych wyborach". Niestety, wiele wskazuje na to, że to właśnie słowa samego prezydenta były zapalnikiem środowych wydarzeń.

– Nigdy się nie poddamy i nigdy nie ustąpimy – deklarował 6 stycznia urzędujący jeszcze prezydent, przekonując, że jeśli Mike Pence „postąpi dobrze, to wygramy wybory". Ustępujący przywódca Stanów Zjednoczonych – pokonany w głosowaniu elektorów stosunkiem głosów 232 do 306 – miał na myśli symboliczną funkcję wiceprezydenta, który przewodnicząc posiedzeniu połączonych izb Kongresu, teoretycznie mógł odesłać część głosów oddanych 14 grudnia przez elektorów do władz stanowych.

Kilkadziesiąt minut po zakończeniu wiecu Trumpa tłum zwolenników teorii o „ukradzionych wyborach" siłą wdarł się do Kongresu. Podczas wydarzeń niewidzianych przez Amerykanów od dziesięcioleci kolejne polityczne punkty u umiarkowanych wyborców łatwo zdobył Joe Biden. – Trwa bezprecedensowy atak na demokrację. To musi się skończyć – oświadczył krótko prezydent elekt.

Trump, niestety, nie potępił użycia przemocy. Zamiast tego znów opowiadał o „ukradzionych wyborach" i „sfałszowanych wyborach". – Kochamy was, jesteście wyjątkowi – mówił na opublikowanym w mediach społecznościowych nagraniu, zanim wezwał tłumy zwolenników do rozejścia się w pokoju do domów.

Na Twitterze Trump napisał także, że „Mike Pence nie miał odwagi, by zrobić to, co zrobić trzeba było, aby chronić nasz Kraj i Konstytucję, dając Stanom szansę na certyfikację stwierdzeń prawdziwych, nie niecelnych lub sfałszowanych, o certyfikację których proszono wcześniej. USA żądają prawdy!". Sam wiceprezydent Pence broni się jednak, tłumacząc, że po prostu nie mógł zrobić tego, czego oczekiwał od niego Trump.

eprasa.pl bbf3cf9c28

Chociaż podczas pierwszej kadencji prezydentowi udało się odnieść wiele ogromnych sukcesów w polityce zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej, to pochwalając użycie przemocy, zniweczył swój dorobek. Zamieszki w Waszyngtonie i innych miastach Ameryki osłabiły również polityczny sprzeciw wobec tych fałszerstw, które udało się udowodnić (choć nie miały one wpływu na ostateczny wynik).

Użycie przemocy przez zwolenników Trumpa sprawiło, że połączone izby Kongresu szybciej i łatwiej potwierdziły wygraną Joe Bidena, który ma zostać oficjalnie zaprzysiężony już 20 stycznia. Niektórzy republikanie, deklarujący wcześniej, że formalnie sprzeciwią się zatwierdzaniu wyników wyborów, po akcji zwolenników Trumpa zmienili zdanie i nie podjęli próby zablokowania procesu zatwierdzającego głosowanie Kolegium Elektorów.

Aby nie ryzykować powtórki z 6 stycznia, burmistrz Waszyngtonu Muriel Bowser ogłosiła, że stan wyjątkowy w stolicy będzie obowiązywał do 21 stycznia.

PRZEGRANA W BASTIONIE KONSERWATYSTÓW

W historii amerykańskiej polityki zapiszą się nie tylko starcia w Kongresie, lecz także niespodziewana przegrana republikanów w stanie Georgia. Takiego zainteresowania stosunkowo małym stanem jak w ostatnich tygodniach nie było już dawno. I trudno się dziwić. Od lat, gdy mieszkańcy liczącej zaledwie 11 mln mieszkańców Georgii szli do urn, Partia Republikańska mogła być spokojna o wyniki.

Tym razem było inaczej. Od wyniku senackiej dogrywki w bastionie konserwatystów zależało bowiem to, czy Partia Demokratyczna rozpocznie 2021 r. z niemal kompletnym zestawem politycznych asów w ręku, czy jednak będzie musiała się zadowolić tylko Białym Domem i większością w Izbie Reprezentantów. Stawka była więc niezwykle wysoka. Z Senatem w rękach lewicy Joe Biden – który oficjalnie ma zostać prezydentem już 20 stycznia – będzie bowiem w stanie przeforsować o wiele więcej śmiałych projektów już podczas pierwszych dwóch lat swoich rządów. Kolejne wybory do Kongresu odbędą się bowiem dopiero na jesieni 2023 r.

Wystarczyło, by Partia Republikańska obroniła jedno z dwóch miejsc, o które toczyła się zacięta walka, a już stosunkiem głosów 51 do 49 mogłaby blokować zbyt śmiałe pomysły Bidena w kluczowych dla kraju sprawach.

Ubiegłotygodniowe wybory uzupełniające w napięciu obserwowała więc nie tylko cała Ameryka, lecz także politycy i inwestorzy na całym świecie. Nie chodzi tylko o prawo weta w najważniejszych kwestiach. Amerykańska konstytucja przewiduje dla wyższej izby Kongresu ogromne kompetencje.

Oczywiście, republikańscy kandydaci na senatorów w stanie Georgia oraz ich zwolennicy ostrzegali przed „falą lewicowego radykalizmu", która zaleje Stany Zjednoczone, jeśli Partia Republikańska utraci przewagę w Senacie. „Nie pozwólcie, aby to właśnie od Georgii zaczął się radykalny skręt w lewo amerykańskiego Senatu, ponieważ oni wystawili właśnie takich radykałów. Nie ma czegoś takiego jak umiarkowany demokrata. Ta partia już dawno przestała istnieć. Teraz to partia marksistowsko-socjalistyczna, partia komunistyczna" – przekonywał na jednym z przedwyborczych wieców najstarszy syn urzędującego prezydenta Don Trump Jr., wzywając sympatyków do zażartej walki o zwycięstwo.

Przed wyborami uzupełniającymi ten niewielki stan stał się celem podróży największych tuzów polityki. Odwiedzili go Donald Trump (który głosowanie w Georgii nazwał jedną z najważniejszych dogrywek wyborczych w historii Ameryki), wiceprezydent Mike Pence i prezydent elekt Joe Biden wraz z zastępczynią Kamalą Harris. – Georgio, patrzy na ciebie cały naród. Pierwszy raz podczas całej mojej kariery jeden stan może zdecydować nie tylko o najbliższych czterech latach, lecz także o całym pokoleniu – apelował w Atlancie Biden.

Dzięki takiej mobilizacji elektoratu obu największych partii frekwencja w tych wyborach uzupełniających była rekordowa. Niestety, na finiszu kampanii ogromny skandal wywołał wyciek nagrania rozmowy telefonicznej Donalda Trumpa – który wciąż próbuje przekonywać, że przegrał, ponieważ wybory zostały sfałszowane – z sekretarzem stanu Georgia Bradem Raffenspergerem. Pokonany już po pierwszej kadencji prezydent Trump namawiał Raffenspergera do „znalezienia" głosów, które odmieniłyby wynik wyborów prezydenckich w tym stanie, w którym Joe Biden wygrał przewagą zaledwie 11,7 tys. głosów.

Wojownicza retoryka Trumpa – mimo że jego adwokaci przed sądami ponosili porażkę za porażką, nie potrafiąc pokazać twardych dowodów fałszerstw wyborczych na skalę, która mogłaby zmienić wyniki wyborów – zniechęciła do Partii Republikańskiej bardzo wielu umiarkowanych wyborców. Twardogłowi wyznawcy Trumpa nie poszli do urn, bo niby po co mieli do nich iść, skoro ich ukochany Donald Trump od tygodni konsekwentnie tłumaczył im, że maszyny do liczenia głosów sfałszowały wyniki nawet wyborów prezydenckich – dla stanowych „fałszerzy" manipulacja przy wyborach uzupełniających musiała być więc łatwizną.

To właśnie brak umiejętności strategicznego myślenia oraz przyznania, że Trump dał się pokonać przez doświadczonego, ale niezbyt uzdolnionego polityka, jakim jest Joe Biden, przy ogromnej mobilizacji lewicowego elektoratu sprawiły, że Partia Republikańska nie tylko wchodzi w rok 2021 bez kontroli nad Białym Domem i Izbą Reprezentantów, lecz także niespodziewanie utraciła również Senat. I to utraciła podczas dogrywki w bastionie konserwatystów.

Pierwszy raz w historii Georgia wybrała więc do Senatu czarnoskórego reprezentanta – został nim pastor baptystów Raphael Warnock, pełniący wcześniej posługę w tym samym kościele w Atlancie, w którym nauczał Martin Luther King. Mieszkańcy stanu wybrali też najmłodszego senatora na Kapitolu, zaledwie 33-letniego Jona Ossoffa (wygrał o włos stosunkiem głosów 50,3 do 49,7 proc.).

LEWICOWA LISTA ŻYCZEŃ

Zdobycie dwóch dodatkowych miejsc w Georgii sprawia, że w Senacie teoretycznie jest remis (50:50). Decydujący głos ma jednak wiceprezydent Kamala Harris, a ta z pewnością nie zablokuje nawet najbardziej radykalnych lewicowych pomysłów swojego szefa.

Demokratyczny kongresmen Chris Pappas już ogłosił listę celów Partii Demokratycznej, które mają być osiągnięte dzięki kontroli nad obiema izbami Kongresu.

Na pierwszym miejscu znalazły się czeki o wartości 2 tys. dol., które miałyby być rozsyłane do Amerykanów w ramach kolejnego etapu stymulowania gospodarki (najwyraźniej lewicowcy nigdzie na świecie nie są w stanie zrozumieć, czym kończy się dodruk pustych pieniędzy). Na liście marzeń niemożliwej do poskromienia amerykańskiej lewicy są również działania związane z walką z ociepleniem klimatu, a także oczywiście realizacja postulatów ideologicznych.

eprasa.pl bbf3cf9c28

Wiceprezydent Mike Pence i spiker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi

FOT. ERIN SCOTT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Tradycyjnie podczas rządów Partii Demokratycznej wrócą też zapewne projekty powszechnej opieki zdrowotnej oraz inwestycji infrastrukturalnych.

Partia Demokratyczna mogąca przyjmować śmiałe projekty bez obaw o sprzeciw Senatu może też zgodzić się na wiele projektów niekorzystnych dla dolara czy inwestorów z nowojorskiej Wall Street. Trudniejsze lub wręcz niemożliwe do powstrzymania przez konserwatystów plany zwiększonych wydatków publicznych mogą bowiem oznaczać powiększenie i tak ogromnej dziury budżetowej. A także chęć chociaż minimalnego zmniejszenia jej poprzez podwyższanie podatków dla korporacji oraz bardziej zamożnych Amerykanów.

Ponieważ to senatorzy akceptują lub blokują prezydenckie nominacje na najważniejsze stanowiska w państwie, łatwiej będzie Bidenowi nominować osoby, których powołania nie zaryzykowałby, gdyby Senat pozostał w rękach Partii Republikańskiej.

To senatorzy mają też kluczowe zdanie w kwestii kształtu budżetu.

Postępowanie Trumpa, który nieustannie mówi o fałszerstwach, ale wciąż nie pokazał żadnych solidnych dowodów na uzasadnienie swoich słów, sprawiło, że wielu konserwatywnych komentatorów nie ma wątpliwości: Trump pod koniec kadencji zaczął co rusz strzelać gole do własnej bramki.

„NAJGŁUPSZY ZAMACH STANU"

Po hańbiących dobre imię konserwatystów wydarzeniach na Kapitolu widać wyraźne pęknięcie w Partii Republikańskiej dotyczące stosunku do prezydenta Trumpa i jego niewiarygodnej narracji o „ukradzionych wyborach". Wizerunkowi Partii Republikańskiej jako ugrupowania stojącego na straży prawa i konstytucji zaszkodził też wniosek złożony przez 11 senatorów pod przywództwem Teda Cruza, żądających przełożenia głosowania nad zatwierdzeniem wyniku wyborów prezydenckich i powołania komisji śledczej w sprawie fałszerstw wyborczych. Inicjatywa Cruza i jego sympatyków mogła brzmieć fajnie dla grupy twardogłowych konserwatystów, ale była sprzeczna z amerykańską konstytucją. Nic więc dziwnego, że wniosek niechętnie popierali sami członkowie Partii Republikańskiej. Donald Trump w ostatnich tygodniach wielokrotnie musiał więc o zdradę oskarżać nie tylko prawicową stację telewizyjną Fox News, lecz także swoich bliskich współpracowników. Wkrótce po listopadowych wyborach Trump zwolnił m.in. Chrisa Krebsa, dyrektora Agencji Cyberbezpieczeństwa i Bezpieczeństwa Infrastruktury (CISA), który ośmielił się orzec, że „wybory były bezpieczne".

– Amerykański Senat nie zostanie zastraszony – mówił po odbiciu Kapitolu przez służby bezpieczeństwa lider republikańskiej większości w izbie wyższej Mitch McConnell. – Próbowali zniszczyć naszą demokrację. Nie udało im się. Nie udało im się przeszkodzić Kongresowi – podkreślił jeden z liderów Partii Republikańskiej, który już w połowie grudnia, wbrew skamlącemu Trumpowi, pogratulował Joe Bidenowi wygranej w wyborach. Od swego szefa odwrócił się też wiceprezydent Mike Pence. Do tego, że trzeba pogodzić się ze zwycięstwem Bidena, przekonywał także bliski sojusznik Trumpa, republikański senator Lindsey Graham.

Użycie przemocy przez zwolenników prezydenta skrytykował też jedyny żyjący jeszcze były konserwatywny prezydent George W. Bush. „Tak kwestionuje się wyniki wyborów w republice bananowej" – zauważył, dodając, że brutalny atak na Kapitol powzięli ludzie, których emocje rozbudziły „fałsz oraz złudne nadzieje".

Trudno nie zgodzić się z komentarzem Noah Rothmana, który na łamach „National Review" już kilka tygodni temu nazwał powyborcze działania Trumpa i jego zwolenników „najgłupszym z zamachów stanu", przy którym nawet nieudany komunistyczny pucz Giennadija Janajewa z 1991 r. wydaje się majstersztykiem. Ci bowiem, którzy nadal próbują przekonywać, że Joe Biden wygrał tylko dzięki fałszerstwom wyborczym, tracą wiarygodność, aby bronić przegranej już bitwy o urażony honor jęczącego prezydenta.

Niestety, jeśli Trump nie przestanie zachowywać się jak rozpieszczony celebryta i nie wyciągnie wniosków z ostatnich porażek, nadal marząc jedynie o przejęciu przywództwa nad amerykańską prawicą pod hasłami sfałszowanych wyborów prezydenckich, to trzeba będzie przyzwyczaić się do myśli o kolejnych kadencjach lub nawet dekadach rządzącej Partii Demokratycznej. Trump – jak już w listopadzie zauważył Kevin D. Williamson na łamach konserwatywnego „National Review" – zmierza bowiem do przekształcenia Partii Republikańskiej w mało wpływową sektę przesiąkniętą wiarą w fake newsy i teorie spiskowe: od wierzących w sfałszowany akt urodzenia Baracka Obamy do antyszczepionkowców. Jeżeli Williamson ma rację, to demokraci będą miażdżyć republikanina po republikaninie zarówno w roku 2022, jak i 2024.

Pozostaje mieć nadzieję, że liderzy Grand Old Party nie dopuszczą do takiej degrengolady i odetną się od Donalda Trumpa lub skłonią go do zmiany zachowania. Na razie zwolennicy wolnego rynku, niskich podatków, tradycyjnej rodziny, prawa do życia dzieci nienarodzonych oraz ograniczania publicznych wydatków na pomoc socjalną mają jeszcze jednego asa w rękawie. Jest nim Sąd Najwyższy, w którym zdecydowanie przeważają sędziowie o konserwatywnych przekonaniach. I dzięki tej przewadze mogą długo bronić Ameryki przed najbardziej radykalnymi pomysłami lewicowych polityków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. PANU RISSANEN

Śledztwo ws. Biblii

Z Päivi Räsänen, fińską parlamentarzystką, byłą minister spraw wewnętrznych, oskarżaną o szerzenie „mowy nienawiści”

rozmawia Piotr Włoczyk

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR WŁOCZYK: Co pani grozi?

PÄIVI RÄSÄNEN: Dwa lata więzienia. Wszystkie moje zarzuty dotyczą moich wypowiedzi na temat wiary. Tymczasem ja tylko przypominam, co Pismo Święte mówi o małżeństwie – że to związek kobiety i mężczyzny – oraz o aktach homoseksualnych. Powtarzam: o aktach, o grzechach, a nie ludziach, którzy mają takie skłonności.

Od 1995 r. zasiada pani w fińskim parlamencie, a w latach 2011–2015 jako minister spraw wewnętrznych nadzorowała pani policję. Dzisiaj ma pani wiele okazji, by przekonać się na własnej skórze, jak działa fińska policja.

Niestety. Toczy się przeciw mnie pięć postępowań. Wszystkie są nadzorowane przez policję, ale w sprawie czterech z nich fińska prokurator generalna Raija Toiviainen podejmie decyzję, czy przekaże je do rozpatrzenia przez sąd. Na policji usłyszałam, że tak się zapewne stanie. To kwestia najbliższych dni. Obawiam się, że to, co się ze mną dzieje, będzie miało efekt mrożący dla chrześcijan. Dlatego mówię chrześcijanom w Finlandii: żyjemy w czasach, gdy nie wolno nam się bać. Nie możemy się bać stawać w obronie naszej wiary, bo będzie naprawdę źle.

Początek pani problemów to 2019 r., gdy skrytykowała pani na Twitterze swoją wspólnotę – Ewangelicko-Luterański Kościół Finlandii – za wsparcie parady równości w Helsinkach.

Zapytałam liderów mojego Kościoła, jak to możliwe, że popierają imprezy, które w jawny sposób promują akty uznawane przez Biblię za bardzo grzeszne. Tego typu parady to przecież dumne obnoszenie się z grzesznym sposobem życia. Dołączyłam do tego zdjęcie Biblii z fragmentem pierwszego rozdziału Listu do Rzymian (wersety od 24 do 27). Apostoł Paweł mówi w nim o żądzach i grzesznych aktach homoseksualnych. To ruszyło całą lawinę – rozpoczęła się wielka debata w naszych mediach. Jeden z obywateli doniósł na mnie na policję i zaczęło się dochodzenie. Za pierwszym razem byłam przesłuchiwana cztery godziny. Cztery godziny przesłuchania za przypomnienie, co o tych sprawach mówi Nowy Testament! Ostatnie półtora roku to dla mnie bardzo dziwny czas – wizyty na komisariatach, tłumaczenie się przed policją, dlaczego jako osoba wierząca mam obowiązek przypominać, że chrześcijanie nie mogą przyklaskiwać grzechowi.

Wtedy też zaczęło się składanie zawiadomień w związku z moimi wypowiedziami w radiu i TV sprzed lat. Policja wzięła nawet pod lupę moją książkę o małżeństwie, którą napisałam 16 lat temu!

Czy jest pani w stanie powiedzieć, że żyje pani w wolnym kraju, że jest pani wolna?

Ja cały czas jestem wolna, bo nikt mnie nie zmusi, żebym milczała. Jednak Finlandia nie jest już niestety tak wolnym krajem jak kiedyś… Nigdy nie obrażałam ludzi homoseksualnych, nie groziłam mniejszościom. Zawsze mówię, że wszyscy ludzie mają taką samą wartość, że wszyscy jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, że Jezus umarł za nas wszystkich grzeszników. Ale nie można tych czynów pochwalać! To grzechy. Każdy chrześcijanin musi być tego świadom; małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Każdy akt seksualny między ludźmi poza małżeństwem jest deptaniem woli Boga. Od zawsze podkreślam, że dotyczy to w ten sam sposób ludzi heteroseksualnych. Jednak postępowania dotyczą tylko wypowiedzi na temat homoseksualizmu.

Finlandia, tak jak wiele innych państw UE, ma w swoim porządku prawnym przepisy w szczególny sposób chroniące mniejszości. Nie zdawała pani sobie sprawy z tego, że to może zadziałać przeciw pani?

Nie. Od 1995 r. zasiadam w fińskim parlamencie i sama głosowałam za prawami chroniącymi mniejszości. Nigdy nie myślałam jednak, że zostanie to użyte przeciw mnie. Gdy w 2010 r. głosowaliśmy nad takim prawem, wiedzieliśmy, że chodzi również o zabezpieczenie mniejszości seksualnych. Miałam jednak przed oczyma prawdziwe zagrożenia: prześladowanie, przemoc, zarówno werbalną, jak i fizyczną. I dlatego to prawo zostało przyjęte jednomyślnie. Nigdy bym nie pomyślała, że moja książeczka o małżeństwie może być uznana za podżeganie do nienawiści…

Kto mógł wtedy podejrzewać, że zwykłe powtarzanie tego, co jest napisane w Nowym Testamencie, będzie uważane za sprzeczne z prawem? Nasza obecna prokurator generalna bardzo walczy z „mową nienawiści". Publicznie mówiła, że nienawidzi „mowy nienawiści". Ja jestem niestety przykładem, do czego prowadzi takie podejście. Nie przestanę jednak walczyć o swoje prawa i apeluję do wszystkich chrześcijan, by nie dali się zakneblować.

Na pewno zdaje pani sobie sprawę z tego, że nie każdy wierzący chce skończyć na komisariacie.

Przesłuchania za cytowanie Pisma Świętego to wynik tego, że chrześcijanie są zbyt bierni. Jeżeli częściej występowaliby w obronie prawdy, to lewica i służby państwowe zrozumiałyby, że to walka z wiatrakami. Jedną osobę można próbować zastraszyć. Nawet kilka osób da się osaczyć. Ale tysięcy osób nie da się ciągać po komisariatach. Ja na pewno nie przestanę przypominać tego, co mówi Pismo Święte. To krytyczny moment. Albo pójdziemy w stronę kneblowania, albo obronimy wolność. Dostaję wiele wyrazów wsparcia, również od młodych ludzi. Skarżą się oni, że dziś czują się przymuszani do chowania się ze swoją wiarą. Jeżeli wyrażają ją publicznie, to są piętnowani jako nienawistnicy, boją się też problemów prawnych.

Prokurator generalna powiedziała w rozmowie z jedną z naszych największych gazet, że jeżeli zostanę skazana przez sąd, to będzie to oznaczało, że nie można się zgadzać z Biblią w tych sprawach. To, co się stanie w mojej kwestii, jest krytycznie ważne dla przyszłości chrześcijan w Finlandii. Myślę też, że nie pozostanie to bez wpływu na inne kraje Europy. W UE istnieje przecież bardzo silna sieć organizacji LGBT, które cały czas testują, gdzie leży granica w tych sprawach.

Środowiska LGBT przekonują, że nie można piętnować osób homoseksualnych, zasłaniając się religią.

W demokratycznych społeczeństwach wolność przekonań to fundament. Czy organizacje LGBT chcą zabronić wyznawania klasycznego chrześcijaństwa? Jako chrześcijanka akceptuję to, że ludzie wykorzystują swoją wolność wypowiedzi, by krytykować mnie – nawet bardzo ostro – i moje przekonania. Godzę się również z tym, że krytykują samo chrześcijaństwo. To cena wolnego społeczeństwa. Ja jednak nie wysyłałabym nikogo do więzienia za krytykowanie chrześcijaństwa.

Jest pani w o tyle trudnej sytuacji, że najwyżsi przedstawiciele Kościoła luterańskiego w Finlandii, np. abp Kari Mäkinen, nieraz mówili wprost, że trzeba zastanowić się nad zredefiniowaniem idei małżeństwa. Jak chce pani w takim razie przekonać ludzi, że to droga donikąd?

To prawda, że mamy bardzo liberalnych biskupów i pastorów, którzy

eprasa.pl bbf3cf9c28

udzielają błogosławieństw parom homoseksualnym. Mieliśmy nawet przypadki, gdy niektórzy pastorzy udzielali takich ślubów! Tylko że doktryna Kościoła luterańskiego w tych sprawach nie zmieniła się ani o jotę. Synod generalny naszego Kościoła wydał orzeczenie potwierdzające, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Mój mąż jest pastorem luterańskim i brał udział w tym synodzie. Robi wszystko, by Pismo Święte było respektowane.

Ale jest w mniejszości...

Tak, ale na szczęście trzeba mieć zdecydowaną większość w synodzie [trzy czwarte głosów – przyp. red.], by dokonać tak fundamentalnych zmian. Zwolennicy rewolucji nie są aż tak liczni. Jesteśmy w trudnej sytuacji. Większość biskupów i pastorów jest liberalna i spogląda przychylnym okiem na „małżeństwa" homoseksualne, ale jednak oficjalna doktryna jest wciąż konserwatywna.

Co pani zrobi, jeżeli jednak zwolennicy zmian zyskają niedługo wymaganą liczbę głosów?

To bardzo trudne pytanie...

Zostanie pani katoliczką?

(śmiech) Są jeszcze konserwatywne wspólnoty protestanckie. Na razie skupiam się na walce o nasz Kościół luterański, by nie zszedł na złą drogę. Czuję, że to moje powołanie. Również w parlamencie walczę o powstrzymywanie rewolucyjnych zmian.

Patrząc na nastroje społeczne, ma pani przed sobą wyjątkowo trudną misję. Przypomnijmy, że w 2017 r. Finlandia rozciągnęła definicję małżeństwa również na pary jednopłciowe.

W ciągu 26 lat, odkąd zasiadam w parlamencie, doszło u nas do galopujących zmian społecznych. Dzisiaj tym bardziej oznacza to wielkie zadanie dla chrześcijan. Nie możemy być cisi, nie możemy dać się zastraszyć i cenzurować. Staram się pobudzić chrześcijan w Finlandii i gdzie indziej w Europie do tego, by dawali świadectwo wierze nie tylko prywatnie w Kościołach i rodzinach, lecz także publicznie. Wierzę, że te mocne, rozsądne głosy broniące tradycji dającej społeczeństwom zdrowe fundamenty zostaną w końcu dostrzeżone i zainspirują ludzi do działania na rzecz odwracania złych zmian.

W 2013 r. spadła na panią lawina krytyki za stwierdzenie, że fińskie prawo lepiej chroni zwierzęta niż ludzi w okresie prenatalnym. W jakim sensie?

W Finlandii mamy prawo zakazujące sprawiania cierpienia zwierzątom podczas uboju. Tymczasem nie wolno u nas nawet podjąć dyskusji na temat bólu, jaki odczuwają zabijane dzieci. Media nie chcą się zajmować tym trudnym tematem. Mamy prawo pozwalające na aborcję w bardzo późnym terminie – aż do 20. tygodnia. Jeżeli jednak wykryje się chorobę, np. zespół Downa, to aborcji można dokonać aż do 24. tygodnia. Mówienie o tej potwornej niesprawiedliwości grozi błyskawicznym oskarżeniem o agresję wobec kobiet, o wywoływanie w nich poczucia winy. Dlatego nie wolno mówić, że życie zaczyna się w momencie zapłodnienia. Tymczasem to jest walka z nauką – z biologią. Jestem lekarką. To po prostu fakt, że po zapłodnieniu nie da się wskazać momentu, który sprawia, że od teraz to jest człowiek. Takim momentem może być tylko zapłodnienie.

Chyba najczęściej słyszy się z lewej strony, że z człowiekiem mamy do czynienia dopiero wtedy, kiedy jest w stanie samodzielnie przeżyć poza organizmem matki.

Co to znaczy „samodzielnie"? Każdy, kto miał noworodka, wie, że dopiero co narodzone dziecko nie jest w stanie samodzielnie przeżyć. Trzeba się nim opiekować. Jaki więc sens ma mówienie o „samodzielności"? To tylko poszukiwanie arbitralnej, późnej granicy, by uzasadnić barbarzyństwo, które dziś nazywane jest „prawem człowieka". Niestety, nasz Kościół luterański nie wchodzi w tę debatę, nie broni świętości życia. Bardzo nad tym boleję. Z drugiej strony bardzo się cieszę, że jest w Europie taki kraj jak Polska, gdzie wartości odgrywają wciąż bardzo dużą rolę. Byłam taka szczęśliwa, gdy przeczytałam w mediach, że aborcja eugeniczna została uznana w Polsce za niezgodną z konstytucją! To przykład, że da się inaczej. Oby ten przykład był zaraźliwy...

W UE generalnie jest już tak źle, że wierzę, iż możliwa jest zmiana w drugą stronę. Wierzę, że niedługo ludzie zaczną mieć dość tej antybiologii, także w kwestii płci. Ten genderowy chaos bardzo zagraża naszym dzieciom i mam nadzieję, że spowodowane nim zniszczenia szybko otworzą oczy rodzicom. Nie mam wrażenie, że jesteśmy skazani na zsuwanie się w złą stronę.

Wydaje się jednak, że generalnie wśród konserwatystów w Europie panują w tym temacie dosyć minorowe nastroje. Co daje pani powody do optymizmu?

Dobrze przygotowana obrona pozwala czasem powstrzymać bardzo złe zmiany. Weźmy choćby próbę legalizacji eutanazji w Finlandii. Doszło do tego w 2018 r., w poprzedniej kadencji. Zajmowaliśmy się inicjatywą obywatelską w tej sprawie. To była bardzo twarda walka. Wydawało się, że sprawa jest przesądzona i znajdzie się większość gotowa poprzeć ten projekt. A jednak bardzo wielu parlamentarzystów zmieniło zdanie po dyskusji na ten temat i ostatecznie odrzucono eutanazję większością 128:60.

Co sprawiło, że głosowali przeciw?

Przekonaliśmy ich, że lekarze nie mogą zabijać pacjentów. To nie jest ich rola. Przedstawiliśmy też najnowsze zdobycze medycyny, które pozwalają skutecznie zwalczać ból nawet w najtrudniejszych przypadkach. Zdanie środowiska lekarskiego było tu kluczowe – lekarze generalnie nie wyobrażają sobie, by mogli zabijać pacjentów. Myślę, że trochę pomogła też moja książka na temat eutanazji, którą rozdałam wszystkim parlamentarzystom. Od kilku z nich usłyszałam, że argumenty, które tam przedstawiłam, przekonały ich do głosowania przeciw. A wystarczy tylko pokazać, jak wygląda sytuacja w krajach, które zdecydowały się na legalizację eutanazji. Przykładowo w Holandii eutanazja oferowana jest już nie tylko ludziom chorym na raka, lecz także osobom zmagającym się z chorobami psychicznymi. To prowadzi do głębokiej zmiany cywilizacyjnej, gdy śmierć, a nie leczenie, staje się najbardziej oczywistą opcją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

NIILO I PÄIVI RÄSÄNEN „CO Z TYM MAŁŻEŃSTWEM?" WYDAWNICTWO WARTO, 2020

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. KEITH MAYHEW/FACE TO FACE/REPORTER

OJCIEC PREMIERA CHCE BYĆ FRANCUZEM

Wielka Brytania w końcu wzięła rozwód z Unią Europejską. Od stycznia już w niej nie jest. Eurosceptyczni politycy uważali (i uważają), że tak będzie lepiej. Tymczasem nie wszyscy chcą tak bardzo się rozstać z Unią. Nawet ojciec premiera Wielkiej Brytanii Stanley Johnson przyznał we francuskim radiu RTL, że stara się o uzyskanie francuskiego obywatelstwa. Dzięki temu chce pozostać w UE. „Posiadanie więzi z Unią Europejską jest ważne" – argumentował.

WAKACJE W LOCKDOWNIE

Gdy w Polsce trwała seria ujawniania nazwisk celebrytów dostających poza kolejką szczepionkę przeciw COVID-19, w Kanadzie wychodziła na jaw coraz dłuższa lista polityków, którzy obywatelom polecili pozostanie w domach, a sami podczas pandemii wyjechali na zagraniczne wakacje. Do dymisji podali się już: szef komisji etyki Izby Gmin Dawid Sweet, sześcioro konserwatywnych polityków w Albercie, w tym minister ds. miejskich Alberty Tracy Allard, minister ds. autostrad prowincji Saskatchewan Joe Hargrave. Wiadomo, że wojaże odbywali też minister finansów Ontario Rod Phillips oraz szef klubu konserwatystów w Senacie Don Plett.

SZWEDZI NA ZAKUPACH

Premier Szwecji Stefan Loefven apelował do obywateli, by nie robili przed świętami zakupów w centrach handlowych. I groził, że jeśli będzie tam tłok, to je zamknie. Po dwóch dniach od apelu media przyłapały go w sklepie z zegarkami w galerii handlowej w Sztokholmie. Dwa dni po Bożym Narodzeniu w sklepie AGD w galerii handlowej w Lund media przyłapały na zakupach ministra sprawiedliwości Morgana Johanssona.

LITWA Z ZAKAZEM BALKONOWYM

Od stycznia na Litwie nie wolno palić papierosów nawet na prywatnych balkonach, jeśli choć jeden z sąsiadów się takiemu zachowaniu sprzeciwia. Wydaje się, że Litwinom udało się więc stworzyć jeszcze bardziej nieegzekwowalny zakaz niż polski zakaz wychodzenia w sylwestra.

NARZECZONA SPADŁA Z GÓRY

W austriackiej Karyntii 27-letni mężczyzna oświadczył się wybrance na szczycie góry w Alpach. Starsza o pięć lat od niego kobieta powiedziała „tak". Chwilę później przewróciła się i spadła ze szczytu. Narzeczony próbował ją ratować i sam spadł. Przeżyli. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wyścig ku normalności

Naukowcy osiągnęli sukces – jest szczepionka na COVID-19. O sprawności rządów świadczy teraz to, jaki odsetek populacji uda się szybko zaszczepić. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", liderem był Izrael z wynikiem ponad 15 proc. Za nim uplasowały się Zjednoczone Emiraty Arabskie (8,35 proc.), Bahrajn (3,75 proc.), USA (1,46 proc.), Wielka Brytania (1,39 proc.) oraz Dania (0,89 proc.). Polska zaszczepiła w tym czasie ok. 180 tys. osób i walczy, by być w europejskiej czołówce.

W krajach, w których nie uda się zaszczepić znaczącej części populacji, restauracje, kina, teatry długo pozostaną zamknięte. Z kolan nie podniesie się turystyka, nie dojdzie do odbicia gospodarek w kształcie V. Zamiast spodziewanego wzrostu globalnego PKB o 4 proc. może on wynieść tylko 1,6 proc. (to prognoza Banku Światowego w razie nasilenia się pandemii). Aby ratować się przed wielkim bezrobociem, rządy kolejnymi subwencjami i tarczami będą więc zadłużać młode pokolenia i jeszcze bardziej psuć pieniądz.

Kraje, którym uda się osiągnąć odporność społeczeństw i zapobiec trzeciej fali, stworzą nową światową elitę: państw – choćby tylko tymczasowo – odpornych na COVID-19, w których liczba zgonów wraca do normy, a gospodarki dynamicznie rosną. Brytyjczycy dopuścili więc na rynek szczepionki dwóch producentów (w tym tańszą produkcji Oxford/AstraZeneca). Węgry czy Niemcy prowadzą negocjacje z producentami i na Zachodzie, i na Wschodzie.

Polski rząd ma zagwarantowane dostawy dawek wystarczających tylko dla ok. 2,9 mln osób do końca marca. Prowadzi więc rozmowy z innymi dostawcami, bo inaczej przed trzecią falą pandemii szczepionek nie wystarczy nawet dla seniorów, nauczycieli etc. Osób chcących „wyjandziować" dawkę poza kolejką może więc przybywać. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

Ból i wiara Ormian

Chrześcijanka modli się w częściowo zniszczonej katedrze Ghazanchetsots w Szuszy

FOT. STANISLAV KRASILNIKOV/TASS/PAP

Witold Repetowicz z Arcachu

W wyniku wojny azerbejdżańsko-armeńskiej wiele ormiańskich kościołów znalazło się w rękach Azerbejdżanu. Do aktów dewastacji dochodziło jeszcze w trakcie walk. Wielu ormiańskich duchownych nie kryje rozgoryczenia z powodu tego, że świat chrześcijański nie udzielił im pomocy, gdy jej potrzebowali

Chłodny grudniowy poranek w Stepanakercie, stolicy Arcachu, zwanego też Górskim Karabachem. Miesiąc wcześniej głuchą ciszę wyludnionego centrum miasta co chwila zakłócały wybuchy pocisków wystrzeliwanych z azerbejdżańskich pozycji w ogarniętej walkami, położonej ponad Stepanakertem Szuszy. Teraz jest spokojnie, a miasto wygląda względnie normalnie. Właśnie świta, kilkadziesiąt osób zbiera się na głównym placu. Wśród nich jest kilku duchownych. Po chwili dołączają też bp Vrtanes Abrahamyan, zwierzchnik Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego w Arcachu i zarazem biskup polowy Armenii, a także o. Andreos, główny duchowny katedry Ghazanchetsots w Szuszy.

Jest niedziela. Nieco po ósmej rano kilka autobusów wyrusza ze stepanakerckiego placu Odrodzenia do klasztoru Dadivank, jednej z najważniejszych świątyń ormiańskich, której dzieje sięgają IV w. n.e. Jeszcze niedawno wizyta w tym miejscu nie wiązała się z żadnymi specjalnymi trudnościami. Ale to już przeszłość, bo od 25 listopada Dadivank znalazł się teoretycznie na terytorium Azerbejdżanu. Praktycznie jest jednak quasi-eksterytorialną enklawą Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, ochranianą przez rosyjskich żołnierzy, tzw. mirotworców. Wszystko dlatego, że po przegranej przez Armenię wojnie region Karwaczaru, dotąd będący częścią Arcachu, został przekazany Azerbejdżanowi.

MODLITWĄ I ORĘŻEM

Dadivank leży właśnie na terenie Karwaczaru, w odległości ok. 100 km od Stepanakertu. Z tej starożytnej świątyni do obecnej granicy z Arcachem jest jednak niespełna 10 km. Gdy 10 listopada ogłoszono warunki porozumienia, zapowiedź przejęcia przez Azerbejdżan kontroli nad Dadivankiem była dla Ormian szokiem. Początkowo miało to się stać już 14 listopada. Tego dnia tysiące pielgrzymów ruszyło przez góry, by po raz ostatni tam się pomodlić. Specjalna grupa zdemontowała też bezcenne dla Ormian chaczkary i wywiozła je do Armenii. Ówczesny przeor świątyni o. Hovhannes zapowiedział jednak, że nie wyjedzie i będzie jej bronił modlitwą i orężem. Tuż przed północą Rosjanie ogłosili, że termin przekazania Kalwaczaru zostaje przedłużony do 24 listopada, a klasztor pozostanie pod kontrolą „mirotworców".

„Niebezpieczeństwo dla naszej świątyni minęło, gdyż są tu już rosyjscy żołnierze" – powiedział mi 21 listopada o. Hovhannes. Nad Dadivankiem powiewała już wówczas biało-niebiesko-czerwona flaga, a rosyjskie BTR-y stały przy wejściu do klasztoru. Młody żołnierz podchodził do stojących w długiej kolejce samochodów i pytał pasażerów, czy mają broń. Pielgrzymów wciąż było bardzo wielu i wszyscy robili sobie

eprasa.pl bbf3cf9c28

zdjęcia z o. Hovhannesem, traktowanym jak bohater narodowy. „To nasza ulubiona świątynia. Gdy usłyszałam, że ma zostać przekazana Azerom, to było jak koniec świata. Przecież my jesteśmy pierwszym narodem chrześcijańskim, a to święta ziemia i nasza ulubiona świątynia. Ale jak teraz paliłam tu świeczki, to poczułam, jakby mi aniołowie mówili, że to zostanie nasze i będę tu jeszcze mogła się modlić" – mówiła mi wówczas jedna z pielgrzymujących.

Problem w tym, że choć do samego Dadivanku rzeczywiście Rosjanie nie wpuścili Azerów, to przejęli oni wszystkie tereny wokół klasztoru. Dlatego obecnie Ormianie i inne osoby jadące z armeńskiej strony mogą się tam dostać tylko pod eskortą „mirotworców". Kolumna pielgrzymów zatrzymała się więc w wiosce Getavan, gdzie dołączył busik pełen uzbrojonych żołnierzy rosyjskich. Po przejechaniu kolejnych kilku kilometrów, nie zatrzymując się, pielgrzymka przekroczyła granicę. Na zakręcie niezwykle malowniczej górskiej drogi, z szumiącym obok potokiem, ustawiono zapory. Po jednej stronie stali ormiańscy żołnierze, po drugiej, w odległości co najwyżej 50 metrów, byli już Azerowie. Między tym miejscem a klasztorem znajdują się raptem dwie małe wioski, zresztą obecnie doszczętnie spalone, więc wątpliwe, by ktoś tam chciał się w najbliższym czasie przeprowadzać. Biskup Vrtanes uważa jednak, że Azerowie za wszelką cenę będą chcieli je jak najszybciej zasiedlić. „Reszta Kalwaczaru pozostanie pusta, ale tutaj ściągną swoich, by odstraszali Ormian pragnących odwiedzić Dadivank" – powiedział mi w przededniu pielgrzymki.

KRZYWDA DUCHOWA

Atmosfera na terenie świątyni nie przypominała tej sprzed miesiąca. Teraz widać było głównie „mirotworców", a na drodze tuż przy wjeździe do klasztoru kręciło się kilku azerbejdżańskich żołnierzy patrzących z nieukrywaną wrogością na przybyłych pielgrzymów i duchownych. W międzyczasie z Dadivanku do jednego z kościołów w Erywaniu przeniesiono też o. Hovhannesa, oficjalnie ze względów zdrowotnych, nieoficjalnie zaś dlatego, że jest wyjątkowo znienawidzony przez Azerów. „Teraz w Dadivanku na stałe jest sześciu naszych mnichów i codziennie odbywają się modły, a w każdą niedzielę odprawiana jest liturgia. Pielgrzymki mogą się odbywać tylko pod eskortą rosyjskich żołnierzy, więc na razie będą organizowane w co drugą niedzielę oraz w święta, ale mam nadzieję, że na wiosnę będzie to już w każdą niedzielę" – powiedział o. Andreas po trwającej ponad dwie godziny mszy, którą poprowadził. Chaczkarów w Dadivanku wciąż nie było, choć bp Vrtanes zapewnił, że w swoim czasie wrócą na miejsce.

„Żyjemy tu sobie spokojnie, choć zdarzają się prowokacje. Azerowie próbowali parę razy wejść na teren klasztoru, ale »mirotworcy« pilnują, by do tego nie doszło" – powiedział jeden z przebywających tam na stałe mnichów. 6 grudnia do Dadivanku przyjechała jednak grupa Udynów, tj. azerbejdżańskich chrześcijan. Zdaniem bp. Vrtanesa Azerowie chcieli w ten sposób sprowokować incydent, być może nawet o charakterze zbrojnym. „Towarzyszyli im uzbrojeni żołnierze azerscy" – podkreślił władyka. I dodał, że byli to muzułmanie. „To akurat nieważne, bo każdy jest mile widziany w Dadivanku, ale niedopuszczalne jest, by wchodził do domu bożego z bronią".

Azerbejdżan twierdzi, że Dadivank i inne klasztory w Arcachu to nie spuścizna ormiańska, lecz Albańczyków Kaukaskich, których Udyni są potomkami. „To absurd" – odpowiada bp Vrtanes. „Albańczycy mieszkali na lewym brzegu rzeki Kura, a Arcach leży na prawym. I jakoś nie zależy im na licznych świątyniach albańskich po tamtej stronie rzeki. Poza tym na przełomie lat 80. i 90. wielu Udynów padło ofiarą azerbejdżańskich czystek etnicznych razem z Ormianami" – podkreślił dostojnik. „Ci, którzy przyjechali, przyznali zresztą, że nie są duchownymi i nawet nie byli w stanie odpowiedzieć, do jakiego Kościoła należą: armeńskiego, prawosławnego czy katolickiego. Pozwoliłem zatem im się pomodlić, ale nie na to, by odprawili liturgię. A oni powtarzali, że to jest »ich dom«, tyle że nie byli w stanie wyjaśnić, dlaczego w takim razie nie przyjeżdżali tu przez ostatnie 30 lat, choć nikt z nas by im w tym nie przeszkadzał" – stwierdził biskup.

„Ani przez chwilę nie wątpiłam, że nadal będę mogła tu przyjeżdżać i się modlić" – powiedziała Elmira, pielgrzymka ze Stepanakertu. „Obyśmy również znów mogli pojechać do Szuszy" – dodała. Tamtejsza katedra jest obecnie niedostępna dla Ormian, choć Władimir Putin zapowiadał, że podobnie jak w przypadku Dadivanku otoczy ją „osobistą ochroną". Tyle że na razie bp Vrtanes nie jest w stanie nawet wywieźć z niej przedmiotów sakralnych oraz archiwum kościelnego. „Bardzo nam na tym zależy" – podkreśla hierarcha, dodając, że wiele innych obiektów sakralnych, w tym drugi kościół w Szuszy, zostało już zniszczonych. „Nie znamy dokładnego zakresu zniszczeń, bo nie mamy tam żadnego dostępu, więc wiemy tyle, co zobaczymy w Internecie. Zresztą tu nie chodzi o straty materialne, lecz o wielką krzywdę duchową, której doznaliśmy" – podkreślił.

NADZIEJE I ŻAL

Katedrę w Szuszy mieszkańcy Stepanakertu mogą bez problemu zobaczyć, tyle że z oddali. To zresztą kolejny taki przypadek, bo w Erywaniu z kolei pięknie widać świętą dla Ormian górę Ararat, a tuż przy granicy, tyle że po stronie tureckiej, znajduje się Ani, starożytna stolica Ormian. Teraz kilka kilometrów za nową granicą Arcachu z Azerbejdżanem, na ziemiach utraconych przez Ormian, znalazły się z kolei ruiny Tigranakertu, miasta zbudowanego przez najwybitniejszego władcę Armenii Tigrana Wielkiego w I w. p.n.e. Ojciec Andreos, który przez 20 lat był głównym duchownym w katedrze Ghazanchetsots, nie ukrywa, że gdy teraz patrzy na katedrę, to czuje ból i żal. „Mam jednak przeczucie, że pewnego dnia wrócimy do Szuszy" – stwierdził duchowny.

Żalu do świata chrześcijańskiego nie ukrywa też bp Vrtanes. „Zostaliśmy sami, nikt nam nie pomógł" – podkreślił hierarcha. Jego zdanie podziela również ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. „Świat zawiódł Ormian i to już po raz kolejny, bo w XIX i XX w. nie wsparł planu utworzenia niepodległej Armenii. Nie pomógł też w czasie ludobójstwa dokonanego przez Turków. Spośród przywódców religijnych wyjątkami byli papieże Benedykt XV oraz Jan Paweł II i Franciszek. Pierwszy ujął się za ofiarami ludobójstwa, drugi i trzeci odwiedzili Armenię, co było ogromnym umocnieniem dla kraju otoczonego morzem muzułmanów" – podkreślił duchowny ormiańskiego Kościoła katolickiego.

Dodał też, że Polska powinna wesprzeć Armenię w czasie tej wojny. „Głównie na drodze dyplomatycznej i pomocy charytatywnej. Także z powodu wielowiekowych związków polsko-ormiańskich. Polscy Ormianie, zamieszkujący w obrębie królestwa polskiego od XIV w., byli zawsze lojalnymi obywatelami, w przeciwieństwie do wielu innych mniejszości narodowych" – stwierdził.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

Łukasz Zboralski

Klucz do kariery

Prezes Orlenu Daniel Obajtek konsekwentnie buduje polski koncern multienergetyczny. Uważa, że biznes to jednak coś więcej niż tylko dobry interes

Z Danielem Obajtkiem, szefem Orlenu, spotykam się w siedzibie firmy w Warszawie. Jak zwykle jest bezpośredni i tak obszernie odpowiada na pytania, że czasem trzeba mu przerywać. Dużo mówi o rozwoju firmy i swoich wizjach. O życiu osobistym i przeszłości – mniej. Widać, że go to trochę krępuje. Zanim odpowie, proponuje zawsze, by o jego ocenę pytać jednak innych.

Rozmowę zaczęliśmy od inwestycji. Niedawno Orlen przejął Energę i Lotos. A niebawem ma zgłosić do Komisji Europejskiej wniosek w sprawie przejęcia PGNiG. Po co Orlenowi firma gazowa? Prezes Daniel Obajtek tłumaczył mi, że trzeba patrzeć szerzej i w przypadku takiego koncernu jak Orlen przyjmować perspektywę dekady, 20, a nawet 30 lat. Jego zdaniem w dużym biznesie należy wiedzieć, jak reagować, żeby w kolejnych latach firma nie tylko utrzymywała pozycję, lecz żeby się rozwijała. Dlatego z dużym wyprzedzeniem trzeba projektować wszystkie procesy, m.in. akwizycyjne. Orlen ma zmieniać się wraz z gospodarką na świecie, nadążać za zmianami, a jeszcze lepiej – wyprzedzać je. Chodzi też o dobrą pozycję inwestycyjną na przyszłość. Łączenie zależnych spółek ma przynieść „efekt skali" i optymalizację – stąd mają właśnie pochodzić pieniądze na inwestycje. Jednocześnie firma staje się coraz nowocześniejsza.

Obajtek zwraca też uwagę, że wszystkie światowe koncerny ten etap mają już za sobą. Są większe, mają większe przychody i łączą różne obszary działalności. Orlen chce podążać taką drogą. Prezes przypomniał, że odsądzano go od czci i wiary, gdy ogłaszał akwizycje Energii czy Lotosu. Podczas kryzysu okazało się, że Orlen nie tylko nie wyciągnął ręki do państwa po pomoc, lecz także do tej pomocy sam się dokładał.

A jak się ma do tego ogromny zakup prasy lokalnej od Polska Press? Czy jest w tym myśl biznesowa czy wyłącznie polityczna, czyli „repolonizacja mediów"?

DANIEL OBAJTEK:

– Pierwszą rzeczą, która nam przyświeca, jest biznes. Jakoś nie widzę, żeby duże globalne firmy nie inwestowały w media. Robi to np. właściciel koncernu Amazon czy koncern samochodowy Renault. Na polskim rynku robi to Zygmunt Solorz, który ma w portfolio też inne spółki, m.in. deweloperskie, Polkomtel. Czy ktoś się temu dziwi?

Taka firma jak Orlen, dodatkowo łącząc się z innymi firmami, ma miliony klientów i zabiega o kolejnych. Musimy więc mieć odpowiednie narzędzia dotarcia do klienta. Przypominam też, że przejęliśmy Ruch. Te akwizycje mocno łączą się z dalszym rozwojem naszej sprzedaży detalicznej, z której mamy ok. 3 mld zł zysku EBITDA rocznie. Widzimy, że mocno rośnie sprzedaż pozapaliwowa. I chcemy ją rozwijać.

Aktywa Polska Press (zarówno dzienniki, jak i witryny internetowe, które docierają do ponad 17 mln odbiorców) to bardzo dobre narzędzie umożliwiające PKN Orlen dotarcie do potencjalnych klientów z ofertą produktową.

Jeśli ktoś twierdzi, że w takiej sprawie jak zakup Polska Press wykonuję decyzje polityczne bez uzasadnienia biznesowego, to się myli albo z premedytacją kłamie. Każda transakcja, którą rozważamy, jest najpierw dokładnie analizowana. W przypadku Polska Press decyzję o zakupie poprzedziły analizy zarówno ekspertów PKN Orlen, jak i doradców zewnętrznych. Przeprowadzono proces due diligence w obszarach finansowym, prawnym i podatkowym. PKN Orlen korzystał również z analiz doradców zewnętrznych, wykonał je zespół jednego z najbardziej renomowanych, międzynarodowych podmiotów.

Są więc analizy doradcy, trzeba przygotować cały model biznesowy, szacowane są korzyści finansowe. I na takiej podstawie podejmuje się decyzje. Analizy potwierdzają, że firma na tym zakupie skorzysta. Jak? Po pierwsze – zwiększamy liczbę klientów i do nich musimy docierać. Budujemy też dom mediowy. Podobne biznesy mają firmy nie tylko w Rosji, jak to najczęściej mówią oponenci, lecz także w krajach tej „starej" UE. To jest model francuski i angielski. Poprzez dom mediowy m.in. planujemy kampanie reklamowe, prowadzimy badania rynkowe, rezerwujemy powierzchnie reklamowe, czas antenowy. Z jego usług korzysta coraz więcej spółek. Nie tylko tych należących do Skarbu Państwa, bo są również prywatne.

Kolportaż prasy jest dziś deficytowy i są różne modele, które próbują temu zaradzić, np. we Francji do kolportażu dopłaca państwo. Problemem jest coraz droższa logistyka. Dzięki przejęciu przez Orlen spółki Ruch będzie można optymalizować tę logistykę.

Absurdalne jest przy tym twierdzenie, które nieraz słyszę, że Orlen coś kupuje „z pieniędzy polskich podatników". Tylko w 2019 r. Orlen wpłacił ponad 38 mld zł do budżetu państwa z tytułu podatków! Dla porównania, w 2012 r., czyli za czasów rządów PO-PSL, ta kwota wyniosła niecałe 20 mld zł.

Trudno mi zrozumieć ten wielki hejt, gdy polska firma kupuje od niemieckich

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. PKN ORLEN S.A.

właścicieli media mające ogromne znaczenie jako media regionalne...

Biznesowe uzasadnienie więc jest. Trudno jednak ufać, że media wydawane przez spółkę pozostającą pod kontrolą Skarbu Państwa będą miały całkowitą swobodę i ich dziennikarze będą mogli stanowczo krytykować jakieś działania rządu. Czy będą mogli?

DANIEL OBAJTEK:

– Państwo nie wtrąca się w zadania biznesowe Orlenu. Media, które kupiliśmy, mają swoich czytelników, pewnych klientów. Oni wymagają jakości. Gdybym chciał interweniować w podawane przez nie treści, tobym te media zmarginalizował. A nie po to je kupiłem. Owszem, dla mnie znaczenie będzie miało, żeby informacje w tych mediach były rzetelne i uczciwe. Na pewno Orlen nie będzie próbował wpływać na to, co kto ma w mediach napisać. Jeśli ktoś w polityce samorządowej czy rządowej zasługuje na krytykę, to ta krytyka musi go spotkać.

Przy okazji gorących dyskusji – jak ta dotycząca zakupu mediów – wciąż przypomina się, że prezes wielkiego koncernu wcześniej był wójtem niewielkiego Pcimia. Obajtek jest rozżalony, że pomija się przy tym całą jego karierę w biznesie, że wprowadzał zagraniczne firmy do Polski, że był dyrektorem i kierownikiem w firmach, miał udziały w spółkach. Często jednak w takich przypadkach nie interweniuje, bo dla niego Pcim nie jest żadną ujmą. Podkreśla, że nie wstydzi się urodzenia w Myślenicach i wychowania w niewielkiej miejscowości Stróża. Uważa, że w tamtej gminie jako wójt zrobił bardzo dużo i dowodem było poparcie sięgające w wyborach ponad 80 proc. Dziennikarzom wciąż trudno tam znaleźć kogoś, kto mógłby powiedzieć jakieś złe rzeczy o dawnym wójcie.

Obajtek uważa, że Pcim nie może być synonimem zaściankowości, bo dawno temu był wzorem dla innych samorządów – miał szkolną stomatologię, w przedszkolach przyjmowano dzieci od trzeciego roku życia, nawet najbiedniejsi mieli Internet i sprzęt komputerowy. Za czasów swojej pracy wójta walczył o dobre imię Pcimia. Bank, który wykorzystał slogan o „cioci z Pcimia", zmusił do ugody i pozyskał pieniądze, za które wybudowano w gminie place zabaw.

Podobno w Pcimiu mówiono o nim nawet „wójt czekoladka".

eprasa.pl bbf3cf9c28

DANIEL OBAJTEK:

– Zawsze zajmowałem się sprawami społecznymi, jest tak zresztą do tej pory. Jeśli jakąś rodzinę dotknęła tragedia, to dla mnie nie było to obojętne. W każdy piątek jako wójt starałem się takich ludzi odwiedzać, ale nie po to, by im dać czekoladki. Byłem tam po to, żeby takiej rodzinie pomóc. Żeby pomóc znaleźć pracę albo pomóc w przekwalifikowaniu się. Takich ludzi nie zostawialiśmy samych. Do tej pory co roku odwiedzam kilkanaście rodzin. Zapraszają mnie na chrzciny, komunie.

Złośliwi mówią o tym inaczej. Trudno. Przecież kiedy przyjeżdżałem do takich rodzin, wiedziałem, że nie pomogę im w ciągu jednej minuty. Ale dzięki tym słodyczom chociaż trochę dzieci pocieszałem. I kupowałem je z własnych pieniędzy, a nie gminnych.

W gminie, tak jak w Orlenie, pracowałem po kilkanaście godzin dziennie. Zawsze wolałem kontakty z ludźmi niż bywanie na bankietach. Zresztą teraz też mnie pan nie zobaczy na rautach.

Gdy rozmowa schodzi na to, jakim jest człowiekiem, Obajtek niechętnie potwierdza to, co o nim mówią podwładni – że jest bardzo otwarty, podchodzi tak samo do pracowników na różnych szczeblach. Twierdzi, że ma takie podejście, bo sam musiał się przebijać w życiu – pochodził z mniejszej miejscowości i z rodziny bez wielkich koneksji.

Denerwuje go jednak, że nawet właściwe postawy są krytykowane, że szuka się drugiego dna. Jako przykład podaje zakup nieruchomości, którą przekazał bezpłatnie w użytkowanie na ponad 30 lat fundacji zajmującej się dziećmi z zespołem Tourette'a. Kiedy wspomina, że dziennikarze próbują doszukiwać się, czy nie ma tam jakiegoś przepływu pieniędzy, czy nie ma z tego czegoś dla siebie, zastanawia się, czy takie przedsięwzięcia są tego warte. Zaraz jednak dodaje, że nie potrafi się zmienić i inaczej żyć.

Z przeszłości Danielowi Obajtkowi przypomina się też pracę w firmie Elektroplast. Po latach był jednym z ośmiu podejrzanych o rzekome przyjmowanie łapówki i narażanie firmy na straty. Ostatecznie śledztwo umorzono.

Prezes Orlenu odbiera to jako próby dyskredytacji. Przypomina, że to właściciele tej firmy mieli na koncie wyroki skazujące. I to te osoby jego zdaniem próbowały go oczerniać. Z jednym z tych ludzi kilkakrotnie wygrał sądowe procesy i pomówienia.

Obajtek uważa, że zemściło się na nim to, iż właśnie próbował żyć uczciwie i nie chciał wraz z innymi „chadzać na skróty". Zarzuty wobec siebie uważał za absurdalne. Przypomina, że wyśmiewały je nawet opozycyjne media – miał bowiem rzekomo wziąć łapówkę za przetarg od firmy... która go nie wygrała.

Zdaniem Obajtka, gdy chce mu się medialnie dołożyć, pomija się w tej sprawie ważną informację – że zarzuty wobec niego nie zostały umorzone jedynie przez prokuraturę. To sąd rozpatrywał, czy to umorzenie było słuszne. I przychylił się do decyzji prokuratury.

W mediach można też przeczytać, że wychował się w niezbyt zamożnej rodzinie, ale za to konserwatywnej. I to go ukształtowało, ma wpływ na dzisiejsze działania w biznesie. To dlatego np. wspiera kultywującą polskość młodzież na Wschodzie, to dlatego pomógł w zbudowaniu na Litwie hospicjum dla dzieci, którym kieruje polska zakonnica – Michaela Rak.

DANIEL OBAJTEK:

– To ja to sprostuję. Mój ojciec był osobą pracowitą. Całe życie ciężko pracował, miał własną działalność. Pisze się więc kłamliwe rzeczy, one pomniejszają ciężką pracę mojego ojca i mojej mamy. Moi rodzice nie byli milionerami, ale to nie była uboga rodzina.

Rodzina i wychowanie na wsi ukształtowało wiele moich przekonań – podejście do religii, Kościoła. Kościół na wsi w tamtym czasie był okienkiem wolności, okienkiem na świat. Pamiętam to dobrze.

To była też wieś, z której ludzi wywieziono na Sybir. Angażowałem się potem ze śp. marszałkiem Maciejem Płażyńskim w akcję pomocy dla dzieci z Białorusi. W Orlenie takie działania społeczne prowadzi Fundacja Orlen, która kilka lat temu dysponowała budżetem 7 mln zł, a teraz ma 50 mln zł rocznie na działania społeczne. Oferuje ona m.in. stypendia polskiej młodzieży na Wschodzie. Uważam, że duży biznes musi być odpowiedzialny za ludzi.

A z hospicjum to była niezwykła historia. Przy pierwszym spotkaniu z siostrą Michaelą było trochę zamieszania. Dostałem informację, że czeka na spotkanie ze mną siostra, a tu wchodzi siostra... zakonna (śmiech). Powiedziała, że wybudowała pierwsze hospicjum w Wilnie, ale nadal brakuje miejsc dla chorych. Opowiedziała o swoich problemach i spytała, czy Orlen nie może w tym pomóc. W tej osobie, w jej oczach widziałem błysk i siłę do robienia dobra. Obiecałem jej, że gdy będę na Litwie, do niej zajrzę. Zrobiłem to. Zobaczyłem to wszystko. Siostra pokazała mi miejsce i powiedziała, że chce zbudować hospicjum dla dzieci. Zadeklarowałem, że spróbuję pomóc. I dzięki wsparciu naszej spółki Orlen Lietuva hospicjum powstało. Co roku też przekazywane są środki na połowę utrzymania tej placówki. Uważam, że skoro mamy biznes na Litwie, to tam też musimy pokazać społeczną odpowiedzialność.

Wytykanie wójtowania w Pcimiu ma tworzyć niekorzystne wrażenie człowieka o zbyt niskich kwalifikacjach. Faktem jest jednak, że kariera Daniela Obajtka nabrała rozpędu dopiero po wygranych wyborach przez PiS w 2015 r. To wtedy najpierw zaczął rządzić ARiMR, następnie w Energa, a w 2018 r. zajął fotel prezesa Orlenu. Wykształcenie wyższe zdobył dopiero w 2014 r. – tytuł magistera z ochrony środowiska. Jedni uważają więc, że to przykład partyjnej kariery. Inni – że dowód na to, iż można osiągnąć wiele, jeśli dostaje się szansę.

DANIEL OBAJTEK:

– Studia długo się ciągnęły, bo tak naprawdę nie miałem czasu ich skończyć. Zajmowałem się samorządem, biznesem itd. Ale skończyłem. Potem jeszcze skończyłem MBA i kilkanaście kursów. Wiem, że edukacji jeszcze nie zakończyłem, chcę podnosić swoje kompetencje.

Nie bądźmy też w Polsce ciągle hipokrytami. Większość osób zrobiła kariery dzięki pewnym uwarunkowaniom politycznym. Czy za czasów SLD nie robili karier jego ludzie? A za czasów Platformy, PSL?

Tak – pomogło mi to w zrobieniu kariery. Nie będę ludzi okłamywał, że to mi nie pomogło. Oczywiście, nie był to jedyny powód i warto mieć to na uwadze. Kariera składa się z wielu czynników i okoliczności – ciężka praca, zespół, konsekwencja w działaniu, wiara w to, co można zrobić. Związku z polityką, czyli jednej z tych okoliczności, nie mam jednak zamiaru się wypierać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

1 I 2023 r. pierwszym dniem wolności?

Napisać, że trzyma się kciuki za terminowe ukończenie budowy, za terminowe oddanie do użytku i za terminowe wpięcie do polskiego systemu gazowego owego – mającego biec z Danii do Polski – podmorskiego gazociągu Baltic Pipe, to nic nie napisać, bo przecież ta inwestycja ma bez mała egzystencjalne znaczenie dla wszystkich Polaków – dla każdego z nas, dla całej Polski.

Jeśli najpóźniej pod koniec 2022 r., czyli za niecałe dwa lata, to się nie stanie i gazociągiem Baltic Pipe nie będzie płynął do domów Polaków gaz, to zima z 2022 r. na 2023 może być dla nas szczególnie trudnym wyzwaniem. Jak bowiem wiadomo, niemal równo rok temu koncern Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) ogłosił – rozumiem, że nie tylko za wiedzą, lecz także za zgodą władz naszego państwa – uwolnienie się wreszcie przez Polskę, z dniem 1 stycznia 2023 r., od groźby gazowego szantażu ze strony Kremla. Uwolnienie to ma się dokonać wskutek nieprzedłużenia obowiązującego do 31 grudnia 2022 r. kontraktu z rosyjskim Gazpromem na dostawę gazu do naszego kraju.

Spełnienie tej świetnej zapowiedzi PGNiG – od dekad wyczekiwanej przez Polaków (wszystkich?, zdecydowaną większość?) – wymaga jednak właśnie dotrzymania terminu zastąpienia dostaw gazu rosyjskiego dostawami gazu norweskiego, który ma trafić do nas przez gazociąg Baltic Pipe z Danii do Polski. To znaczy podobno nawet bez tego gazu do ogrzania polskich mieszkań wystarczy nam gazu naszego, wydobywanego w Polsce i sprowadzanego innymi drogami, lecz dla przemysłu już go na pewno nie wystarczy. Wszelako, lepiej nie próbować się przekonywać na własnej skórze, czy już bez gazu rosyjskiego, a jeszcze bez gazu norweskiego bylibyśmy sobie w stanie poradzić, bo – jak wiadomo – nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza gdyby z roku 2022 na rok 2023 zima miała być mroźna, sroga.

Dlatego dużo bezpieczniej będzie skończyć budowę gazociągu Baltic Pipe na czas, z odpowiednim wyprzedzeniem wpiąć go do polskiej sieci gazowej, spokojnie przetestować połączenie i potem bez stresu czekać na odłączenie gazu z Rosji. Szanse na to są spore, bo budowa gazociągu ruszyła już latem 2020 r. – wybrane zostały układające go firmy, które prowadzą pierwsze prace i miejmy nadzieję, że nic nie stanie im na drodze tak bardzo, by nie dotrzymać założonego terminu. A 1 stycznia 2023 r. okaże się dla wszystkich Polaków – w ciepłych domach i czynnych fabrykach – pierwszym dniem wolności od groźby gazowego szantażu Kremla. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nagroda za 11 listopada

Zbyt łatwo zapominamy o tym, co wydarzyło się niedawno i powinno być gruntownie wyjaśnione. 11 listopada był zaledwie dwa miesiące temu, a sceny gazowania dziennikarzy, bicia pałkami przypadkowych osób, obrazy postrzelonego w twarz fotoreportera „Tygodnika Solidarność" oraz stawiane wtedy pytania o postępowanie policji wciąż są świeże.

Los nadinspektora powinien być przesądzony. I taki się okazał. Po cichutku dostał kopniaka – tyle że w górę. Wskoczył na stanowisko zastępcy komendanta głównego

Na czele komendy stołecznej stał wówczas nadinsp. Paweł Dobrodziej. To on bezpośrednio odpowiadał za to, co działo się na ulicach. Trudno było uciec od politycznych interpretacji nagłej gotowości policjantów do użycia ewidentnie nadmiernej siły. W tle były pretensje kierownictwa PiS do komendanta głównego inspektora generalnego Jarosława Szymczyka o rzekomo zbyt łagodne postępowanie wobec wcześniejszych protestów Strajku Kobiet oraz rywalizacja o miejsce na czele Komendy Głównej Policji. W apolityczność służby może bowiem wierzyć jedynie ktoś skrajnie naiwny. Stanowisko szefa KGP zawsze było polityczne, a to KGP odpowiada za kurs całej formacji.

Po tym, jak wyglądał 11 listopada, ale także po wydarzeniach tydzień później (m.in. atak gazem na poseł Barbarę Nowacką), los nadinsp. Dobrodzieja powinien być przesądzony. I faktycznie – taki się okazał. Po cichutku pan nadinspektor dostał kopniaka – tyle że w górę. Wskoczył na stanowisko zastępcy komendanta głównego.

Tymczasem w sprawie wydarzeń z 11 i 18 listopada wszczęto – uwaga, uwaga! – sześć postępowań dyscyplinarnych. Jedno zakończono – bez ukarania funkcjonariusza. Trudno nie odnieść wrażenia, że ktoś tu sobie z nas kpi.

Jeśli potwierdzą się spekulacje i nadinsp. Dobrodziej zajmie miejsce insp. gen. Szymczyka, wówczas będzie to nie tylko nagrodzenie najwyższym policyjnym stanowiskiem funkcjonariusza odpowiadającego bezpośrednio za skandaliczne zachowania policjantów, lecz także bardzo niepokojący sygnał co do dalszego kursu całej służby, która i tak już zdołała w ciągu ostatniego roku roztrwonić ogromną część swojego zaufania wśród obywateli. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

Jakub Wozinski

Bank Pekao SA przejął w ramach przymusowej restrukturyzacji Idea Bank należący do Leszka Czarneckiego. Właściciel nie składa broni i zapowiada walkę w sądach

Sylwestrowe

Jeden z najbogatszych Polaków zapewne jeszcze długo będzie wspominał sylwestrowy wieczór kończący rok 2020. W czasie, gdy tak jak większość osób był już zapewne myślami przy noworocznej imprezie, Bankowy Fundusz Gwarancyjny ogłosił o godz. 17, że wszczyna przymusową restrukturyzację Idea Banku. To, że decyzję podjęto w tak niecodziennych okolicznościach, budzi dziś ze strony obrońców Czarneckiego wiele zastrzeżeń. Sugeruje się, że przejęcie zostało dokonane z zaskoczenia i bez uwzględnienia bieżącej kondycji banku.

POTĘŻNE STRATY I NADZÓR KNF

W rzeczywistości Idea Bank znajdował się w bardzo trudnej sytuacji finansowej już od wielu miesięcy. W 2018 r. zanotował aż 1,9 mld zł straty i posiadał zaledwie 194 mln zł kapitałów własnych przy prawie 21 mld zł aktywów, co oznaczało, że jego zabezpieczenie kapitałowe było na poziomie wielokrotnie niższym niż wymogi określone przez przepisy. Komisja Nadzoru Finansowego objęła bank nadzorem, umieściła w nim kuratora i wymusiła wdrożenie planu naprawczego, zakładającego m.in. redukcję zatrudnienia o połowę. Efekty tych działań były jednak zdaniem urzędników niewystarczające. Wprawdzie Leszek Czarnecki zastrzega, że w ostatnich dwóch kwartałach Idea Bank zdołał wypracować zysk (odpowiednio 5,7 i 1,3 mln zł), lecz kwoty te, delikatnie mówiąc, nie są porażające. Biznesmen twierdzi także, że wobec trudnej sytuacji podległej mu instytucji dokapitalizował ją kwotą 156 mln zł, lecz – jak przekonuje Komisja Nadzoru Finansowego – nie ma to żadnego odzwierciedlenia w faktach. Większość tej kwoty miała być efektem dekonsolidacji podmiotów należących uprzednio do Idea Banku. Dodatkowo Czarnecki obiecywał także dalsze dokapitalizowanie kwotą 200 mln zł, lecz do tego nigdy nie doszło.

Od wielu miesięcy trwał tak naprawdę spór między właścicielem banku a władzami finansowymi o ocenę faktycznej kondycji banku. Czarnecki starał się przekonywać, że Idea Bank wychodzi właśnie na prostą, dlatego KNF zdecydowała się wynająć firmę doradczą PwC Advisory, która miała w sposób niezależny ocenić faktyczny stan Idea Banku. Okazało się, że na dzień 31 sierpnia 2020 r. kapitały własne banku wynosiły minus 482,8 mln zł. W praktyce oznaczało to, że przy ewentualnej próbie sprzedaży właściciel nie mógłby żądać od nabywcy ani złotówki, gdyż zobowiązania przewyższały aktywa.

Dostrzegając tę trudność, Bankowy Fundusz Gwarancyjny starał się od dłuższego czasu o to, aby któryś z wiodących polskich banków przejął Idea Bank i tym samym uchronił cały sektor bankowy przed większymi kłopotami. Świat bankowości to system naczyń połączonych i niewypłacalność jednego podmiotu może szybko rozlać się po całym systemie. Obecnie ma to tym większe znaczenie, że polskie banki również odczuły pandemię koronawirusa i borykają się z trudnościami. Jednak nikt poza Bankiem Pekao nie

eprasa.pl bbf3cf9c28

przejęcie

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

chciał podjąć się tego dzieła. Decyzję BFG o przymusowej restrukturyzacji i przejęciu Idea Banku prezes ING Banku Śląskiego Brunon Bartkiewicz skomentował słowami uznania, że przejmujący podmiot podjął się tak trudnego zadania, gdyż – w jego opinii – cały sektor bankowy już od dawna czekał na to, żeby związana z Idea Bankiem niepewność znalazła wreszcie swój finał.

Rzecz jasna, Bank Pekao nie usunie wspomnianej niepewności za darmo. Bankowy Fundusz Gwarancyjny przyznał mu 193 mln zł dotacji na przeprowadzenie restrukturyzacji. Władze finansowe pomogły także nabywcy uporać się z najbardziej toksycznymi aktywami, a więc roszczeniami osób, które za pośrednictwem Idea Banku nabyły wcześniej obligacje GetBack, czyli innego podmiotu należącego wcześniej do Leszka Czarneckiego. Bank Pekao nie musi przejmować tych roszczeń, lecz BFG zastrzega w oficjalnym komunikacie, że nie uległy one przedawnieniu i nadal będzie można ich dochodzić.

WZLOTY I UPADKI MILIARDERA

W oświadczeniu opublikowanym przez Komisję Nadzoru Finansowego czytamy, że „o ile już sytuacja finansowa (w szczególności kapitałowa) Banku prezentowana przez sam Bank przedstawiała się źle, o tyle obraz wynikający z obiektywnego oszacowania dokonanego przez niezależny, renomowany podmiot okazał się dalece gorszy". Jeszcze w 2015 r. Idea Bank klasyfikowano jako 17. największy w Polsce, a wartość jego aktywów dynamicznie rosła. Jak więc doszło do tego, że w ciągu zaledwie kilku lat sytuacja zmieniła się tak diametralnie?

Idea Bank stanowił jeszcze do niedawna zaledwie jeden z komponentów imperium dr. Leszka Czarneckiego, który u szczytów swojej finansowej potęgi w 2014 r. z majątkiem w wysokości ok. 6,4 mld zł był tuż za podium rankingu najbogatszych Polaków. Większość not biograficznych biznesmena zawiera informację, że jego pierwsza firma zajmowała się prowadzeniem robót podwodnych, a wobec braku większej konkurencji miała mu pomóc w dorobieniu się pierwszych większych pieniędzy. Jak jednak informowała w 2008 r. „Rzeczpospolita", Czarnecki miał wcześniej przez 13 lat współpracować z komunistyczną Służbą Bezpieczeństwa. Zgodnie z informacjami przekazanymi przez dziennik w dokumentach IPN widnieje informacja, że biznesmen najpierw był zarejestrowany jako TW „Ernest", a później jako kontakt operacyjny „Ternes".

W 1991 r. Czarnecki założył Europejski Fundusz Leasingowy, który wprowadził później z sukcesem na giełdę, aby ostatecznie sprzedać francuskiemu Credit Agricole. Zarobione środki ponownie zainwestował, tym razem tworząc Getin Holding i przejmując kolejne podmioty finansowe nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie. W ramach powstałej w ten sposób grupy funkcjonował m.in. sprofilowany pod zamożniejszych klientów Noble Bank, a także nastawiony na finansowanie małych i średnich przedsiębiorstw Idea Bank. Prawdziwym symbolem wielkich ambicji Czarneckiego stał się w tym czasie wznoszony we Wrocławiu przez podległą mu firmę ponad dwustumetrowy wieżowiec Sky Tower.

Wspólnym mianownikiem większości biznesów rozwijanych przez Leszka Czarneckiego było od samego początku skupienie uwagi na chęci osiągnięcia szybkich zysków. Jego banki łatwo pozyskiwały nowych klientów, których kuszono m.in. wysokim oprocentowaniem depozytów. Początkowo obroty

eprasa.pl bbf3cf9c28

bardzo szybko rosły, lecz musiało się to w końcu przełożyć na kondycję finansową. Biznesmen w pewnym sensie przyzwyczaił się do tego, że szybki sukces finansowy jednej firmy pozwala rozkręcać kolejne obszary działalności, lecz ten mechanizm w pewnym momencie przestał działać.

AFERA GETBACK I RATOWANIE BIZNESU

Pierwsze poważne problemy finansowe Czarneckiego zaczęły się w 2015 r. wraz ze zmianą kursu franka szwajcarskiego, który zagroził spłacie wielu kredytów udzielonych przez jego banki w tej walucie. Kolejnym ciosem była afera GetBack, czyli firmy zarządzającej wierzytelnościami. Jej model działalności zakładał sprzedaż wysoko oprocentowanych obligacji. W 2014 r. Idea Bank, którego przewodniczącym Rady Nadzorczej był właśnie Leszek Czarnecki, nabył GetBack i – jak przekonuje KNF – sprzedawał jego instrumenty finansowe, które nie były objęte gwarancją Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Czarnecki po dwóch latach sprzedał GetBack funduszowi Abris, a w 2018 r. wybuchła afera – okazało się, że firma ma kłopoty z płynnością. Sprawą zajęła się prokuratura, która ustaliła, że klientów Idea Banku wprowadzano w błąd co do bezpieczeństwa transakcji i braku odpowiednich zezwoleń. Straty w aferze szacuje się na 2,6 mld zł, a postępowanie w tej sprawie toczy się wciąż przed Sądem Rejonowym w Warszawie.

W finansowym imperium Czarneckiego, którego wartość w ciągu ostatnich lat stopniała do zaledwie kilkuset milionów złotych, nieciekawie działo się jednak jeszcze przed wybuchem afery GetBack. Już w 2017 r. media donosiły o rzekomym zamiarze sprzedaży części lub nawet całości udziałów w Idea Banku przez wrocławskiego biznesmena. Wcześniej sprzedał także swoją firmę deweloperską. Jak można było domniemywać, Czarnecki chciał skupić się przede wszystkim na ocaleniu Getin Noble Banku. Sprzedaż pozostałych podmiotów miała pomóc dokapitalizować flagową inwestycję, która początkowo przynosiła średnio kilkaset milionów złotych zysków rocznie, lecz od 2016 r. notuje głównie straty, a kurs jej akcji jest wciąż dramatycznie niski.

W tych właśnie okolicznościach w listopadzie 2018 r. wybuchła kolejna afera związana z opublikowanym przez „Gazetę Wyborczą" zapisem rozmowy, jaką Leszek Czarnecki odbył z ówczesnym szefem Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Chrzanowskim. Ów poinformował właściciela Idea Banku, że szef BFG Zdzisław Sokal miał powziąć plan, w ramach którego Getin Bank powinien upaść i zostać przejęty „za złotówkę". Powołując się na wypowiedź Chrzanowskiego, Czarnecki konsekwentnie przedstawia siebie jako ofiarę wymierzonego w niego planu. W oświadczeniu, które po sylwestrowej decyzji BFG opublikował biznesmen, czytamy: „Jako większościowy właściciel banku odbieram działania BFG i KNF jako realizację tzw. Planu Zdzisława Sokala, który został mi przedstawiony przez poprzedniego szefa KNF pana Marka Ch. jako groźba, która miała zostać zrealizowana wtedy, gdy nie opłacę ogromnej ok. 40-milionowej łapówki na rzecz osoby powiązanej z szefem KNF. Ponieważ nie zgodziłem się na propozycję korupcyjną i nie ugiąłem się nawet pod groźbą aresztu współpracować z obecną ekipą rządową w planach przejmowania niezależnych mediów przez spółki Skarbu Państwa, realizuje się plan wywłaszczenia mnie z majątku".

STANDARDOWA PROCEDURA

Czarnecki przekonuje, że kłopoty Idea Banku wynikają m.in. z tego, że Komisja Nadzoru Finansowego nie wykazywała woli przyjęcia realizowanego planu naprawczego. Przyjęta przez niego linia obrony sugeruje nadto, że dokonanie przymusowej restrukturyzacji spadło na bank niczym grom z jasnego nieba. Tymczasem nawet w oficjalnych sprawozdaniach finansowych spółki znaleźć można informację, że władze banku liczyły się z możliwością podjęcia właśnie takich działań, na jakie zdecydował się ostatecznie BFG.

Czarnecki zapowiedział, że nie godzi się z taką decyzją i zamierza odwołać się od podjętej decyzji do Wojewódzkiego Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Wydaje się jednak, że decyzja BFG ma silne podstawy prawne, gdyż cała procedura przymusowej restrukturyzacji to część unijnej dyrektywy BRRD przyjętej w następstwie kryzysu finansowego z 2008 r. W całej Europie z procedury tej skorzystano już kilkunastokrotnie, a w Polsce dwa razy przy okazji upadłości banków spółdzielczych. Zgodnie z formalnymi wymogami, decydując się na taki krok, musiały być spełnione trzy warunki: zagrożenie upadłością, brak przesłanek, że działania naprawcze pozwolą usunąć zagrożenie, oraz konieczność zapewnienia stabilności całego sektora finansowego. W opinii wielu ekspertów Idea Bank już od wielu lat nie spełniał podstawowych wymogów regulacyjnych, a jego ewentualny upadek wiązałby się ze sporymi kosztami dla całego sektora.

Przymusowa restrukturyzacja Idea Banku oznacza, że umorzone zostały wszystkie jego akcje i obligacje, których wartość wynosi 216 mln zł. Na odwołanie ich właścicielom pozostawiono czas jedynie do 7 stycznia. W praktyce kurs akcji banku i tak pozostawał już od wielu miesięcy na bardzo niskim poziomie, a kondycja finansowa dawała jedynie iluzoryczne nadzieje na spłatę jakichkolwiek zobowiązań.

W opublikowanym niedawno wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Czarnecki określa działania regulatorów rynku finansowego mianem „nacjonalizacji podszytej odwetem". Tego typu sytuacje zdarzały się już jednak wcześniej w wielu innych krajach i miały na celu przede wszystkim zapobiegnięcie jeszcze większym kłopotom całego sektora finansowego.

W 2017 r. przymusową restrukturyzację przeszedł nawet piąty pod względem wielkości bank Hiszpanii Banco Popular, posiadający ok. 4,6 mln klientów. W kryzysowym momencie został przejęty przez Santander. W tym przypadku znajdujący się w tarapatach podmiot został przejęty przez bank prywatny, a nie państwowy, gdyż mimo wszystko znajdował się w lepszej sytuacji i trzeba było za niego zapłacić miliard euro. W przypadku Idea Banku, jak wykazał raport PwC Advisory, właściciel nie mógł właściwie żądać od ewentualnego nabywcy żadnych pieniędzy. W tej perspektywie nie dziwi więc to, że podejmowane w ostatnim czasie próby sprzedaży Idea Banku, o których donosiły media, nie dochodziły do skutku, gdyż znalezienie nabywcy banku znajdującego się w takiej sytuacji było w zasadzie niemożliwe.

Zgodnie z zapowiedzią reprezentującego Leszka Czarneckiego mec. Romana Giertycha szykowane są działania przeciwko członkom zarządu Banku Pekao SA. Jeśli nie uiszczą dobrowolnie kwoty 300 mln zł, to przeciwko nim mają być skierowane pozwy do sądu. Mecenas odżegnuje się od nazywania tego groźbą, choć takie skojarzenia nasuwają się same.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA MOTO G 5G

Długi czas działania na jednym ładowaniu, niemal czysty Android 10 oraz stosunkowo niewielka cena jak na telefon wyposażony w moduł łączności 5G – to największe zalety jednego z najnowszych modeli klasy średniej amerykańskiej marki.

Największą zaletą testowanego modelu jest moduł łączności 5G, który w dużych miastach pozwala dużo sprawniej korzystać z Internetu. Drugi na liście największych plusów jest akumulator o pojemności aż 5000 mAh, do którego producent dorzucił w zestawie teoretycznie szybką ładowarkę 20 W (choć czas ładowania mógłby być jednak krótszy). Testowany smartfon powinien więc wytrzymać dwa dni na jednym ładowaniu przy standardowym, niezbyt intensywnym użytkowaniu.

Wyświetlacz o przekątnej 6,7 cala i rozdzielczości 2400 x 1080 oferuje dobrą jakość obrazu, wysoki kontrast i wystarczającą do pracy w słoneczny dzień maksymalną jasność. Szkoda jednak, że częstotliwość odświeżania wynosi tylko 60 Hz, czyli tyle, ile oferują smartfony z niższej półki cenowej.

Cieszy za to niemal czysty Android 10. Dzięki tylko niewielkim modyfikacjom systemu operacyjnego smartfon Motoroli pracuje stabilnie, chociaż pod ekranem nie ma zamontowanych najbardziej wypasionych podzespołów. Procesor Snapdragon 750G jest też wystarczająco wydajny na użytek najczęściej używanych aplikacji (choć jeśli ktoś chciałby uruchomić zaawansowane gry, to powinien poszukać dużo droższego flagowca).

Testowany smartfon jest też wyposażony w moduł NFC (konieczny z punktu widzenia miłośników bezprzewodowych płatności), Dual SIM (dla osób, które mają dość noszenia prywatnego i służbowego telefonu), radio FM oraz klasyczne gniazdo słuchawkowe Jack 3,5 mm.

Na tylnej części obudowy Motorola Moto G 5G ma też ukryty czytnik linii papilarnych, który działa szybko i poprawnie.

Z tyłu dostrzec można też wyspę z czterema obiektywami. Jakość zdjęć, jak to w przypadku tańszych modeli Motoroli, niczym szczególnym nie zachwyca. Główny aparat z matrycą o rozdzielczości 48 MP w słoneczne dni pozwala jednak robić naprawdę przyzwoite fotografie. Gorzej radzi sobie ultraszerokokątny obiektyw z matrycą 8 MP i jasnością na poziomie f/2.2.

Jakość nagrań wideo również jest co najwyżej średnia, ale w codziennym użytkowaniu wielu osobom może wystarczyć.

Minusy? Testowany smartfon ma zaledwie 4 GB pamięci RAM. To mało nie tylko jak na przedstawiciela średniej półki cenowej, przez co nawet zagorzali miłośnicy wielozadaniowości będą musieli nauczyć się skupiać w danej chwili na wykonywaniu tylko jednego zadania.

Motorola Moto G 5G nie należy też do najcieńszych na rynku (jej wymiary to 76 x 166 x 9,9 mm) – na szczęście smartfon jest dobrze wyprofilowany, dzięki czemu dobrze leży w dłoni. Poza tym znajdujące się w zestawie przezroczyste etui jest przycięte równo z krawędziami, przez co słabo chroni ekran (choć samo etui w zestawie to oczywiście plus). Wadą jest też brak wodoszczelności obudowy.

W skrócie: Motorola Moto G 5G to całkiem niezły średniak, który mimo minusów pozwala cieszyć się z technologii 5G za niezbyt wygórowane pieniądze. Jego cena wynosi 1299 zł.

©℗ ***Jacek Przybylski***

MASECZKA Z MIKROFONEM

MaskFone – a więc maska łącząca funkcję ochrony przed wirusami (z wymiennym filtrem N95) z możliwością komfortowego prowadzenia rozmów telefonicznych – została przez ekspertów portalu ZDNet uznana za jeden z najlepszych gadżetów, który pozwoli zadbać o zdrowie w roku 2021. Urządzenie ma ukryty w masce mikrofon, a także parę wystających bezprzewodowych słuchawek. Urządzenie łączy się ze smartfonem poprzez Bluetooth. Dzięki klasie wodoszczelności IPX5 bez problemu powinno też przetrwać deszcz. Cena to 50 dol., czyli równowartość niemal 200 zł.

ZŁOTA PLAYSTATION 5

Najnowsza konsola Japończyków w 2020 r. wyprzedała się na pniu. Sony zapowiedziało więc znaczne zwiększenie produkcji w roku 2021. Tymczasem tylko w jednym egzemplarzu została wyprodukowana PlayStation 5 w wersji „Golden Rock" przygotowana przez rosyjską firmę jubilerską Caviar. To standardowa PlayStation 5, która została pokryta ośmioma warstwami 18-karatowego złota o wadze ok. 20 kg. Kontrolery do konsoli zostały obłożone krokodylą skórą oraz wstawkami ze złota. Cena nie została oficjalnie ujawniona, ale zabawka musi kosztować grubo ponad 160 tys. zł, bo tyle wart jest sam kruszec, którym została przyozdobiona. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. FREDERIC SOULOY/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

Splendor i zmierzch

Joanna Bojańczyk

– Nie piję, nie palę, nie gram w karty, nie lubię sportu. Zajmuję się tylko pracą, to moja rozrywka – powiedział Pierre Cardin. Prorok modernizmu w modzie i ubrań dla mas zmarł w Paryżu w wieku 98 lat

Pani redaktor, gdzie można zdobyć takie rajstopy? – po pokazie kolekcji Pierre'a Cardina w Sali Kongresowej dziewczyny otoczyły mnie zwartym kółkiem. Był rok 1991, francuski projektant przybył do Polski na zaproszenie miesięcznika „Twój Styl", gdzie prowadziłam dział mody. Gwiazdą pokazu, na którym pokazano retrospektywę projektanta, była Naomi Campbell. Modelki nosiły te najbardziej pożądane wtedy kolorowe rajstopy z połyskiem.

Nie mogłam pomóc, gdyż rajstopy razem z całą kolekcją przyjechały z Paryża.

W Warszawie nie do zdobycia. Był początek transformacji, gospodarka przestawiała się na nowe tory, handlowano ze straganów i łóżek polowych. Każdy towar z Zachodu przyjmowano z entuzjazmem i bezkrytycznie. Monsieur Cardin przybył do Warszawy osobiście i przyjmowano go z honorami. Kolacja na Zamku Królewskim, hołdy, zachwyty. Tylko redakcyjny kierowca, który obwoził gościa po Warszawie, nie okazał należytego szacunku: „Przyjazd tego Pierdę spowodował wielki chaos".

Takiego przyjęcia kreator nie miałby już wtedy nawet w ojczyźnie, choć wciąż był tam szanowaną, lecz lekko już przygasłą osobistością. Miał pod siedemdziesiątkę, lata splendorów dawno minęły, w modzie dyktowali teraz młodsi. Wciąż jednak się liczył. Można go było spotkać przy rue Royale u Maxime'a, w restauracji, która należała do jego licznych włości.

BIAŁE KOZACZKI

Na scenę wydarzeń wkroczył w latach 60., gdy moda zaczynała być siłą napędową popkultury. Świat żył wyścigiem o podbój kosmosu i przekonaniem, że kombinezony kosmonautów będą

eprasa.pl bbf3cf9c28

ubraniem przyszłości. Projekty Cardina: białe lub w kontrastowych kolorach sukienki o linii A, płaszcze o kulistym kształcie, z wielkim guzikami, kombinezony lotnicze przeczyły dotychczasowej spokojnej konserwatywnej modzie, ale były nowe, zaskakujące, wesołe. Materiały: winyl, nylon, papier robiły wrażenie. Do sukienek były plastikowe lakierowane kozaczki, których rodzime wersje od razu podchwycili warszawscy szewcy z Chmielnej.

Siła rażenia mody! Bez Internetu, ze skromną telewizją moda rozchodziła się wtedy po świecie w błyskawicznym tempie. Epicentrum był Paryż. Nowy Jork, Mediolan na mapie mody nie istniały, nie było influencerów i Małgorzaty Rozenek. Liczyły się rozkazy dyktatorów, ludzie chcieli ich słuchać. Pierre Cardin razem z André Courrègesem i Yves'em Saint Laurentem został ogłoszony prorokiem awangardy. Także najsłynniejszym kawalerem lat 60., któremu pikanterii dodawał romans z gwiazdą, aktorką Jeanne Moreau. Mniej ważne wydawało się, że był również autorem serii męskich garniturów, a dla zespołu The Beatles zaprojektował marynarki o kroju chińskiego żakietu.

PŁASZCZ BECZUŁKA

Pietro Costante Cardin urodził się 2 lipca 1922 r. w San Biagio di Callalta, miejscowości wypoczynkowej niedaleko Wenecji, w której rodzice spędzali wakacje. Dorastał w Saint-Étienne, w środkowej Francji, gdzie ojciec miał firmę handlującą winami. Chłopca nie ciągnęło do handlu i wysiłki ojca, żeby objął interes, spełzły na niczym. Rodzice dostrzegli jednak zainteresowania artystyczne syna i zgodzili się, żeby studiował architekturę. Pierre najpierw chciał zostać aktorem, potem przewekslował się w stronę mody. Przez jakiś czas asystował u krawca w Vichy, ale gdy wybierał się do Paryża, by tam rozwinąć skrzydła, wybuchła wojna. W jej trakcie pracował w administracji Czerwonego Krzyża.

Do Paryża wrócił w roku 1945, z mocnym zamiarem zostania projektantem. Najpierw zamierzał podszkolić się w zawodzie, potem otworzyć własną markę. Odbył praktyki u najbardziej znanych nazwisk ówczesnego kręgu krawców: Jeanne Paquin, Elsy Schiaparelli. Przez cztery lata – od 1946 do 1950 r. – projektował płaszcze i garnitury dla Diora. W tym samym czasie projektował też kostiumy teatralne, m.in. do filmu Jeana Cocteau „Piękna i bestia". Własną firmę założył, gdy dowiedział się, że z powodu likwidacji pracowni jest wolny strych w centrum Paryża. Wkrótce, w miarę jak House of Cardin rozwijał się i odnosił sukcesy, strych rozrastał się o kolejne lokale w budynku.

Pierwszą kolekcję geometrycznych sukienek i płaszczy uszytych z ciężkiej wełny pokazał w roku 1950. Były w niej płaszcz o beczułkowym kształcie, później ikoniczny dla marki, i równie znana baloniasta sukienka.

Ubierał elitę – artystów, polityków, celebrytów, zamożną burżuazję. Jego klientami były sławy tamtych lat – Cecil Beaton, Gregory Peck, Yul Brynner. Mężczyźni twierdzili, że garnitury Cardina – dopasowane do sylwetki z wąskimi nogawkami – świetnie podkreślają figurę. W roku 1966 otwarto sklep z linią męską w Nowym Jorku. W tym samym roku Reuters donosił, że obroty w konfekcji męskiej wyniosły 26 mln dol., sześć razy więcej niż damskiej.

KIERUNEK – AZJA

Cardin miał jednak większe ambicje. Chciał ubierać nie tylko gwiazdy, lecz także zwykłych ludzi. Stanowisko profesora w japońskim Bunka Fashion College objęte w roku 1958 stało się platformą do rozszerzenia sieci sprzedaży na Japonię. Zaraz po powrocie z Japonii Cardin urządza własne stoisko w paryskim domu towarowym Printemps. To precedens – wielcy krawcy nie zniżali się do poziomu domów towarowych. On przeczuwa, że masowa sprzedaż modnych ubrań to nieodkryta jeszcze perspektywa przyszłości, że apetytów na modę nabiorą rynki egzotyczne dla Francuzów: Azja i Europa Środkowa. Pod koniec lat 60. marka Pierre Cardin działa już w Chinach. W późnych latach 60. w jego kolekcjach pojawiają się spodnie. Wysokie krawiectwo uznaje, że kobieta ma do nich prawo. Niosąc sztandar feminizmu i nowoczesności, Cardin zostaje pierwszym zachodnim projektantem, który wchodzi na rynek radziecki. Produkcja odbywa się w radzieckich fabrykach, sprzedaż w moskiewskich butikach.

Jednak zejście z wysokości salonów haute couture do poziomu mody popularnej powoduje, że Cardin zostaje wyrzucony z elitarnego Chambre Syndicale de la Haute Couture Parisienne. Nie jest tym specjalnie zmartwiony. Francuskie fabryki już kopiują jego projekty. Po kilku latach, gdy jego zasługi dla mody zostają docenione, a cały świat wzoruje się na jego pomysłach, członkostwo zostaje przywrócone.

Jednak ubrania to za mało dla niespożytej energii pana Cardina. Zamierza on postawić swoje imprimatur na kolejnych produktach przemysłowych. Następnym krokiem zostają więc meble i samochody. Dumnie prezentuje się samochód Simca z wnętrzem projektu Cardina, plastikowe biurko, które można rozebrać i ponownie złożyć, fotelik dziecięcy z pianki poliuretanowej, który można przekształcić w kanapę. W roku 1970 Cardin kupuje zapuszczony klub nocny Théâtre des Ambassadeurs na Polach Elizejskich. Remontuje go i przekształca w „przestrzeń Cardina" (Espace Cardin), miejsce prezentacji swoich pomysłów i projektów. To także działalność pionierska – połączyć różne dziedziny produktów konsumpcyjnych, nadać im modny kształt i kolor. I markę: Pierre Cardin oczywiście.

W latach 80. i 90. Cardin wciąż odcina kupony od dawnych pomysłów i mnoży licencje. Ma ich ponad 500: krawaty, majtki, patelnie, fartuchy, słoiki… Ilość nie przechodzi niestety w jakość, wręcz odwrotnie. Renoma marki słabnie. Dla podbicia popularności mistrz organizuje szumne pokazy: w Moskwie, na pustyni Gobi. W jego projektach trudno jednak znaleźć coś nowego. W Paryżu jego nazwisko jest tylko wspomnieniem, na pokazy przychodzi małe grono znajomych. Gdy w roku 1981 mistrz kupuje legendarną restaurację Maxime, Francuzi boją się, że stanie się ona tylko kolejną maszynką do zarabiania pieniędzy.

W odróżnieniu od większości znanych projektantów Cardin nie miał partnera finansowego. Działał sam. Dzięki długoletniej obecności na rynku i zręczności finansowej stał się bogatym człowiekiem. Inwestował w nieruchomości: mieszkania w Paryżu, willę, domy niedaleko Cannes, pałac w Wenecji, nieruchomości w Mediolanie, Rzymie, Brukseli, Barcelonie. Kupił zamek wcześniej będący własnością Markiza de Sade w Lacoste we Francji i zorganizował tam festiwal muzyczny… W roku 2016 żądał miliard dolarów za prawa do swoich licencji. Nie wiadomo, czy ktoś je kupił.

– Nie piję, nie palę, nie gram w karty, nie lubię sportu. Zajmuję się tylko pracą, to moja rozrywka – powiedział kiedyś. Warto było.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bbf3cf9c28

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sicz zaporoska

Sicz była warownym obozem Kozaków zaporoskich na Dnieprowym Niżu, za porohami. Istniała ponad dwa wieki, rujnowana, zdobywana, przenoszona z miejsca na miejsce, zanim w 1775 roku ostatecznie zniszczyła ją Moskwa w osobie carycy Katarzyny i jej wojsk.

W tym miejscu Zaporożcy naradzali się nad planami wypraw, wybierali atamanów i pułkowników, bronili przed wrogiem, przechowywali broń i zapasy. Skąd wzięła się nazwa? Do dzisiejszych czasów nie ma lepszej definicji niż zaproponowana przez Władysława A. Serczyka. Słowo „sicz" znaczyło tyle co „siec", „rąbać"; dawniej oznaczało po prostu zasieki i fortyfikacje. W użyciu był też inny termin – tatarski „kosz", który oznaczał po prostu stado lub częściej obóz wojskowy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pierwszą sicz zbudował ok. 1550 r. Dymitr Bajda-Wiśniowiecki, starosta czerkaski, na wyspie Chortycy, jednak została ona szybko zdobyta i zniszczona przez Tatarów. Do dziś nie wiadomo, czy było to miejsce, w którym spotykali się Kozacy, czy też tylko ufortyfikowany zamek, w którym gromadził łupy awanturniczy starosta. W 1557 r. Wiśniowiecki został tutaj oblężony przez wojska chana Dewleta Gireja i odparł atak. Dopiero w roku następnym, kiedy Tatarzy ponownie wyprawili się na Chortycę, a Bajdzie zabrakło żywności i prochu, wycofał się z wyspy do Czerkas.

Pierwsza poświadczona źródłowo sicz powstała w latach 80. XVI stulecia na Tomakówce. Była to forteca wzniesiona na wyspie lub też na prawym brzegu Dniepru tuż przy wspomnianym ostrowiu. Dzieło otoczono wałami i zasiekami. Na tej Siczy odbywały się pierwsze koła Zaporożców, którzy jednak zbierali się także w innych miejscach – na przykład na Czortomliku czy pomiędzy Chortycą i Tomakówką. Sicz tę zdobyli i zniszczyli Tatarzy w roku 1593. Wówczas Kozacy zbudowali kolejną – tym razem na Bazawłuku czyli na wyspie w pobliżu Czortomliku. Otoczona była drewnianą palisadą, przed którą usypano wały ziemne i zbudowano wieże strażnicze uzbrojone w armaty. W stepach dokoła wzniesiono także dodatkowe baszty, na których czuwały kozackie czujki. W razie zbliżania się wroga, podpalały one suchą trawę lub chrust i w ten sposób ostrzegały siczowe towarzystwo przed niebezpieczeństwem.

Sicz na Bazawłuku odegrała bardzo ważną rolę w czasach kozackich powstań i wypraw na Turków, Tatarów i Moskwę. Jednak wybudowanie przez władze polskie twierdzy Kudak, która przecinała szlaki wiodące z ukraińskiej włości na Zaporoże sprawiło, że Kozacy porzucili dotychczasowy obóz i wznieśli Sicz Mikityńską, która przetrwała aż do czasów powstania Bohdana Chmielnickiego, a dokładnie do 1652 r. Wówczas bowiem zbudowano kolejną sicz u ujścia Czortomłyku, zwaną Starą Siczą, gdyż przetrwała do roku 1709, kiedy została zdobyta i zniszczona przez wojska moskiewskie z zemsty za przejście hetmana Iwana Mazepy na stronę szwedzką.

Kolejne – Kamieńska i Oleszkowicka – działały z przerwami od 1711 do 1734 r., w związku z odejściem Kozaków pod protekcję Chanatu Krymskiego. Później, po podpisaniu ugody w Łubniach i powrocie pod władzę carów, wzniesiono Sicz zwaną Nową, między Bazawłukiem i Czortomłykiem. Była to już ostatnia; wraz z jej zniszczeniem likwidacji uległa organizacja Kozaków zaporoskich.

Kto mieszkał na siczy? Przede wszystkim mołojcy należący do „siczowego towarzystwa" lub bractwa. Byli to Zaporożcy, którzy nie zaliczali się ani do Kozaków rejestrowych, posiadających własne gospodarstwa na Ukrainie, ani do wypiszczyków, także gospodarujących na włości, ale nie mających żadnych praw. Zazwyczaj byli to najlepiej zaprawieni w bojach Zaporożcy. Jak podaje Petro Sas, aby zostać jednym z nich, każdy nowo przybyły musiał najpierw odbyć z Kozakami kilka wypraw jako młodzik, sługa lub pachołek, a oprócz tego jeździć konno, władać szablą, „spisą dobrze kłuć" i celnie strzelać z rusznicy. Kandydat musiał przebyć także próby męstwa – przepłynąć w czółnie dnieprowe porohy i wziąć udział w przynajmniej jednej morskiej wyprawie. Do „towarzystwa" zaliczano tych Kozaków, którzy mieli staż wojskowy przynajmniej dwuletni i którzy dodatkowo od co najmniej pięciu lat byli niezależni od szlachty lub mieszczan.

Jak wielu było tych Zaporożców? Około 500, z czego tylko część spędzała zimę na siczy – reszta rozchodziła się po dnieprowym niżu, zajmując się polowaniem, połowem ryb, handlem, czasem hodowlą. Gdy ogłaszano wyprawę, pierwsi zwykle przybywali do obozu, byli też niezwykle wpływowi i nieraz potrafili narzucić swoje zdanie starszyźnie. Z nich rekrutował się najbardziej krnąbrny element kozaczyzny, zalążek wszystkich powstań i buntów. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

RODZINNE PRZEPISY CZARNECKICH

Mamy kilka sprawdzonych przepisów rodzinnych. Jednym z nich jest receptura na ciastka cioci Janiny. Ciocia Janina była jednym z 16 dzieci mojego pradziadka Bielińskiego, który miał 15 synów i 16. córkę. To moja cioteczna babcia, która zawsze w rodzinie funkcjonowała jako ciocia. Przepis, który państwu podaję, zapewne nie został przez nią wymyślony, ale ciocia te ciastka rozpropagowała i od lat funkcjonują w rodzinie właśnie jako ciastka cioci Janiny. Drugi z przepisów to efekt lat prób, błędów i doświadczeń wielu osób, w których mam swój udział. To pasztet, który wymaga użycia czterech rodzajów mięs i aż 15 jaj. Przygotowuję go więc na absolutnie specjalne okazje.

Pasztet Ryszarda
Składniki:

- 1,5 kg wołowiny
- 1,5 kg wieprzowiny
- 1 kg (maksimum) dziczyzny
- 4 udka kurczaka
- kajzerka
- 15 jaj
- gałka muszkatołowa, pieprz, sól

Przygotowanie:

Mięso obsmażyć i dusić w garnku, po ostygnięciu zmielić. Kajzerkę wymoczyć w sosie po mięsie i także zmielić oraz zmieszać z mięsem. Dodać 15 (sic!) żółtek jaj, doprawić do smaku gałką muszkatołową, pieprzem (ja nie przepadam, daję mało) i solą. Z białek ubić pianę i wymieszać z mięsem. Bardzo wiele osób popełnia błąd i dodaje do pasztetu całe jajka, a powinno się właśnie oddzielić żółtko od białka i białko osobno ubić na pianę. To bardzo ważne, dzięki temu pasztet nie będzie taki suchy, będzie też bardziej sprężysty. Przekładamy do foremki, pieczemy w 180 st. C przez godzinę.

Ciastka cioci Janiny
Składniki:

- 1 kg mąki
- 2 kostki masła
- 3 jajka
- 10 dag drożdży
- 2 łyżki gęstej śmietany
- cukier

Przygotowanie:

Wszystkie składniki połączyć ze sobą, dobrze wyrobić na stolnicy i odstawić do lodówki na pół godziny (to ciasto rośnie w lodówce, a nie w cieple). Po wyjęciu uformować ciastka w kształcie małych, krótkich wałeczków, obtoczyć w cukrze (zwykłym, nie w cukrze pudrze!) i ułożyć na blaszce. Piec w temperaturze 180 st. C przez 15 min.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

oprac. raw
Ryszard Czarnecki jest europosłem PiS.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na bogato

Nie mam zamiaru odbierać chleba naszym wspaniałym recenzentom filmowym – Piotr Gociek wybaczy mi ten kawałek, który nie rości sobie prawa do recenzji. Namówiona przez znajomych obejrzałam serial „Od nowa". Wprawdzie już dawno obiecałam sobie nie oglądać amerykańskiej serialowej mielonki spod znaku Netflixa czy HBO, ale namawiali, że dobry (świetni aktorzy, doskonałe montaż i dialogi, piękne zdjęcia, no i fabuła wielowarstwowa i dająca do myślenia)... Siedliśmy zatem z panem Bojańczykiem przed naszym nowym 65-calowym telewizorem. Już po pół godzinie wiedzieliśmy, że będzie to męka. Mniej więcej wiadomo, że obsadzenie w głównych rolach Nicole Kidman i Hugh Granta niczego poza banałem i oglądalnością nie obiecuje. Słowo dotrzymane. Plastikowa Nicole, w której twarzy nie drgnie żaden mięsień, żywy dowód, że nawet droga chirurgia estetyczna pozostawia twarz porcelanowej lalki. Grant, który jako głównego środka wyrazu używa swego firmowego krzywego uśmieszku/grymasu. Zastanawiam się, czy go ubezpieczył. Do tego nieprawdopodobny scenariusz, przewidywalne sytuacje, banalne dialogi…

Ale dlaczego o tym piszę? W tym serialu, który dzieje się współcześnie, pokazana jest nowojorska upper class. To jest klucz do sukcesu. Tego serialu, podobnie jak innych tej kategorii. „Małe wielkie kłamstewka", „Sukcesja" pokazują życie amerykańskich

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

bogaczy. Panie są wystrojone w najdroższe ciuchy (lokowanie produktów), wnętrza wypasione w stylu górnego wschodniego Manhattanu. Czytaj – tak, żeby było jak w Europie, ale na bogato. Żaden włosek nie drgnie, na końcu wyświetla się długa lista dostawców ubrań. Wszystko jest absolutnie dosłowne i tak sztuczne, że wygląda jak z papier mâché.

Telewidz pragnie widoków tego ekskluzywnego życia. Co jedzą, jak się ubierają, jakie mają domy, jak się zachowują. „Downton Abbey" wygenerowało modę na kamerdynera, „Seks w wielkim mieście" – modę na zawrotnie wysokie szpilki. Bohaterowie serialu o rodzimej socjecie „Magda M." wiedli życie eleganckie i nierealne w równie nierealnej Warszawie. Stali się wzorem do naśladowania dla młodych aspirujących do klasy średniej i mieszkania z widokiem na plac Trzech Krzyży.

Pomagają w tym: kiedyś powieści, teraz – seriale. Zaglądają do wnętrza tego świata, wytyczają wzory. O tym była „Trędowata". O hrabiach złych, nikczemnych, nawet głupich, ale jakże eleganckich. Mit powieści dla kucharek wciąż miewa się nieźle. Ja już wolę „M jak miłość". ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ballada o kierowniczce mięsnego

Kiedy byłem mały – a było to w mrocznych czasach stanu wojennego i chudych latach 80. – moja rodzina sąsiadowała przez ścianę z kierowniczką sklepu mięsnego. Pani Zosia była prawdziwym VIP-em. Wynikało to z niedoboru towaru, którym handlowała. Każdy chciał ją znać, każdy chciał się z nią lubić. Każdy chciał bowiem zjeść kotleta na niedzielny obiad.

Mieliśmy to szczęście, że pani Zosia nas lubiła. Często po sąsiedzku wpadała na ploteczki, a po tych wizytach zostawały zawiniątka opakowane w przesączony tłuszczem papier. Dzięki niej nie byłem jak to dziecko z „Misia", które baleron oglądało w teatrze.

My nie mogliśmy zaoferować jej nic w zamian, ale pani Zosia utkała misterną sieć powiązań pomocnych w rozmaitych sytuacjach życiowych. Tutaj zostawiła trochę żeberek dyrektorce szkoły, do której chodziły jej dzieci, kiedy indziej pomogła milicjantowi, który szykował wesele córki, albo załatwiła szynkę na święta dewizowcowi, który wrócił z kontraktu w Libii. Miała też świetne układy z kierownikami innych sklepów sprzedających rzeczy, których nigdy nie było (pralki, telewizory itp.). Prędzej czy później korzystała na tych kontaktach.

Najbardziej ekscytowała ją jednak współpraca z aktorami znanymi z telewizji oraz dziennikarzami znanymi z prasy. Opowiadała o swoim mięsnym wsparciu dla ludzi mediów i kultury (w tamtych czasach nawet aktorzy nie byli wege i pożądali kiełbasy podwawelskiej) trochę tak, jak dziś opowiada się o dalekich podróżach, gdy mimochodem rzucamy, że się było w Patagonii albo na Alasce. Pani Zosia z kontaktów z ówczesnymi celebrytami nie czerpała wymiernych korzyści. Dowartościowywało ją jednak to, że ocierała się o „wielki świat" i mogła zaimponować nam, maluczkim, opowieściami o znanych aktorkach, z którymi była po imieniu po załatwieniu kolejnej porcji schabu i które okazywały się równymi babkami.

Ciekawe, że magii gęby znanej z telewizji ulegała kiedyś kierowniczka mięsnego, a dziś ulega medyczna profesura. Deficytowy towar zupełnie inny, ale mechanizm bardzo podobny. Szczerze mówiąc, w tej całej historii to wydało mi się jakoś szczególnie żenujące. Gdyby profesorowie medycyny załatwiali te kolejki do szczepionki profesorom innych dyscyplin, to byłoby to oburzające, ale nie infantylne. Odgrywanie jednak roli groupie, która chce oddać gwieździe to, co ma najcenniejszego, jakoś boli. Oznacza bowiem, że ludzie, którzy stanowią autentyczną elitę, też dowartościowują się znajomościami z celebrytami. W przypadku kierowniczki sklepu mięsnego jest to jakoś zrozumiałe. W przypadku profesury medycznej raczej przygnębia. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Szczepienia dla kwiatu narodu

Jeśli ktoś sądzi, że tzw. afera szczepionkowa dotyczy niejasnych kryteriów dystrybucji specyfików oraz „nieudanej akcji promocyjnej", to jest – jak mawiał klasyk – w mylnym błędzie.

W istocie mamy do czynienia z czymś znacznie głębszym: jednym z najjaskrawszych od lat sporów pokoleniowo-klasowych w Polsce. Wojna dziadersów z millennialsami, właśnie na płaszczyźnie dostępu do służby zdrowia oraz pojmowania roli elit, uzewnętrznia się w swojej dojrzałej, hodowanej przez dekady III RP formie. Jej istotę stanowi przeświadczenie, które klarownie wyłożył w mediach społecznościowych prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. „Uważam, że artyści są naszym dobrem narodowym. […] Gdyby to ode mnie zależało, w pierwszej kolejności zaszczepiłbym honorowych obywateli miasta Poznania" – wyznał. W takim samym tonie na „hejt" wobec artystów wpychających się przed kolejkę pomstowali sygnatariusze listu otwartego w obronie Krystyny Jandy i jej znajomych, opublikowanego w „Gazecie Wyborczej".

Z wielu analogicznych wypowiedzi, w które obrodziło po pierwszym szoku związanym z ujawnieniem procederu, da się wyczytać credo warszawocentrycznej patointeligencji: „Jesteśmy lepsi, mamy przywileje, nic wam do tego". Przykład? Chociaż miliony Polaków z grupy ryzyka szczepionkę zobaczą być może dopiero na wiosnę, to Leszek Miller wraz z żoną są już po pierwszej dawce. Jak przyznał były premier w Radiu Zet, traf chciał, że dzwonił akurat po receptę i pielęgniarka powiedziała, że w szpitalu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego „mają wolne miejsca". Tak też zarabiający 9 tys. euro miesięcznie europarlamentarzysta rozłożył ręce i w myśl logiki „co ma się zmarnować" pojechał do przychodni, nie czując jakiegokolwiek dyskomfortu ani empatii wobec mniej uprzywilejowanych obywateli.

To jest w ogóle niesamowity przykład dysonansu między młodą, społecznie wrażliwą lewicą a pokoleniem lewicy kawiorowej oraz zbudowanego i okrzepłego jeszcze w latach 90. establishmentu. Oburzenie na polityków, celebrytów, ludzi mediów i aktorów nie zamyka się w znanych schematach PiS vs. anty-PiS, ale wykracza poza partyjne okopy. Gdy Janek Śpiewak pisze list otwarty do Jandy, nawołując aktorkę do pracy społecznej z seniorami, jego ojciec chrzestny, prof. Ireneusz Krzemiński, odpowiada mu, że jest pozującym na przyjaciela ludu „głupkiem". Jego „głupota" polega bowiem na tym, że mając świadomość swojego uprzywilejowania, nie korzysta z niego, kalając własne gniazdo. Przecież o to tak naprawdę idzie – ktoś z TVN albo teatru chodzi na kawę z rektorem, rektor ma na boku „wolną dawkę", na kolanie urządza się „akcję promocyjną". A jak wścibskie media się dowiedzą? Nazwiemy je pseudomediami, a wszystkich krytyków agentami Kaczyńskiego. Proste? ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

400 lat później

Polska polityka historyczna nadal praktycznie nie istnieje. Nawet w najprostszym do wypełnienia schemacie obchodów kolejnych ważnych rocznic, które mijają w naszym historycznym kalendarzu. Czy po 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę pozostanie jakikolwiek znak pamięci, widoczny dla kolejnych pokoleń? Także w 100. rocznicę rzeczywiście ważnej w dziejach przynajmniej naszej części kontynentu i wartej stałego przypominania Bitwy Warszawskiej nie doczekaliśmy się (31 lat po formalnym, ponownym odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości) godnego rangi tego wydarzenia pomnika owej bitwy – w Warszawie. Rozpisano konkurs, w którym wygrał projekt w postaci wielkiego wiertła… Czy państwo polskie pamiętało o przypadającej w minionym roku, w styczniu (jeszcze przed wybuchem pandemii), 700. rocznicy koronacji Władysława Łokietka, to jest trwałego odbudowania Królestwa Polskiego – na kolejnych blisko pięć wieków? Nie zauważyłem. A zakończony właśnie Rok Jana Pawła, jubileuszu największego z Polaków – Karola Wojtyły – jak państwu polskiemu udało się uświetnić? O sukcesie mogą mówić chyba tylko panie Lempart, Suchanow i ich duchowy patron, Jerzy Urban: oni rzeczywiście upamiętnili ten rok w swoisty sposób.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

A jednak, pomimo tych doświadczeń, a może właśnie z ich powodu, trzeba dopominać się o pamięć politycznej wspólnoty polskiej o tym, co ją budowało. Bo inaczej pozostawimy pole wyłącznie tym, którzy chcą upamiętnić to, co tę wspólnotę niszczy, podważa, co może ją w oczach kolejnych, pozbawionych już jakiejkolwiek wiedzy historycznej pokoleń skompromitować.

Dlatego właśnie pozwalam sobie przypomnieć, że rok, który się zaczyna – a oczywiście nie wiemy, czym się skończy – zawiera w sobie okazję do wspomnienia nie tylko smutnej, 40. rocznicy stanu wojennego: podcięcia nadziei milionów Polaków, zbrojnym zgnieceniem wielkiego ruchu Solidarności na polecenie Moskwy. Jest inna rocznica, 10 razy bardziej „okrągła", a może tym bardziej warta wspomnienia.

To 400. rocznica największego przed Bitwą Warszawską triumfu oręża Rzeczypospolitej w obronie własnego domu: bitwy pod Chocimiem. Stoczona została z całą siłą imperium osmańskiego, jaką zebrał młody sułtan Osman II, by podbić, podporządkować sobie cały Lechistan – aż do Bałtyku. Między 2 września a 9 października 1621 r., nad Dniestrem, na szańcach Chocimia, zatrzymał tę siłę zbiorowy wysiłek Polaków, Litwinów i Kozaków. Po stronie imperium: 100–120 tys. żołnierzy pod wodzą samego sułtana. Po stronie Rzeczypospolitej: 45–50 tys. żołnierzy (blisko połowę stanowili bitni Kozacy pod dowództwem Petra Konaszewycza Sahajdacznego). Całością wojsk dowodził pogromca Szwedów spod Kircholmu, hetman Jan Karol Chodkiewicz, w towarzystwie królewicza Władysława Wazy i Stanisława Lubomirskiego. Rzeczpospolita była, jak nieraz się zdarzało, sama.

Ale nie uległa. Wspólnymi siłami obroniła niepodległość. Warto to zwycięstwo pamiętać. Choćby po to, by przypomnieć słowa hetmana Chodkiewicza wypowiedziane przed bitwą. I nam mówić powinny, co robić, kiedy wydaje nam się, że przeciwności są od nas silniejsze, nadzieja upada i z niepodległością trzeba się rozstać jak z anachroniczną mrzonką. Brzmiały tak: „Chcę, abyście wiedzieli, że na słuszności sprawy naszej i na waszych prawicach leży zdrowie i nadzieja całej pospolitej rzeczy. Niechaj was nie trwożą owe, co widzicie dla pychy tyrana i waszego popłochu rozbite namioty, bo po większej części są puste i jeno oczy bawią. Ani się lękajcie, że w słoniach i wielbłądach jest bojowa siła, bo te sakwami obarczone, gną się pod własnym ciężarem. Jako cień marny i próżną liczbę ważcie sobie te azjatyckie tłuszcze, miękkie duchem, pokarmem i odzieżą, wycieńczone rozkoszą, podobne do niewieścich zastępów. Nie ostać się im na pierwsze zgrzytnienie trąby polskiej, na pierwszy szczęk zbroi waszej; boście wy rodowici Sarmaci, wychowańcy twardego Marsa, a wasze niegdyś przodki na zachodzie w Elbie [Łabie], na wschodzie w Dnieprze żelazne owe zabiły słupy jako pomniki wiekuistej sławy. Na dane hasło uderzcie we wroga, Polacy i Litwini, pomnąc na pradziadowską chwałę; bo tu nawet najgnuśniejszy żołnierz pomiędzy bystrą rzeką a rozpierzchłymi zewsząd Turkami i Tatary nie miałby po co i dokąd uciekać. Dla dzielnego rycerstwa oto otworzyste pole nieśmiertelnej sławy! Nie myślę ani się spodziewam, aby tu byli bojaźliwi: konieczność niech stanie za męstwo; odważnych niechaj umocni miłość ku Bogu a ojczyźnie. Ty zasię, Święta Sprawiedliwości i Potęgo, przez którą królowie panują, a wojownicy całego świata mają zwycięstwo, powstań na straszliwych imienia Twojego nieprzyjaciół, prawicą Twoją dodaj siły, wstrzymaj pomstę za nasze grzechy, wymierz słuszną karę nad srogimi ludźmi".

Święto tego zwycięstwa ducha niepodległości obchodzono w Rzeczypospolitej 10 października. Czy ktoś będzie o tym pamiętał 400 lat później? ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

USTAWKA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

A moim zdaniem te nielegalne szczepienia na uniwerku to ustawka. Tam na górze oni warczą na siebie nawzajem, ale jednocześnie są po imieniu i krzywdy sobie nie robią. Widział ktoś Tuska w więzieniu? A przecież miał siedzieć (gdyby ujadanie przeciwników było szczere, a nie na pokaz).

Tam na górze niektórzy nienawidzą się prawdziwie, ale jednocześnie łączy ich wspólny interes i krzywdy sobie nie zrobią; pomimo wzajemnej niechęci, nienawiści, obrzydzenia.

Janda może się więc szczerze brzydzić Kaczyńskim i uważać, że PiS na nią „sra", ale gdy ten sam PiS na nią nasrał dotacją wynoszącą 2 mln, to je przyjęła. Nadal gardzi i nienawidzi (bo nasrali za mało), ale bierze, co dają. Gardzi publicznie, bierze prywatnie.

***

Szczepienia na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym to doskonały skandal, głośny i przykuwa uwagę – wkurza obywateli. Jest na kogo nakrzyczeć, dzięki czemu naród nie wnerwia się chwilowo na władzę, bo patrzy w inną stronę i nie widzi, co się dzieje. A co się dzieje?

Władza wciąż twierdzi, że zaszczepi 3 mln ludzi do końca marca. Pokazują, jak to w Izraelu w ciągu 12 dni zaszczepiono 1 mln osób, czyli da się. W takim samym czasie w RP zaszczepiono tylko 50 tys. osób czyli... nie da się. W tym tempie 3 mln osiągniemy dopiero za 20 miesięcy. Co robić? Skandal na uniwersytecie jest bardzo poręczny – trzeba wzmocnić kontrolę, żeby się celebryci nie wpychali bokiem, a kontrola oznacza, że szczepimy wolniej z uzasadnionych powodów i to wina Jandy oraz kolesiów z TVN, a nie rządowa.

***

Wolniej szczepimy także dlatego, że naród stawia opór, ale o tym władza nie chce mówić głośno – lepiej zdławić w zarodku. Ponad połowa społeczeństwa nie chce się szczepić tym… czymś. A codziennie wyskakują nowe informacje o tym… czymś. Szczepionka nie do końca przebadana, firma Pfizer nie odpowiada na niektóre pytania… więc rząd ustanowił fundusz specjalny w przypadku powikłań. Mimo to opór wzrasta. Co robić?

Skandal to doskonała promocja podejrzanej szczepionki. Patrzcie, jak się ważniacy pchają bez kolejki. Piękna ustawka i nieważne, czy wymyślona od zera, czy tylko ktoś skorzystał z okazji, by w ten sposób promować szczepienia. A tymczasem trawa dokręcanie śruby wobec oporu.

Najpierw pojawiły się informacje o zagranicznych (czyli nie nasza wina) liniach lotniczych – masz wprawdzie paszport i wolno jechać bez wizy, ale do samolotu nie wpuszczą bez testu lub dowodu szczepienia. Władza pomoże Polakom i będzie wydawać żółte książeczki szczepień, które sobie dołożysz do paszportu. Docelowo bez żółtej książeczki nie załatwisz nic, więc się o nią postaraj, jeżeli chcesz żyć jak dawniej.

Władza z uśmiechem powtarza, że szczepienia nie będą przymusowe, ale jednocześnie opowiada o przywilejach dla zaszczepionych – baseny i kluby fitness, powrót do kraju bez kwarantanny i wejście do przychodni bez testów. Hurra!

Już teraz przychodnie odmawiają wpuszczania chorych. Możesz przyjść na leczenie z dżumą, ale musisz być wolny od COVID-u. Niewykryta żółtaczka? Proszę bardzo, ale pod warunkiem, żeś zaszczepiony na COVID.

I jeszcze komunikat MON – tylko zaszczepieni będą kierowani na kursy oficerskie. Chcesz awansować? Przynależność do partii szczepionych jest i będzie dobrowolna, ale…

***

Katolicy mają problem z tym, że szczepionki zostały wyprodukowane z ludzkich trupów (zwłoki dzieci mordowanych w aborcji, rozmrożone zarodki z in vitro…).

Dotychczasowe nauczanie Kościoła w sprawie zamrożonych zarodków było takie, że to są ludzie (z duszami!) i że te zarodki trzeba odmrozić i urodzić, bo inaczej, gdyby je wyrzucić lub spalić to to jest morderstwo. Ha! A teraz to już nie jest morderstwo, bo rozmrażamy i robimy szczepionkę?

Episkopat pogrąża się satanistycznymi tłumaczeniami, że dla ratowania życia wolno przyjąć nawet miksturę z trupa. Naprawdę? W katolickim systemie wartości przeżycie jest wartością ponad wszystko? Jeżeli tak, to trzeba z liturgii usunąć wszystkich męczenników, bo oni poświęcili życie dla wartości wyższych, oraz trzeba zlikwidować zapisy o tajemnicy spowiedzi. Z obecnych zapisów wynika, że księdzu nie wolno ujawnić tajemnicy spowiedzi nawet wtedy, gdyby mu za to groziła śmierć – ma poświęcić życie w obronie wartości. A tu hop-siup nowa doktryna – celem ratowania życia dopuszczamy jako moralnie poprawną szczepionkę zrobioną z trupów. Zapisy o konieczności uszanowania zwłok („zmarłych pochować"), które ciągną się od Starego Testamentu aż do najnowszego Katechizmu Kościoła, należy skreślić. Episkopat twierdzi, że dla ratowania życia katolika jest moralnie poprawne przyjęcie szczepionki ze zmielonych ludzkich zarodków. I to jest zgodne z nauczaniem Chrystusa?! Naprawdę?

Czuję się teraz jak Janda, gdy słuchała, co mówi PiS. ©℗

eprasa.pl bbf3cf9c28

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
S. KOPER, T. STAŃCZYK
„OSTATNIE LATA POLSKICH KRESÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~840~~ ZŁ

293,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 553 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bbf3cf9c28

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wzruszający wywiad ze 101-letnim Polakiem, który ratował Żydów

Vesa Nenye – **Cud na Linii Mannerheima**
Piotr Zychowicz – **Polacy na odsiecz Finlandii**
Tomasz Stańczyk – **Triumf fińskiego marszałka**
Rafał Ziemkiewicz – **Jałta '45**
Radosław Golec – **Jak Polacy chcieli zabić Hessa**
Maciej Gablankowski – **Romans Piłsudskiego**
Jacek Bartosiak – **Globalna walka mocarstw**
Sławomir Cenckiewicz – **Pamięci profesora Wieczorkiewicza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl bbf3cf9c28